

WYKŁĘCI

KSIĘGA I – CÓRKA HERETYKA

Lorraine Dunn



DUNN LORRAINE

WYKŁĘCI 01

CORKA HERETYKA

"Boimy się tego, czego nie rozumiemy, a strach przed nieznanym zawsze rodzi agresję".

Violette de Montraine żyjąca w epoce krwawych tumultów, fanatyzmu religijnego i polowań na czarownice w niczym nie przypomina zwyczajnej panny ze szlacheckiego rodu. Wyniosła, chłodna i apodyktyczna, nie dopuszcza do siebie nikogo, skrywając w sobie mroczny Dar, który ma związek z pewną rodową relikwią i może ściągnąć na nią prześladowania ze strony Świętej Inkwizycji. Zarówno klejnot, jak i jego właścicielka stają się obiektem pożądania ambitnego i despotycznego diuka Bretanii, który pragnie zdobyć w ten sposób potęgę i nieograniczone bogactwo. Nieświadomy zagrożenia płynącego z przebudzenia mocy Pradawnych, staje się marionetką w rękach tajemniczych stworzeń, obserwujących z ukrycia bieg wydarzeń.



XIII-wieczna Francja

Jasny błękit pogodnego wiosennego nieba w ciągu kilku chwil przesłoniły ciemne, burzowe chmury niosące z sobą zapowiedź deszczu. Nad lasem pociemniało, powietrze stało się ciężkie i duszące, a ukryte w koronach drzew ptaki umilkły. Jedynym dźwiękiem rozlegającym się w tej nienaturalnie martwej ciszy był tętent końskich kopyt i turkot kół lekkiej, zdobnej, dobrze wyważonej karety. Pojazd gnał okolicznym traktem prowadzącym do twierdzy Illion, która kilka wieków wcześniej wyrosła w sercu położonej na północy kraju Bretanii. We wnętrzu karety przewożono córki człowieka niesłusznie posądzonego o zdradę i herezję, a tym samym skazanego już na śmierć.

Przed nimi jeszcze długa droga i pewne było, że nie zdążą dotrzeć do twierdzy przed zmrokiem. Starsza z sióstr o imieniu Violette położyła dłoń na pięknym, złotym krzyżu spoczywającym na jej piersiach. Jego zimna powierzchnia i misterne rzeźbienia tchnęły atmosferą sprzed wieków. Tę pamiątkę rodzinną przekazywaną z pokolenia na pokolenie ojciec postanowił ofiarować jej właśnie dziś.

Przymknęła powieki, delikatnie uniosła klejnot i przytuliła do ust. Nim zdążyła zauważyć, na jej białą dłoń spadły dwie łzy.

„Nic już nie będzie tak jak wcześniej” - pomyślała.

Słońce stało w zenicie, gdy karetą wraz z eskortującym ją oddziałem wikingów znajdowała się w połowie drogi do celu. Odkąd wyruszyli, nie zatrzymali się ani na chwilę i choć konie były już zmęczone, to uzbrojeni wojownicy z dalekiej Północy wciąż nieubłaganie gnali je naprzód. Ci najemnicy, zwani w tych stronach nordami, za sowity żołd ofiarnie służyli diukowi Bretanii i przelewając własną krew, stanowili główny trzon jego świetnie zorganizowanej armii oraz najgroźniejszą broń Armanda van der Zahra. Nie znali strachu przed wrogiem ani litości dla pokonanych. Ich dziki wygląd, obyczaje i sposób walki budziły prawdziwy popłoch zarówno na polu bitwy, jaki i wśród miejscowej ludności, zapewniając im kolejne sukcesy w zbrojnych potyczkach i wypełnianych na polecenie władcy misjach.

Trzymający się pewnie na grzbiecie swego ogromnego wierzchowca dowódca oddziału, podążał w samym środku konwoju, by znajdować się możliwie najbliżej ochranianego powozu. Zwał się Hagen i mimo młodego wieku był najmężniejszym spośród wojowników. Z dumą nosił przy swym boku dwuręczny nordycki miecz o zaokrąglonym sztychu i długiej klindze, która przelała już morze krwi i ścięła setki nieprzyjacielskich głów. Wyglądał niczym złotowłosey bóg wojny rodem z samego Asgardu, a jego sława najemnika odbijała się dalekim echem poza granicami ojczystej krainy fiordów.

Jadący obok niego wojownik miał na imię Thore i był jego stryjecznym bratem, który od młodzięcych lat lojalnie towarzyszył mu we wszystkich wyprawach.

— Czemu van der Zahr posyła swych najlepszych ludzi do eskortowania córek de Montraine'a? - spytał pogardliwie, nie pojmując intencji diuka Bretanii. — Od kiedy to nordowie zajmują się niańczeniem dziełatek?

— Płacą nam za wypełnianie rozkazów, a nie zadawanie pytań - uciał lakonicznie Hagen, wyrażając całkowity brak zainteresowania tematem.

Jednak Thore, który od dziecka był bardziej gadatliwy od swego kuzyna, nie dawał za wygraną.

— Te dwie dziewczyny muszą być dla niego ważne, skoro zmusił hrabiego do odesłania ich - ciągnął dalej, dzieląc się zasłyszanyymi wiadomościami. - Podobno oskarżył go o herezję i zagroził, że zrówna z ziemią gród de Montraineow, jeśli nie odda swych córek pod jego pieczę.

— Van der Zahr to okrutny i bezwzględny władca — rzekł z uznaniem dowódca nordów. - Musi mieć wobec nich jakiś plan, w przeciwnym razie nie ryzykowałby aż tak bardzo.

— Na jego rozkaz zamordowano ostatniego męskiego potomka tej rodziny, więc starsza z sióstr jest teraz prawowitą dziedziczką wszystkich rodowych włości, ale nie sądzę, by chciał się z nią żenić.

— Czemu?

— Widziałeś ją z bliska? - spytał Thore, ścisząc głos tak, by nie usłyszeli go pozostali.

W odpowiedzi Hagen pokręcił przecząco głową.

— Więc zrozumiesz, gdy ją zobaczysz...

Wtem sygnał ostrzegawczy zwiadowców przerwał ich rozmowę, a dowódca uniósł dłoń i natychmiast zatrzymał oddział. Trakt wiódł w tym miejscu jedynie wąską groblą z obydwu stron otoczoną grzędzawiskami, a dwa świeżo ścięte drzewa o bardzo grubych pniach leżały obok siebie w poprzek drogi, tworząc zaporę nie do pokonania dla eskortowanego powozu. Zdezorientowani barbarzyńcy kręcili się na swoich postawnych koniach i pokrzykiwali między sobą w niezrozumiałym nordyckim dialekcie:

- Co to ma znaczyć?! Czyja to robota?!
- O świcie trakt był jeszcze przejezdny!
- Wszyscy wiedzą, że to niebezpieczna okolica, ale ktoś, kto odważyłby się nas zaatakować, musiałby być chyba szaleńcem!

W tej lawinie okrzyków nie wziął udziału tylko Hagen, który w milczeniu rozejrzał się po okolicy i już wiedział: „To zasadzka”.

Martwy bezruch panujący dokoła nie wróżył niczego dobrego. Było cicho...

„Zbyt cicho” - pomyślał.

Nagle szarpnięcie wyrwało Violette z zadumy, a gdy karetka niespodziewanie stanęła, zaniepokojona dziedziczka rodu de Montraineów energicznie otworzyła drzwi powozu i wychyliła się na zewnątrz. Wraz z tym ruchem obszerny kaptur, który ocieniał jej twarz, zsunął się, a wśród nordów zapadło grobowe milczenie. Wystarczyło jedno spojrzenie w jej oczy, by żołnierzy przepełniła najprawdziwsza groza.

- Zły omen! Ta kobieta to demon! Przybyła, by zwiastować śmierć nam wszystkim!

Wśród ludów dalekiej Północy głęboko zakorzeniony był przesąd, że widok kobiety przed walką wróży nieszczęście, ale to nie wystarczyłoby do wywołania strachu w wojownikach, którzy go nie znają. Musiało być coś jeszcze... Pewien niezwykle, a może nawet nadnaturalny szczegół urody tej dziewczyny uczynił ją w oczach wikingów wcieleniem złego ducha, który przynosił im zapowiedź rychłej śmierci.

Gdy spłoszona ich reakcją Violette cofnęła się do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi, Hagen zwrócił się do swego oddziału, lecz nim zdążył wydać rozkaz, rozległ się pierwszy świst. W tym samym momencie Thore ciężko zwałił się w siodła, a potem jeden za drugim zaczęli spadać kolejni. Małe, pierzaste strzałki świszczwały w powietrzu i co rusz jeden z wikingów osuwał się na ziemię z wywróconymi białkami oczu i krwawą pianą na ustach. Działanie śmiertelnej trucizny było natychmiastowe. Nordowie niemal czuli, jak diabelski jad w ich ciele łączy się z krwią i płynie wprost do serca. Strzałki sypały się bez końca, a oni nie byli w stanie się bronić. Wróg był wszędzie — niewidoczny, a co za tym idzie nieuchwytny.

W narastającym chaosie Hagen szybko rozdzielił oddział i sam na czele jednej części rzucił się w przydrożne mokradła. Reszta poszła w jego ślady, lecz była to kolejna pomyłka. Nie zastali tam nikogo, ale mimo to ich koniec nadszedł nieuchronnie. Tajemniczy napastnicy zaczęli spadać im na karki wprost z konarów drzew, błyskawicznie podrzynając gardła, wbijając noże między żebra i wyrzynając eskortę w pień. W parę minut świeże trupy zaścieliły gościniec, a krew wikingów wsiąkała w obcą ziemię.

Ich przeciwnicy byli zbieraniną najróżniejszego pokroju ludzkich kreatur, pośród których znaleźć można było nie tylko złodziei i rzeźmieszków, ale też zwykłych morderców. Było ich dwunastu, może piętnastu, i na pozór niczym nie różnili się od dzikich zwierząt prócz tego, że mieli zdolnego przywódcę.

Choć Hagen bronił się zaciekle ostatkiem sił, to w pojedynkę nie miał już najmniejszych szans. Z wściekłością rozłupywał czaszki kolejnym napastnikom, ale ich wciąż przybywało, a trucizna osłabiała go coraz bardziej. Długi, ciężki miecz wikinga spływał krwią, i Hagen wiedział, że nie pozostało mu już wiele czasu. W jego żyłach płynęła błękitna krew jednego z książęcych rodów Skandynawii i nie bał się śmierci, a co więcej, wierzył, że była mu ona pisana. Widział już oczyma wyobraźni siebie zasiadającego z praojcami w odległej, słonecznej Valhali, gdzie mężczyźni wojownicy żyją wiecznie. Nie zbrukał swojego honoru tchórzostwem i walczył aż do końca, a to oznaczało, że zginie jak prawdziwy nord.

„To dobra śmierć” - uznał, pogodziwszy się z losem.

Oreź wysunął się z jego zmęczonej dłoni, a Hagen opadł na kolana i czekał na decydujący cios. Ten jednak nie nadszedł. Naraz cała wrzawa ucichła i zamiast trzech pięknych walkirii mających poprowadzić jego duszę w zaświaty, ujrzał przed sobą postawnego, barczystego mężczyznę z łysą czaszką i starannie wystrzyżoną bródką. Łotr przyglądał mu się badawczo, a po chwili jego ciemną twarz skrzywił przebiegły uśmiech.

„To musi być ich przywódca — domyślił się Hagen. - Człowiek, który zorganizował tę zasadzkę i poprowadził atak”.

Jego wojsko to na wpół obłąkana horda szaleńców, a on potrafił nad nimi zapanować. Wiking spojrział na niego ze spokojem, który mogła dawać tylko nadchodząca śmierć.

— No dalej... Dokończ, co zacząłeś! Mężczyzna przyłożył mu do gardła ostrze miecza.

— Spieszno ci na tamten świat, nordzie? Splamiony honor nie pozwala ci już żyć?!

Hagen poczuł zimny dotyk metalu na szyi.

— A jednak będziesz żył. — Zbir roześmiał się grubiańsko. - Po to, żebyś mógł opowiedzieć van der Zahrowi, jaki koniec spotkał jego najlepszych ludzi!

— Popeliłeś błąd — wycharczał Hagen. - Dla moich towarzyszy już umarłem... Ty również umrzesz z mojej ręki. Będę czekał, aż znów się spotkamy, i wtedy cię zabiję! Przysięgam na krew praojców!

Tymczasem jego własna krew powoli sączyła się z ran i kapiała na ziemię, a poranionym ciałem norda wstrząsały deliryczne dreszcze. Darowano mu życie, a to oznaczało, że spadła na niego najgorsza hańba. Nigdy nie zdoła już zmyć tej plamy na honorze i po śmierci nie dostąpi zaszczytu zasiadania z przodkami. To piętno sprawi, że zostanie wyklęty spośród swego ludu i nie będzie już dla niego drogi powrotnej.

Kilkadziesiąt kroków dalej zgraja zbirów z wściekłością usiłowała wyłamać drzwi karety, by dorwać w swe łapy przewożone w niej kosztowności. Gdy tylko ich przywódca zauważył, co się dzieje, natychmiast rzucił się w tamtą stronę. Pod naporem motłochu powóz trząśnięty i kołysany na osiach, a dwie dziewczyny w środku krzyczały

przeraźliwie. Mężczyzna z impetem wpadł między kłębowski ludzkich ciał i zaczął brutalnie przepychać się naprzód.

W tym samym czasie ogromny zbój imieniem Galvos -syn rzeźnika, który kilka lat temu w szale zazdrości zatłukł na śmierć swoją żonę i uciekł przed stryczkiem — wziął niewielki rozpęd i z całej siły rąbnął ramieniem w drzwi. Cienkie deski puściły i ciężki zbir z trzaskiem wpadł do środka. Wtem rozległ się krzyk i wszyscy zamarli, gdyż to nie był kobiecy krzyk — to Galvos krzyczał... Ostatnim widokiem, jaki zapamiętał, były jej płonące oczy, a w chwilę później Violette błyskawicznie wydobyła spomiędzy fałdów sukni sztylet i z nieprawdopodobną siłą wbiła go w bark oprawcy tak, jakby pomogła jej jakaś druga, niewidzialna ręka. Trysnęła krew, a zaskoczony intruz z impetem wypadł na zewnątrz i odrzucony na sporą odległość, runął na ziemię. Jego towarzysze otoczyli go kręgiem i z niedowierzaniem patrzyli na mężczyznę wzrostu i postury zapaśnika, który z przerażeniem wił się w konwulsjach. Nikt z nich się nie odezwał. Nikt mu nie pomógł. Otwarte wnętrze karety ziało czarną pustką nieznanego...

— To diabelskie nasienie! Ludzie! Zło! Zło, słyszycie?! Tam jest czyste zło! — wrzeszczał jak opętany, próbując wyrwać z siebie rozżarzone do czerwoności ostrze, które paliło go żywym ogniem.

Wśród pozostałych najemników rozszedł się szmer niepokoju i narastał z każdą chwilą.

- Zawrzcć mordy, ścierwa jedne, bo łby poskręcą! Usłyszeli nad sobą głos przywódcy i rozstąpili się natychmiast. Postawny, ubrany na czarno mężczyzna

podszedł do tarzającego się po ziemi i wrzeszczącego Galvosa. Przyklękając na jedno kolano, wprawnym ruchem schwycił jego głowę i w ułamku sekundy skręcił mu kark. Kość obrzydliwie chrupnęła i zbój znieruchomiał.

- Cofnąć się! — warknął i podszedł do karety. — Te dwie dziewczyny należą do mnie! Jeśli któryś z was je tknie, zabiję jak psa!

Na te słowa w otaczającym go tłumie rozległ się pomruk niezadowolenia.

— Cisz! — Podniósł nakazująco prawą rękę. - Tylko one są moje. Kiedy je zabiorę, reszta będzie wasza! Odbierzecie sobie swoją zapłatę!

Milcząco przystali na układ. Mężczyzna stanął na wprost wyłamanych drzwi powozu i wszedł do środka bez cienia strachu, gdyż w przeciwieństwie do Galvosa -wiedział, z kim ma do czynienia.

Kiedy po dłuższej chwili obezwładnione córki hrabiego zagadkowym sposobem znalazły się w końcu na zewnątrz, rozbestwiona hołota rzuciła się na powóz, drąc brudnymi pazurami atłas, wyrywając deski i podważając łomami rzeźbione wieka kufców. Szukali tego, na czym najbardziej im zależało — kosztowności. Odbierali swoją zapłatę, którą obiecał im ten nieznany mężczyzna za pomoc w zorganizowaniu napadu, ale ani on sam, ani żaden z jego dwóch towarzyszy nie wziął w tym udziału. Choć złodziejska natura sprawiała, że na widok złota oczy zaczynały pałać mu dziwnym blaskiem, nie chciał ani grama z posagu tych dziewcząt. Zdobył już to, po co przyszedł - córki jego mocodawcy de Montraine'a leżały nieprzytomne, a dowódca eskorty zaniesie van der

Zahrowi wieść, że zginęły w napadzie. Nie powiedział im, kim jest, ani z czyjego działa rozkazu.

„Jeszcze nie czas, by wiedziały”—zadecydował Serim, który w całym tym zamieszaniu zapomniał o jednej osobie.

Być może dlatego, że w jego oczach Phil - chudy, piegowaty chłopak w futrzanej czapce - nie był wart więcej od robaka. Serim sam nie wiedział, dlaczego właściwie pozwolił mu żyć. Niewykluczone, że jedynym powodem było to, iż znęcanie się nad nim sprawiało mu niegroźną, sadystyczną przyjemność. Phil był wśród nich najmniejszy i najśłabszy, w związku z czym zawsze najmniej mu się należało - ulubione popychadło szefa i pośmiewisko jego dwóch towarzyszy. Był niczym więcej jak tylko posługaczem najemników, a jedyną zapłatą było dlań to, że żyje.

Znał swoje miejsce i nie zamierzał sobie tym zaprzętać swego i tak niezbyt światłego umysłu. W zamian za to, pchany na poły dzieciinną ciekawością, podkraść się teraz do dwóch leżących na trawie panien. Nigdy nie widział istot tak pięknych i delikatnych jak one - pewnie nie wiedział nawet, że takie istnieją. Zastanawiał się, czy krew płynąca w ich żyłach jest naprawdę błękitna, czy to tylko zmyślane gadanie. Przyjrzał się bliżej jasnowłosej dziedzicze rodu i poczuł się tak, jakby znów spoglądał na rzeźbiony posąg w kościele, choć był tam tylko raz w życiu, i to bardzo dawno temu. Wtem coś błysnęło złotym refleksem w koronkowym wycięciu jej dekoltu. Phil pochylił się i dostrzegł złoty krzyż spoczywający na kształtnych piersiach dziewczyny. Chłopak z otwartymi ustami i niemym zachwytem w oczach wpatrywał się w bogato zdobiony klejnot i czuł, że nigdy jeszcze w zasięgu jego ręki nie znalazło się nic równie cennego. To sprawiło, że w nim samym toczyła się okrutna walka — strach przed gniewem Serima i żądza konkurowały ze sobą. Wyrostek

dyskretnie rozejrzał się wkoło i nabrawszy pewności, że nikt nie zauważy jego nikczemnego postępu, nachylił się nad Violette i gwałtownym ruchem zerwał jej z szyi rodową relikwię.

Z początku tajemnicza postać, która pojawiła się na horyzoncie, nie zwróciła niczyjej uwagi. Nieznajomy mężczyzna podążał przed siebie wolnym, miarowym krokiem zmęczonego wędrowca powracającego z długiej podróży. Choć był młody, wspierał się na długim, mocnym kiju, a jego brudne, postrzępione ubranie wyraźnie kontrastowało ze zbyt przenikliwym jak na włóczęgę spojrzeniem. Od dawna nieobcinane włosy koloru ciemnego piwa zwijały się na ramionach w niechlujne pukle, a jedyną rzeczą, jaką przy sobie miał, był zawieszony na szerokich barkach miecz. Przybywał aż z Dalekiego Wschodu, ale w głębi ducha miał nadzieję, że być może tutaj jego droga się zakończy.

Phil jako pierwszy dostrzegł zagadkową postać i wiedział, że kimkolwiek ona jest, oznacza kłopoty. Obcy spokojnie wkroczył pomiędzy świeże trupy wojowników zaścielające gościniec, przyklęknął przy jednym z nich i chwytając za okrwawione kłaki, podniósł jego głowę do góry.

- Nordowie - mruknał.

Horda morderców jak na zawołanie oderwała się od dzielenia łupów i w milczeniu przyglądała się nieznajomemu. Czuli, że prędzej czy później dostaną go w swoje

ręce, ale na razie musieli zaczekać. Włóczęga skierował się w stronę Serima, lecz dwaj uzbrojeni młodzieńcy natychmiast zastąpili mu drogę.

- Czego chcesz?! - spytał bez ogródek przywódca leśnych najemników.

Ale obcy zupełnie go zignorował.

- Kim jesteś? - zadał kolejne pytanie, które pozostało bez odpowiedzi.

Chłopak przelotnie spojrzał na leżące na ziemi kobiety. Nie wiedział, czy były już martwe, czy tylko nieprzytomne.

- Nikim - odparł po chwili. - A zresztą, po co ci to wiedzieć? Jeszcze dziś pójdziesz do piachu, jak oni wszyscy.

Mówił to tak spokojnie, że niejednemu ciarki przeszłyby po plecach, ale Serim nie był pewien, czy powinien zacząć się bać, czy też wybuchnąć śmiechem.

„On sam — przeciw nam wszystkim!?” — pomyślał z pogardą.

W owych czasach wszędzie pełno było na wpół obłąkanych włóczęgów i żebraków, którzy postradali zmysły. Musiał być samobójcą albo szaleńcem i najemnik właściwie nie dostrzegwał w nim żadnego zagrożenia, a jednak coś w jego zachowaniu zaczynało go niepokoić.

- Odejdź stąd, wędrowcze - powiedział, ostrzegając go. - Dużo ludzkiej krwi wsiąkło dziś w tę ziemię. Bacz, bym nie musiał upuścić i twojej.

- Spróbuj szczęścia - rzucił obojętnie przybysz.

Łotr przez pierwsze kilka sekund nie mógł uwierzyć własnym uszom. Ten obdarty włóczęga rzuca mu wyzwanie?!

- Młodyś i głupiś! - krzyknął. - Sam się prosisz! Nie odejdziesz stąd żywy!

Jednym skinieniem ręki przywołał zgraję płatnych morderców gotowych rozszarpać na strzępy każdego, kto stanie im na drodze.

- Jest wasz - stwierdził głosem pana rzucającego psom ochłap mięsa. - Postarajcie się tylko, żeby nie umierał zbyt szybko.

Odwrócił się na pięcie, a jego ogorzałą twarz skrzywił przebiegły uśmiech. Czuł, że los wyraźnie mu sprzyja. Już wystarczająco nadwerężył ich cierpliwość, broniąc im w ostatniej chwili przystępu do córek de Montraine'a.

„Niech się teraz zabawią, a młokos zapłaci za swoją zuchwałość życiem” - postanowił.

Bez pośpiechu podnosili z ziemi porzucony oręż, a coś w ich przymrużonych ślepiach błyskało dziko i złowrogo. Dostali już od swego przywódcy rozkaz przyzwolenia i teraz okrążyli intruza zamkniętym kręgiem.

„Dlaczego ten włóczęga stoi tak spokojnie?! - zastanawiali się. - Czeka, aż rozedrzemy go na strzępy? Tym lepiej!”

Osaczony schwycił oburącz długi, drewniany kostur i czekał. Pierwszego przeciwnika zabił w walce, gdy miał trzynaście lat... Dalej poszło już łatwiej i lata morderczych ćwiczeń, okupione nadludzkim poświęceniem, przyniosły oczekiwane rezultaty. Mając dziewiętnaście lat, wyruszył w podróż, która zdawała się nie mieć końca. W trakcie swej wędrówki przemierzył wiele krain i napotkał wiele ludów, widząc śmierć, wojny i zarazy. Dlatego czasem spoglądał na świat wzrokiem starca, choć miał dopiero dwadzieścia trzy lata. Niejeden poległ z jego

ręki i ci, którzy polegą dzisiaj, nie będą mieli większego znaczenia.

„Dziś, jutro — co za różnica?”- pomyślał, uśmiechając się ironicznie do samego siebie.

Rzucili się na niego całą zgrają. Nie kolejno, lecz wszyscy naraz — byle rozszarpać, zabić, zatłuc. Długi kij obrócił się parę razy w dłoniach wędrowca. Pierwszemu, który doń dopadł, wybił oko, następnemu połamał rękę, kolejnemu rozwalił czaszkę. Przeciwnicy w ogóle nie rozumieli, co się dzieje, gdy z diabelną szybkością unikał ich ciosów i zadawał własne, które okazywały się śmiertelnie celne.

Wtem natarł na niego muskularny, niemal o głowę wyższy zbir, wprawnie władający mieczem. Gdyby zdążył zadać cios, kij mógłby pęknąć, dlatego wędrowiec, nie czekając na nic, rzucił się wprost na atakującego, a klinga miecza przepruła powietrze o cal od jego głowy. Zwarli się w morderczym uścisku i zbój poczuł przenikliwy ból, a potem rozległ się trzask i kość wykręconego nadgarstka chrupnęła. Nie wiadomo kiedy miecz znalazł się w dłoni młodzieńca, który jednym zdecydowanym ruchem poderżnął mu gardło. Instynktownie wyczuwając kolejne niebezpieczeństwo, kątem oka dostrzegł zawieszony nad sobą ostrze topora.

„Niech to szlag!” — zaklął w duchu.

Gwałtownie dźgnął za siebie mieczem, wbijając go prosto w brzuch napastnika. Nie musiał się nawet odwracać, gdyż wiedział, że ciężar oręża przeważy do tyłu słabnącego przeciwnika.

- Ktoś jeszcze?! - krzyknął zdyszany. - Wszystkich was pośle do krainy umarłych!

Ledwo się obejrzał, a już natarło na niego trzech kolejnych. Im wścieklej atakowali, tym szybciej padali. Przybysz bez trudu niszczył przeciwników ich własną siłą, gdyż tak go nauczono. Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej brutalny i bezwzględny. Nie zamierzał ich oszczędzać, ani się litować - uderzał zawsze tak, aby zabić.

Być może wcale nie zależało mu na ratowaniu dwóch dziewczyn, których nawet nie znał. Może po prostu lubił sprawdzać się w podobnych sytuacjach. W każdej z takich potyczek mógł zginąć, ale czy to cokolwiek zmieniało? Gdy opadł kurz na miejscu walki, pośród leżących trupów stał tylko on jeden, a Serim niespodziewanie znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Nieznajomy spojrzął na niego z chłodnym spokojem, jakby chciał powiedzieć: „Teraz czas na ciebie”.

I każdy inny najemnik w tym momencie przestraszyłby się, ale Serim niczego nie pozostawiał przypadkowi, więc i teraz miał jeszcze coś w zanadrzu.

- Ablaj! Tarik!

Dwaj bracia w sekundzie znów zastąpili mu drogę do swego przywódcy i dobyli broni. Pierwszy z nich o imieniu Ablaj nosił krótko ścięte włosy, podgolone po bokach głowy i wydawał się starszy od swego brata. Natomiast Tarik odznaczał się delikatniejszą posturą i niższym wzrostem, a jego długie, ciemne włosy splecione z tyłu głowy w długi warkocz sprawiały, że przypominał bardziej kobietę niż mężczyznę. Charakterystyczne rysy twarzy i odcień skóry najemników zdradzały, że pochodzili z Bliskiego Wschodu, a ich korzenie sięgały koczowniczych plemion zamieszkujących rozległe stepy. Dwie doskonale wyszkolone maszyny do zabijania. Razem byli niepokonani i Serim dobrze o tym wiedział. Do tej pory

dziwny przybysz ani razu nie sięgnął po zawieszony na plecach miecz. Nie było takiej potrzeby, gdyż równie dobrze mógłby pozabijać tych najemników gołymi rękami. Czy tym razem będzie inaczej?

— Aż tak bardzo szukasz śmierci, przybyszu?! - krzyknął młodszy z siepaczy. - Możemy ci to załatwić!

— Takiś pewien?! - Wędrowiec zaśmiał się cicho. -Zalutujesz mi strachem, żołnierzyku! A wiesz, czemu się boisz? Bo ty musisz wykonać rozkaz, a ja robię to z czystej satysfakcji.

Tarik posłał mu mordercze spojrzenie, a gdzieś w oddali zakrzyknęła wilga. Nim zdążyła to zrobić, po raz drugi rozległ się stalowy szczęk oręża. Zaatakowali go bez ostrzeżenia dwóch na jednego.

„Zginie! Tym razem musi zginąć” - powtarzali sobie w duchu z niezachwianą pewnością.

Obcy zwinnie przysiadł i z półobrotu odparował ich ciosy. Szerokie, zakrzywione ostrza kunsztownie zdobionych sejmitarów przeszły tuż obok jego gardła.

„Psia krew! - zirytował się. - Zaskoczyli mnie”.

Ich technika walki była czystą perfekcją, sztuką dla sztuki, ideałem samym w sobie. Wzięli go w krzyżowy ogień, a mimo to kij zwinnie i pewnie obracał się w rękach wędrowca, służąc mu jednocześnie za broń i tarczę. Choć zyskał chwilowy odpór przed lawiną ciosów, to przeciwnicy wciąż mieli nad nim przewagę. Atakowali szybko i bezbłędnie, a on mógł tylko odpierać kolejne natarcia.

„Jak długo?” - przebiegło mu przez myśl.

Wtem otoczyli go i sprytnie zapędzili w potrzask, z którego nie mógł się wydostać.

„Już po mnie!”-jęknął bezgłośnie i kątem oka zerknął na rękojeść miecza wystającą z nad barku.

Był już zmęczony, ale nie dał tego po sobie poznać.

„Żadnych słabości!” Pamiętał dobrze własne postanowienie sprzed lat.

Znienacka Tarik rzucił się na niego. Zauważył, że do tej pory obcy trzymał ich na odległość, ale teraz musi popełnić błąd.

„Po prostu musi!” - zawył w duchu z wściekłością.

Przybysz zareagował o ułamek sekundy za późno i nie zdołał już skontrolować. Zablockował kijem pchnięcie, lecz tracąc przy tym równowagę, runął na ziemię.

- Już po tobie, gnojku! - krzyknął Tarik, który wylądował na nim.

Zwarli się w śmiertelnym uścisku, a ostrze sejmityra zatrzymało się na drewnianym drągu dosłownie o kilka cali od twarzy wędrowca. Przygwożdżony do ziemi ciężarem ciała przeciwnika, czuł, że nacisk z każdą chwilą staje się coraz większy. Pot wstąpił mu na czoło, mięśnie drgały pod ubraniem naprężone i twarde jak stal.

„Nie! - zakołatało mu w myśli. - Nie mogę pozwolić mu...

Wtem rozległ się trzask i kij pękł, a przed oczami obcego przesunęło się całe jego życie. Opadająca klinga niechybnie rozplatałaby mu czaszkę, gdyby w ostatniej chwili jednym, silnym wykopem nie przerzucił przez siebie napastnika. Najemnik spadł na ziemię, zaskoczony i zdezorientowany. Znowu zerwali się na nogi, lecz nagle stanął między nimi Ablaj.

- Dostyc tego!

Ze złością odwrócił się w stronę brata i z całej siły

trzasnął go pięścią w twarz. Tarik zatoczył się, a z rozciętej wargi popłynęła krew.

- Głupi, bezmyślny szczeniaku! - krzyknął. — Bawi cię to?! Tak go nie pokonasz!

Długowłose szermierz z miejsca opamiętał się i przytomniejącym wzrokiem spojrzął na brata. Dwie połówki przełamanego kija wciąż tkwiły w zaciśniętych dłoniach wędrowca, ale on nawet nie zwrócił na to uwagi. Dopiero teraz odrzucił je od siebie i stanął naprzeciw nich bez broni, z pustymi rękami, a złowrogie cienie drgały w jego spojrzeniu.

- Nie róbcie tego.

Myśleli, że prosi o litość, a tymczasem on ich ostrzegał.

- Czas umierać, wędrowcze! - rzucił chłodno starszy z braci.

- Nie ja dziś zginę, lecz wy - powiedział cicho przybysz, a w jego głosie brzmiała nieuchronna, smutna pewność.

- Kpisz ze mnie?! — zawrzał wściekłością Ablaj.

- Nie tym razem.

Tarik napotkał spojrzenie brata i lekko kiwnął głową, bezbłędnie odczytując jego zamiar. To będzie ich ostatnie starcie. Jeśli w pojedynkę nie mogą go zabić, uczynią to razem.

„Teraz albo nigdy” - zdecydowali.

Osaczają przeciwnika i stosując tajemną, tylko sobie znaną taktykę, zasypią go gradem pchnięć, a potem zręczną manipulacją odwrócą jego uwagę, by jeden z nich mógł niespodziewanie zadać decydujący cios.

„Już nam się nie wymknie!” — przesadzili o losie przeciwnika i ruszyli wprost na niego, rozpoczynając swój taniec śmierci.

Ich ostrza zataczały w powietrzu błyskawiczne, precyzyjne kręgi. Z gardeł najemników wyrwał się krótki bojowy okrzyk i w tej samej chwili dłoń przybysza spoczęła na rękojeści jego miecza.

„Sami tego chcieli" - pomyślał z rezygnacją.

Nagle wszyscy trzej usłyszeli hałas i spoglądając w jego kierunku, zatrzymali się. Karetą wykonano gwałtowny zwrot, a konie zarżały i ruszyły z kopyta prosto na nich. Powóz przetoczył się z impetem środkiem gościńca, omal ich nie tratując, i popędził przed siebie, znikając wśród tumanów kurzu. W ostatniej chwili mignęła im przed oczami zakapturzona dziewczęca postać trzymająca lejce. Zanim się zorientowali, było już za późno. Serim rzucił się w pościg za powozem, krzycząc i wymachując rękami, lecz na próżno. Jego najcenniejsza zdobycz, którą miał ukryć i chronić przed Armandem van der Zahrem, oddalała się od niego bezpowrotnie. W przypiływie rozpacz i wściekłości cisnął kamieniem w ślad za niknącą mu z oczu karetą.

„Jak mogłem tego nie zauważyć?! - wyrzucał sobie w bezsilnym gniewie. - Niech to cholera! Niech to szlag! Niech to wszyscy diabli! Uciekły! Uciekły, bo nie powiedziałem im prawdy".

Wbił jarzący się nienawiścią wzrok w zdumionego przybysza, a jego zaciśnięta ręka wznosiła się powoli tak, jakby chciał zadać mu cios.

- Po co się wtrącałeś?! To ja miałem je chronić! A przez ciebie już są martwe! Martwe, słyszysz?!

Nagle jednak nienawiść płonąca w jego oczach zastąpiła udręka, a pięść opadła z rezygnacją. Najemnik odwrócił się bez słowa i zagłębił w las, chcąc jak najszybciej

opuścić miejsce masakry. Ablaj i Tarik schowali broń i bez słowa powlekli się za swoim dowódcą, posyłając wędrowcowi wyzywające, pełne nienawiści i pogardy spojrzenia.

Wraz z zapadającym zmrokiem wielowiekowy las zastygł w milczącym oczekiwaniu na to, co miała przynieść nadchodząca noc. Wtem spowity czarnymi chmurami nieboskłon został brutalnie rozdarty przez oślepiający błysk gromu. Ziemia zadrżała i po chwili z nieba spadły pierwsze krople deszczu, a potem rozpętało się prawdziwe piekło. Strugi ulewy zacinały bezlitośnie, a przeszywający wicher napełnił ciemność głuchym rykiem, pogrążając świat w mroku i chaosie.

Violette de Montraine z coraz większym trudem kierowała rozpedzonym zaprzęgiem. Cztery narowiste rumaki były niespokojne i pędziły przed siebie jak oszalałe. Nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła utrzymać je w ryzach, ale musiała wytrwać za wszelką cenę. Inaczej ona i jej siostra będą zgubione.

Wiodący przez wzgórza trakt stawał się coraz bardziej kręty i wyboisty, aż w końcu przybrał postać skalnej półki zawieszanej nad głęboką przepaścią. Znajdująca się już na skraju wytrzymałości dziewczyna zdawała sobie sprawę, że wystarczy jeden nieostrożny ruch lub chwila nieuwagi, by nigdy nie dotarły do celu swej podróży. A jednak wciąż miała nadzieję, że zdarzy się cud i pomimo wzmagającej się wichury poganiała zaprzęg, ostatkiem sił walcząc o życie.

Mimo to jej upór i desperacka odwaga nie zdały się na nic, gdy potężny piorun trzasnął prosto w drzewo

rosnące obok drogi. W jednej chwili buchnęły płomienie, a przerażone konie stanęły dęba i gwałtownie zrywając się do galopu, pognały przed siebie wprost na zatracenie. Jednym silnym szarpnięciem wyrwały lejce z rąk dziedziczki, rozcinając tym delikatną skórę jej dłoni, ale nie miało to już żadnego znaczenia. Tylko przerażenie odbiło się w jej oczach, gdy zdała sobie sprawę, że to koniec.

Do odgłosów rozszalałej nawałnicy dołączył przeraźliwy krzyk Violette w chwili, gdy spłoszone konie ściągnęły powóz prosto w przepaść. Drewniana karetka koziołkowała, rozbijając się o kolejne skalne występy, a w końcu legła strzaskana na samym dole. Jeden z rumaków zdołał zerwać się tuż przed tym i uciec w las, a reszta stoczyła się wraz z pojazdem. Ich zmasakrowane ciała leżały teraz na dnie głębokiego, ciemnego wąwozu, a deszcz padał nieprzerwanie. Mroczna przepowiednia Serima sprawdziła się, dając wyraz odwiecznej prawdzie o tym, że człowiek przeciwstawiający się potędze natury zawsze poniesie klęskę.

Wedrowiec

Przybysz, który tego dnia napotkał na swej drodze Serima i jego towarzyszy, zdołał w ostatniej chwili schronić się przed ulewą w małej wnęce pośród skał. Gdzieś tam w górze rozszalałe żywioły toczyły ze sobą zaciętą walkę, ale on był tu w miarę bezpieczny. Wokół niego panowała tylko nieprzenikniona ciemność, wilgoć, chłód i samotność - żadne z tych odczuć nie było mu obce. Po omacku odnalazł kilka suchych gałązek, a gdy wreszcie udało mu się rozpalić ogień, rozgrzał nad nim zziębnięte ręce i poczuł, jak przyjemne ciepło zaczyna mrowić go w palcach. Był zmęczony i głodny. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł...

„Wczoraj? Przedwczoraj?” - zastanawiał się.

Powoli ściągnął z siebie brudne, przemoczone łachy i przyjrzał się własnemu ciału, które stało się dziwnie wychudzone i blade jak cień. Pozostała w nim już tylko dawna szybkość i nadludzka wytrzymałość. Długa wędrówka kosztowała go już wiele - bardzo wiele. Oparł głowę o zimny gład i przymknął powieki. Przemierzył już pół świata i nic... Sam. Zawsze sam. Wszędzie był tym obcym. Czy za kimś tęsknił? Tam, skąd przybywał, nie miał rodziny, domu, nikogo. Oprócz niej... Serce przeszył mu bolesny skurcz. Wiedział, że ona będzie na

niego czekać, nawet jeśli nigdy nie powróci. W końcu zasnął znużony, a noc przyniosła ukojenie i gdy parę godzin później ktoś zawołał go we śnie: „Reynardzie”, rozpoznał jej głos i wiedział już, że musi ruszać.

Dochodziło już prawie południe, gdy wędrowiec szedł wąską granią, u stóp której rozciągała się głęboka, mroczna przepaść. Myślał o tym, że nie uda mu się dotrzeć dziś do miasta i będzie musiał znów przenocować w lesie, gdy wtem jego oczom ukazały się szczątki roztrzaskanej karety, spoczywające na dnie skalistego wąwozu.

Zimny dreszcz natychmiast przebiegł mu po plecach, a przed oczami jak żywy stanął najemnik krzyczący: „To przez ciebie będą martwe!”. Bez zastanowienia wy dobył więc spod ubrania cienką, mocną linkę i starannie obwiązał ją wokół pnia grubego drzewa.

„Mówią, że nadzieja jest matką głupców - westchnął w duchu. - Niech tak będzie”.

Za pomocą sznura zaczął szybko i sprawnie spuszczać się po stromym zboczu, a w chwilę później był już na dole. Pośpiesznie przeskakując po głazach, którymi usiane było dno wąwozu, dotarł do karety i bez entuzjazmu potoczył wzrokiem dokoła.

„Nic” - pomyślał zawiedziony.

Żadnego ruchu, dźwięku, nawet szmeru... Tylko cisza. Dopiero wtedy powoli zaczął uświadamiać sobie, że nikt nie byłby w stanie przeżyć upadku z takiej wysokości.

„To niemożliwe” - stwierdził i zaśmiał się gorzko z własnej naiwności.

Poczuł, że musi jak najszybciej opuścić to ponure miejsce. Nie zamierzał szukać trupów, a przynajmniej nie tym

razem. Być może nie powinien był się w to wtrącać, ale stało się, i reszta nie należała już do niego.

„Niech ktoś inny je pochowa” - rzekł w duchu.

Postąpił parę kroków naprzód i wtem wydało mu się, że w gąszczu ciernistych krzewów dostrzegł jakiś kształt. Zmrużył oczy i przyjrzał mu się uważniej, a gdy dostrzegł wyraźny zarys dziewczęcej postaci, bez namysłu rzucił się w jej stronę. Był pewien, że wzrok go nie myli - ona naprawdę tam była.

„Jej suknia - myślał gorączkowo. - Jaki to kolor? Kwitnącego wrzосу?”

Jednym mocnym szarpnięciem odciągnął kujące chaszcze broniące mu do niej dostępu.

— O, bogowie! — jęknął i kolana nagle ugięły się pod nim.

Z czasem do wszystkiego można przywyknąć i choć widok trupów nie wywoływał w nim już żadnych emocji, to teraz zacisnął mocno zęby, a coś w jego wnętrzu głucho zawyło. Dziewczyna leżała nieruchomo z głową roztrzaskaną o skały i wydawało się, jakby po prostu zasnęła.

Niepewnie wyciągnął dłoń i pogładził opuszkami palców jej błądy policzek. Ciało było jeszcze ciepłe, a w oczach wędrowca drgały zagadkowe cienie. Mieszkańcy tych krain wierzyli, że na ziemię mogą zstępować skrzydlaci posłańcy niebios, ale czy to możliwe, by była jednym z nich?

— Śpij słodko, aniele — wyszeptał zdławionym głosem. - Nie chciałem tego, wybacz.

Odwrócił się, by odejść, i nagle kątem oka dostrzegł coś dziwnego — jakby poruszenie, jakby... „Oddech?” - odkrył ze zdumieniem.

W ułamku sekundy przypadł do niej i pochyliwszy się, zaczął nasłuchiwać. Wtem jego twarz omiotło ciepłe tchnienie powietrza, tak słabe i ulotne jak wątpa iskra życia, która jakimś cudem jeszcze się w niej tliła. Ale na jak długo to wystarczy? Powoli i bardzo ostrożnie podniósł dziewczynę z ziemi, po czym z powątpiewaniem spojrzął w górę.

„I co teraz?” - zapytał sam siebie.

Z wolna czuł, jak ogarnia go wściekłość. Znalazł się w potrzasku na dnie wąwozu, trzymając na rękach konającą dziewczynę, a jedyna droga powrotna wiodła prosto w górę. Czuł, że musi się spieszyć, inaczej ona umrze.

„Czy wszystkie siły na niebie i ziemi sprzysięgły się przeciwko mnie?!” — zawołał w duchu z mieszaniną wściekłości i irytacji.

Mógł liczyć tylko na siebie i wiedząc, że nikt nie pomoże mu wydostać się z tego przekłętego parowu, zaczął gorączkowo rozglądać się dokoła w poszukiwaniu innego wyjścia, lecz go nie znalazł. Znów podniósł w górę wzrok, próbując zważyć w rękach ciężar dziewczyny. Przez chwilę wydała mu się dziwnie lekka, mimo iż przemoknięta suknia ciążyła na niej i utrudniała mu ruchy. Wtedy podjął decyzję.

- Samobójstwo - mruknął.

To oczywiste.

„Ale do diabła z tym!” - rzucił wyzwanie losowi.

Przecież chciał ją uratować. Chciał tak bardzo, że... Wziął głęboki oddech i przerzucił przez ramię jej bezwładne ciało, a sam oburącz schwycił linę i rozpoczął żmudną wspinaczkę. Podejście było bardzo strome i niemal nadludzkim wysiłkiem udało mu się dotrzeć na

samą górę. Pozostał jeszcze ostatni odcinek i choć znajdował się już tylko kilka stóp od urwiska, to pionowa ściana i bliskość krawędzi uczyniły pokonanie go prawie niemożliwym. Nagle jedyna wystająca skałka, na której znajdował oparcie, oderwała się i poszybowała w dół. Jego stopy na próżno szukały choćby najmniejszego zagłębienia w gładkiej litej skale. Sytuacja z każdą chwilą stawała się coraz bardziej dramatyczna. W przyływie desperacji ostatkiem sił spróbował podciągnąć się, ale lina tylko bezlitośnie wrzynała się w jego dłonie. Czuł, jak pot zaczyna ściekać mu z czoła. Straszliwy wysiłek i poświęcenie nie zdały się na nic, a on zamiast pisać się górę, obsuwał się coraz bardziej.

„To koniec” - przeleciało mu przez myśl.

Zawisł tak pomiędzy życiem a śmiercią, trzymając na swoim ramieniu jeszcze jedno życie, które za wszelką cenę pragnął ocalić. Zaciśnął z bólu zęby. Przecież doskonale znał swoje możliwości, a jednak tym razem się przeliczył. W duchu wyrzucał sobie własną lekkomyślność, ale najgorsza była świadomość, że naraził nie tylko siebie, lecz również ją.

Postawił wszystko na jedną kartę i teraz zapłacać za to oboje. Czuł, że zdrętwiałe palce nie utrzymają już długo takiego ciężaru. Ból w rękach stał się nie do zniesienia i zaraz runą z powrotem w przepaść. Dosłownie sekundy dzieliły ich od nieuchronnej śmierci, gdy wtem poczuł, jak jakaś silna ręka wciąga ich na górę.

„Wytrzymam — postanowił w nagłym przyływie nadziei. — Muszę wytrzymać! Jeszcze tylko chwilę”.

Znad krawędzi wyłoniła się chuda, sękata dłoń i z przedziwną łatwością wydobyła z przełęczu najpierw nieprzy-

tomną dziewczynę, a potem jego. Gdy znaleźli się na górze, wędrowiec opadł na kolana, dysząc ciężko, i resztkami sił zmusił się, by podnieść wzrok. Spodziewał się wybawcy lub w najgorszym razie Serima i jego ludzi, a ujrzał... **TO.**

„Kim jest ten stwór?!” - omal nie wykrzyknął na głos zdumiony wędrowiec, gdyż nie do końca był pewnie, czy ma przed sobą człowieka.

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak Belzebub rodem z ludowych opowiadań. Mierzył około sześciu stóp wzrostu i pomimo kościstej budowy ciała wydawał się silny. Wędrowiec obrzucił go uważnym spojrzeniem i natychmiast zauważył, że dziwnie nierówny, pokraczny chód wcale nie przeszkadza mu w szybkim i zwinnym poruszaniu się, a przygarbiona w wyniku jakiejś wrodzonej lub nabytej wady sylwetka odznacza się charakterystycznym ułożeniem szyi i głowy, które sterczą drapieźnie i niepokojąco, przywodząc na myśl padlinożernego sępa. Spod ciemnej płataniny przyprószonych siwizną włosów niespokojnie błyskały czujne oczy, zdradzające głęboko zakorzenioną nieufność i wrogość wobec ludzi. Miejscowi wieśniacy bali się go, unikając jak ognia. I dobrze—wolał, by trzymali się z daleka. Nie tęsknił do ich towarzystwa. Jego powierzchowność sprawiła, że wiele lat temu został wyrzucony poza nawias społeczeństwa i teraz wiódł życie z dala od ludzkich spojrzeń pełnych wścibstwa i zakłamania.

Mimo tego Reynard nie ufał temu dziwnemu mężczyźnie. Nie wiedział, czego może się po nim spodziewać. Wtem zobaczył, jak obcy pochyła się nad dziewczyną i coś wyciąga z zanadrza.

- Hej, uważaj! — krzyknął. - Zostaw ją!

Mając złe przeczucie, skoczył i chciał go odepchnąć, ale nim się zorientował, silne ramię mężczyzny bez trudu cisnęło nim o pień drzewa. Wędrowiec błyskawicznie znów zerwał się na nogi i wtedy... wreszcie zrozumiał. W wysoko uniesionych dłoniach pustelnika tkwiły podarte w pasy tkaniny i zawiniątka z ziołami. Reynard popatrzył na niego ze zdumieniem i zrobił rękoma przepaszający gest. Odmieniec, nie spuszczać z niego wzroku, powrócił do przerwanej czynności, a przybysz pogodził się z tym, że musi mu zaufać. Nie miał innego wyboru. Trzeba było wrócić po drugą z dziewczyn i jeśli pomógł mu poprzednim razem, być może zrobi to znowu.

„Nie ma czasu do stracenia” — powziął decyzję.

Złapał znów za linę i zwinnie zeskoczył z urwiska, po raz drugi pograżając się w mrocznych czeluściach przepaści. Znalazł się na dole jeszcze szybciej niż poprzednio i gnany dziwnym przeczuciem podążył w stronę rumowiska. Zaczął prędko przetrzucać kawałki desek, belki z podwozia, połamane osie kół, jakby pragnął przekonać się, że ona wciąż żyje. Wtem natrafił na drobną, siną dłoń.

„To na pewno druga z nich” - pomyślał.

Bez wahania przesunął piętrzące się sterty gruzów i nagle dłoń się poruszyła. Reynard nie wierzył własnym oczom, a gdy wreszcie się do niej dokopał, dziewczę wydało z siebie słaby, bolesny jęk. Natychmiast zauważył jej pogruchotane nogi i przez głowę przemknęła mu myśl, że nawet jeśli ta dziewczyna przeżyje, to nigdy nie będzie już chodzić o własnych siłach. Jedna ze złamanych kości przebiła skórę i sterczała ohydnie na zewnątrz, oblepiona wyciekającą posoką, a zaschnięta krew plamiła

dziewczynie suknię i białe pończochy. Wędrowiec odwrócił wzrok. Nie chciał patrzeć. Słyszał, jak ciężko oddycha, i wiedział, że jej szanse maleją z każdą chwilą. Nie da rady jej wynieść, a przynajmniej nie w tym stanie.

„Mam tu siedzieć i czekać, aż umrze?!“ - roztrząsał z goryczą swe położenie.

Nic innego mu nie pozostawało. Chyba że udałoby mu się sporządzić prowizoryczne nosze z kawałków desek. Wtedy istniałaby szansa na wydostanie jej stąd. Mógłby wprowadzić umieścić ją na noszach, ale sam nie byłby w stanie ich wciągnąć. Potrzebował pomocy kogoś z góry. Podniósł wzrok i ujrzał stojącą nad urwiskiem postać znachora. Zrozumieli się bez słów i Reynard pośpiesznie zabrał się do pracy, a w jego skołatany umyśle zabłysła nadzieja.

Gdy tylko Sophie de Montraine znalazła się bezpiecznie na skraju urwiska, pustelnik pochylił się nad nią i z powątpiewaniem pokręcił głową. Jedynymi dźwiękami, jakie wydobywały się z jego gardła, były na wpół zwierzęce pomruki i chrząknięcia, za pomocą których porozumiewał się ze światem. Teraz mruknął coś sam do siebie. Zdawał sobie sprawę z tego, że kości trzeba będzie nastawić, ale wolał z tym poczekać. Podniósł więc starszą z sióstr, bez pardonu przerzucił ją sobie przez ramię i zniknął w gęstwinie leśnych zarośli, oddalając się w sobie tylko znanym kierunku. Reynard stał przez chwilę zdezorientowany, po czym nie widząc innej możliwości, wziął na ręce drugą z nich i podążył w ślad za mężczyzną.

Wędrówka zajęła im dobrych kilka godzin, a gdy wreszcie dotarli na miejsce oczom wędrowca ukazało się coś,

co trudno byłoby nazwać domostwem, czy choćby lichą zagrodą. Chyląca się do ruiny lepianka, bardziej przypominająca leśny szałas niż dom, sprawiała wrażenie, jakby przy każdym mocniejszym podmuchu wiatru miała rozlecieć się na kawałki. Siwy dym unoszący się z dymnika świadczył o tym, że ktoś jest w środku, a w skleconej byle jak zagrodzie stała jedna koza - tak chuda, że kości sterczały jej spod skóry, i meczała teraz żałośnie. Wszystkie te elementy komponowały się w jeden obraz nędzy i rozpacz. Trudno byłoby osądzić, czy miejsce to nadaje się bardziej na mieszkanie dla ludzi, czy na kryjówkę dla leśnych stworów, choć pełniło zapewne rolę jednego i drugiego po trosze.

Mężczyzna energicznym kopniakiem otworzył krzywe, wypatrzone drzwi i zniknął w czeluściach chatki. Reynard niepewnie ruszył za nim, a gdy jego wzrok przyzwyczał się do panującego wewnątrz półmroku, ujrzał małą, rudowłosą dziewczynkę, która z dziarsko zadartym noskiem i umorusaną twarzą stała na taborecie, nachylając się nad dużym, czarnym kotłem, z którego unosiły się gęste opary.

- Valgirus! - wykrzyknęła dźwięcznym głosem na widok powracającego pustelnika. - Kogoś ty mi tu znowu przywłókł?!

Ten w odpowiedzi mruknął tylko coś niechętnie i bez dalszych wyjaśnień położył Violette na rozwalającym się barłogu, który służył mu najpewniej za posłanie. Dziewczynka, widząc stojącego pośrodku izby nieznajomego, odłożyła ciężką warząchew, zeskoczyła lekko z niskiego taboretu i zwróciła się do niego:

- Połóż ją tutaj.

Reynard ostrożnie ułożył nieprzytomną na sienniku nieopodal zarzającego się paleniska.

- A teraz odsuń się.

Szybko nagrzała wody, podarła w pasy tkaninę i przyniosła z komórki jakieś mikstury. Zdążyła ze wszystkim, zanim zjawił się Valgirus, a wędrowiec odsunął się dyskretnie w stronę drzwi. Wiedział, że powinien teraz skorzystać z okazji i wymknąć się po cichu. Położył już dłoń na skoblu, gdy wtem usłyszał przerażony głos małej pomocnicy znachora:

- Ona się budzi! Co mam robić?!

Valgirus chrząknął z jawnym niezadowoleniem i w chwilę później rozległo się ohydne chrupnięcie nastawianej kości, a chatę wypełnił rozdzierający krzyk, który już wkrótce przerodził się w głuche wycie. Młodsza z dziewcząt zwijała się z bólu i wrzeszczała jak opętana, lecz pustelnik pośpiesznie wetknął w jej usta gruby patyk, by nie odgryzła sobie języka.

I kolejny trzask, od którego ciarki przechodzą po plecach, a zaraz potem krzyk przechodzący w zdławione bulgotanie. Szybko poruszające się sylwetki znachora i jego wychowanki zasłaniały Reynardowi okropny widok, ale on nie musiał patrzeć, by wiedzieć, co się tam dzieje. W przeszłości miał wiele okazji, by opanować sztukę nastawiania złamanych kończyn - najczęściej własnych. Postanowił więc usiąść z boku na ławce, oprzeć się o ścianę i czekać.

Zapadł zmierzch, ale mieszkańcom chaty na odludziu nie dane było spać tej nocy spokojnie. Młodsza córka hrabiego nadal straszliwie cierpiała, a pustelnik nie oddalał

się od niej na krok. Gdy w końcu podał jej środki uśmierzające ból, zapadła w płytki, niespokojny sen i trawiona gorączką, nerwowo rzuciła się na posłaniu.

Starsza z sióstr leżała za prowizoryczną zasłoną z grubego płótna często i gęsto połatanego, a siedzący nieopodal wędrowiec wpatrywał się w nią z zaniepokojeniem. Jak dotąd nie odzyskała przytomności, lecz teraz jej stan zaczął się niespodziewanie pogarszać - mocno gorączkowała, majaczyła, a z kącika jej ust spłynęła cienka strużka krwi. Najwyraźniej musiało się z nią stać coś, o czym nie mieli pojęcia. Być może to jakiś wewnętrzny krwotok albo obrażenia, które były dla nich niewidoczne. Dlatego byli bezradni, a żadne leki Valgirusa nie skutkowały.

Krwi wciąż przybywało i Reynard wiedział, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, istnieje ryzyko, że dziewczyna po prostu się nią udusi. Nagle Violette niepokojąco zakasłała i w tym samym momencie zaczęła się krztusić.

- Szybko, pomóż mi! - krzyknął wędrowiec do rudowłosej dziewczynki.

Ostrożnie uniósł ją na łóżku i odchylił głowę nieprzytomnej w tył, a wychowanka znachora pospiesznie podłożyła jej pod plecy zwinięty pled. Violette zaniósła się głębokim, dławiącym kaszlem, a wraz z nim z ust bluzgnęła szkarłatna krew. Wędrowiec podtrzymał ją swoim ramieniem i przechylił jeszcze bardziej.

„Tylko spokojnie” - przemawiał do niej w myśli, próbując opanować sytuację.

Znienacka zachłysnęła się powietrzem i złapała oddech.

- Czy ona umrze? - pisnęła przerażona dziewczynka.

- Nie - odparł spokojnie i przyłożył jej do ust mokrą chustkę. - Nie pozwolę na to.

W milczeniu patrzyła, jak nieznajomy mężczyzna odgarnia jasne kosmyki włosów z twarzy Violette i delikatnie ociera sączącą się krew. I chyba dostrzegła coś jeszcze - w sposobie, w jaki na nią patrzył.

Violette pogrążona w mrocznych odmętach nieświadomości, zapadała się coraz głębiej w bezdenną otchłań, a jej otepiały umysł dryfował bezwolnie w stronę wydarzeń, które rozegrały się zaledwie kilka dni temu i na zawsze odmieniły całe jej życie. Wciąż miała przed oczami widok gońca, który pojawił się przed bramami jej rodzinnego zamku, niczym złowróźbna zapowiedź. Odziany w długi, czarny płaszcz wjechał na dziedziniec i z milczącą powagą oddał zapieczętowane pismo w ręce jej ojca, by po chwili zniknąć między otaczającymi gród lesistymi pagórkami. Hrabia rozpieczętował list i zaczął czytać, a ona patrzyła, jak wyraz jego twarzy coraz bardziej się zmieniał.

Kiedy skończył, zabrał pismo i bez słowa zamknął się w swych komnatach na długie godziny. Gdy stamtąd wyszedł, był już zupełnie innym człowiekiem - starszym o co najmniej dziesięć lat, posepnym i przerażającym. Violette wiedziała, że dawno temu stracił coś, co kochał, bo nie miał w sobie dość odwagi, by o to walczyć. Od tamtej pory poczucie winy tliło się w nim nieprzerwanie niczym zły demon i być może teraz straszliwe widmo zagłady, jakie zawisło nad nim i jego bliskimi, spowodowało tę nagłą przemianę.

W liście oskarżono go o zdradę, chociaż każdy zaufany doradca królewski umieściłby jego nazwisko na ostatnim miejscu listy potencjalnych zdrajców. Dlaczego więc tak łatwo uwierzyli w słowa Armanda van der Zahra?

„Siła jest najlepszym argumentem”- Violette zdawała sobie z tego sprawę aż nazbyt dobrze.

W tych ponurych czasach nie trudno było o dowody winy. Kilka poufnych rozmów, nieopatrznych spotkań na osobności, zręcznie sfalszowanych pism wystarczy, by skazać człowieka na śmierć. Dlatego była pewna, że jej ojciec nie stawi się na zainscenizowanej przez Armanda farsie praworządneho procesu, który był tylko czystą formalnością.

„Prawdziwy wyrok już zapadł, a honor rodu nie pozwoli mi na takie poniżenie” — myślała.

Jego los był z góry przesądzony, zamiast więc tracić cenny czas na gromadzenie dowodów swej niewinności, kazał zbudować palisady i podwyższyć umocnienia, przeczuwając, że już wkrótce rozpocznie się oblężenie.

Początkowo zamierzał puścić do zamku Illion posłańca z odpowiedzią, ale Jean -jedyne dziecko jego zmarłego brata - nalegał, by pozwolił mu jechać. Los nie zesłał hrabiemu upragnionego męskiego potomka, nic więc dziwnego, że znalazł go w pogodnym i bystrym młodzieńcu, dla którego on i jego rodzina stali się jedyną namiastką domu. Zapewne pragnął, by Jean stał się dziedzicem majątku i nazwiska, ale los chciał inaczej.

Ulegając w końcu namowom, wręczył mu pismo i dał do dyspozycji swą zbroję złożoną z sześciu najlepszych rycerzy. Rankiem następnego dnia Jean siedział już na swym wierzchowcu, odziany w długi płaszcz, z mieczem przytroczonym do boku, a wiatr targał jego złote włosy związane z tyłu rzemieniem, gdy żegnając się z najbliższymi zawołał rezolutnie, że wciśnie słowa van der Zahra z powrotem do jego gardła. Jeźdźcy mający mu towarzyszyć

czekali już przy bramie, ale on wyraźnie zwlekał z odjazdem. Violette wiedziała, że czeka właśnie na nią i zbiegając w pośpiechu krętymi schodami, wpadła wprost na dziedziniec.

- Jean! - krzyknęła, a służba szybko rozstała się przed nią.

- Zawsze ci mówiłem, żebyś nie przesiadywała do późna nad księgami! - zawołał wesoło. - Nikt nie będzie chciał mieć żony mądrzejszej od siebie. A poza tym to nie przystoi pannie ze szlacheckiego rodu.

Zmieszana Violette spuściła wzrok.

- Wiesz przecież, że nie wyjdę za mąż - odrzekła cicho.

Rodowe więzy krwi sprawiły, że nie mogła poślubić tego, którego kochała. Dlatego przyrzekła mu, że nigdy nie stanie się żoną innego mężczyzny. Pozostanie sama do końca życia tak jak ten, który schylił się teraz z wysokości siodła i przytulił ją do siebie odrobinę za długo.

- Zegnaj - powiedział półgłosem i przesłał jej uroczy, pełen ciepła uśmiech. — Wrócę niebawem!

Machnął ręką i pogalopował w stronę bramy, gdzie dołączyli do niego towarzysze.

Przygotowania do obrony postępowały z każdym dniem, a mieszkańcy grodu coraz wyraźniej zdawali sobie sprawę z ciężkiej nad nimi groźby. Zgromadzono zapasy żywności, zbudowano katapulty, wzniesiono wały ziemne i ostrokoły, umocniono mury. Rozkaz hrabiego powołał pod broń wszystkich zdrowych i zdolnych do walki mężczyzn.

Nie dalej niż cztery dni temu Jean odjechał do Illion i nie powrócił do tej pory, lecz Violette była o niego spokojna.

„Poseł jest nietykalny" — zapewniano ją.

Nikt nie spodziewał się nadchodzących wydarzeń aż do wczesnego popołudnia, kiedy to wartownicy stojący na wieży dostrzegli w oddali tajemnicze postacie, które pojawiły się na skraju lasu.

- Kapitanie! Ktoś się zbliża! — zawołał jeden z nich.

Gdy tylko Violette usłyszała podniesione głosy, wybiegła ze swej komnaty i pośpiesznie wspięła się na drewniany chodnik wijący się u szczytu murów obronnych, gdzie znajdowały się stanowiska dla łuczników. Mijając kolejne skupiska żołnierzy, dotarła wreszcie do baszty obserwacyjnej i przechyliwszy się przez gruby kamienny mur, ocieniła dłonią oczy. Po chwili rozpoznała prowadzoną na postronku postać.

— To Jean! - krzyknęła z przerażeniem.

Dwaj jeźdźcy w czarnych płaszczach zbliżali się wolnym stępem, prowadząc za uzdę trzeciego konia, a za nimi w pewnej odległości ze skrepowanymi rękami szedł człowiek, który niegdyś był pięknym, pełnym życia młodzieńcem. Teraz zupełnie do siebie niepodobny — wycieńczony, zakrwawiony, w łachmanach — gasnącym spojrzeniem błękitnych oczu omiótł po raz ostatni mury ukochanego grodu. Prowadzony na postronku niczym jeniec, był już u kresu sił. Bez towarzyszy, bez broni, wzięty podstępem, na piersiach przypięty miał list z pieczęcią Armada van der Zahra, gdyż pisane mu było do końca spełnić rolę posłańca.

Oprawcy zatrzymali się w takiej odległości od zamku, by nikt nie zdążył przyjść z pomocą. Jeden z siepaczy zsiadł z konia i zarzucił mu na szyję pętlę przymocowaną do siodła idącego wolno wierzchowca. Bratanek hrabiego

wiedział już, co go czeka... Bramy grodu rozwarły się ze zgrzytem i wypadła z nich gromada uzbrojonych jeźdźców z Christopherem de Montraine, lecz Violette przeczuwała, że nie zdołają go uratować. Wyrwała się z ramion matki i krzycząc rozpaczliwie, zaczęła biec co sił w tamtym kierunku. Z jasnym warkoczem, we wrzosowej sukni była ostatnim widokiem w jego życiu. Nie zwrócił uwagi na galopujących żołnierzy ani zrozpaczonego stryja, gdyż widział już tylko ją... I chciał zatrzymać ten obraz na wieki.

W tej samej chwili oprawcy zaciągnęli mu pętlę na szyi, a ciężka dłoń jednego z nich opadła na zad wierzchowca. Zwierzę zarżało, przysiadło na tylnych nogach i pognało jak oszalałe. Sznur w ułamku sekundy zacisnął się i porwał za sobą ciało Jeana, a galopujący koń włókł go dostatecznie długo by, gdy zetknie się z jeźdźcami hrabiego, był już martwy. Dwaj wysłannicy spieszenie zawrócili i odjechali, nie chcąc narażać się na krwawy odwet, a ich czarne płaszcze z wyhaftowanym herbem van der Zahra na zawsze zapadły w pamięć Violette.

Ciepłe zwłoki młodzieńca wniesiono za bramę, a martwą ciszę przerywał od czasu do czasu kobiecy szloch, gdy z powagą odjęto od piersi Jeana zapieczętowaną odpowiedź diuka Bretanii.

- Przeklęty van der Zahr! - rzucił hrabia i przez chwilę uważnie czytał pismo zbroczone krwią bratanka. - Żąda, abym odesłał do Illion swoje córki, bo inaczej...

Nie dokończył.

- Po moim trupie. - Z wściekłością cisnął list na ziemię i odszedł.

Późnym wieczorem znów zaszył się w swoich komnatach, by zastanowić się nad obecną sytuacją, i znużony

zasnął. Nad ranem zerwał się z posłania, zlany zimnym potem i otrząsnął z resztek koszmarne snu, w którym zobaczył swoją przyszłość.

„Upadniesz” - wyrzekła ukazująca mu ją postać i symbolicznie przewróciła bogato zdobiony kielich rodowy hrabiego, który został przez nią wcześniej opróżniony.

Zdezorientowany mężczyzna zaczął nerwowo rozglądać się po komnacie, intuicyjnie szukając potwierdzenia swego snu i niespodziewanie dostrzegł leżący na stole pęknięty złoty puchar. Tknięty złym przeczuciem, wezwał zaufanego sługę i wydał mu odpowiednie rozkazy, a gdy zaświtało słońce, udał się do swych córek i oświadczył:

- Szykujcie się. O świcie przybędą żołnierze van der Zahra, którzy was odeskortują.

- Ależ, ojczy! - wykrzyknęła Sophie.

- Żadnej dyskusji. Odsyłam was — tak zdecydowałem. Następnego dnia o świcie z gęstej mgły wyłonił się

zbrojny oddział wikingów, którzy w surowym milczeniu patrzyli, jak dziewczęta żegnają się z rodzicami i wsiadają do powozu. Violette po raz ostatni spojrzała na baszty rodzinnego zamku, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że coś w jej życiu bezpowrotnie przeminęło. Zanim drewniane drzwiczki zatrzasnęły się i karetka odjechała leśnym traktem w kierunku twierdzy, hrabia szepnął do swych córek:

- Obyście nigdy nie ujrzały murów Illion.

Wędrowiec przesiedział z nią w bezruchu kilka godzin i choć ramię zdrewniało mu już dawno, nie odważył się nawet drgnąć. Około północy krwotok ustał tak nagle, jak się pojawił, a oddech dziewczyny stał się równy i spokojny.

Reynard przesunął się nieznacznie i oparł jej głowę na swojej piersi. Teraz mógł rozprostować rękę, która dawała o sobie znać rwącym bólem. Choć podopieczna pustelnika cierpliwie zmieniała okłady, gorączka wciąż nie ustępowała, a śmiertelnie blada twarz Violette ściągnięta była w wyrazie tępego, na wpół świadomego bólu. Z jej piersi wydobywał się cichy jęk, przerywany co jakiś czas niewyraźnie mamrotanymi słowami. Zaintrygowany Reynard pochylił się nad nią i wsłuchał uważnie.

-Jean...

Ciche westchnienie zmusiło go do wyłączenia uwagi.

- Jean... Jesteś tutaj?

Wędrowiec spojrzał pytająco na dziewczynkę, ale ta wzruszyła tylko ramionami i dała mu znak, żeby coś odpowiedział. Wędrowiec przytulił do siebie Violette i odparł łagodnie:

- Tak, jestem przy tobie.

Żadne z nich nie wiedziało, kim jest Jean, ale jeśli to tylko miałyby jej pomóc... Obcy nie pożałował swojego kłamstwa, gdy zobaczył jak twarz dziewczyny rozjaśnia się, a spod powiek opatrzonych ciemnymi rzęsami spływają łzy.

- Nie zostawiaj mnie...- wyszeptała.- Przysięgnij, że już nigdy więcej mnie nie zostawisz...

Wiedział, że nie była sobą i widziała w nim kogoś innego. Głos jej się łamał, a mówienie kosztowało wiele wysiłku. Musiał szybko powiedzieć coś na tyle sensownego, by ją uspokoić. Cokolwiek.

- Przysięgam.

Powiedziałaby jej wszystko, co chciała usłyszeć, dopóki istnieje choć cień szansy, że przeżyje.

„Wszystko” - powtórzył w myśli.

Podobno przysięgi raz wypowiedzianej nie da się już cofnąć. Ale czy to jedno nieopatrzone słowo jest w stanie zmienić bieg wydarzeń i spleść ze sobą losy ludzi, którzy być może nigdy nie powinni byli się spotkać? Tryby zazgrzytały cicho i wielka machina przeznaczenia ruszyła, zmieniając swą dotychczasową trajektorię raz na zawsze.

Zaczynało świtać. Nocne niebo delikatnie zaróżowiło się od wschodu, zwiastując nadejście nowego dnia, a zmęczenie dawało się już we znaki niemal wszystkim. Mała rudowłosa wychowanka Valgirusa oparła łokcie na posłaniu Violette i nieświadomie zapadła w drzemkę. Reynard też siedział w całkowitym odrętwieniu i czuł, jak z każdą chwilą jego powieki stają się coraz cięższe. Sen morzył go niemiłosiernie, ale mimo to zdołał wytrwać jeszcze kilka minut. Nad ranem gorączka spadła i Violette zasnęła otulona ciepłym kocem. Nie wiedział, czy najgorsze minęło, czy ma dopiero nadejść, ale był zbyt zmęczony, by się nad tym zastanawiać. Tępo wpatrywał się w twarz dziewczyny. Była niemal przezroczysta, a mimo to wydała mu się dziwnie piękna. Wtem do ciasnej, dusznej chaty wdarły się pierwsze promienie słońca, a jasne włosy Violette rozsypane bezładnie na poduszce zaskrzyły się złotymi refleksami. Reynard podniósł się i pochylając nad nią, zmarszczył brwi. Podświadomie wyczuł, że coś jest nie tak...

Nagle otworzyła oczy i w tej samej chwili mimowolny krzyk przerażenia wyrwał się z piersi wędrowca, który odskoczył gwałtownie i tracąc równowagę, z impetem runął na ziemię.

— Czym... kim ty jesteś? - wydusił z siebie.

Wrażenie było tak niesamowite, że przez chwilę zastanawiał się, czy to, co ma przed sobą, jest dziełem bogów czy demonów, gdyż z pewnością nie pochodziło z tego świata. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w dwoje ametystowych oczu, które emanowały niepojętym, tajemniczym blaskiem i sprawiały wrażenie, jakby wзираł przez nie duch innego nieśmiertelnego stworzenia, które zamknięto w ciele tej dziewczyny. Reynard doskonale zdawał sobie sprawę, że taka barwa nie występuje w ludzkiej naturze - musi być więc dziełem czegoś innego, może nawet nadprzyrodzonego. Zabobonni wieśniacy najpewniej nazwaliby ją siłą nieczystą, opętaną, czarownicą. W ich ciasnych umysłach istniało wiele określeń, które prowadziły prosto na stos inkwizycji. Ale on nie pochodził stąd i nie był jednym z nich, a zamiast wszystkich tych słów użyto by jednego: bogini, gdyż w tym momencie zrozumiał, że są to najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek dane mu było oglądać.

Violette de Montraine z trudem uniosła się na posłaniu, uważnie mierząc go wzrokiem, i od tej chwili wędrowiec nie miał już żadnych złudzeń. Lodowy chłód tego spojrzenia zniszczył je wszystkie.

— Czym... jestem? — powtórzyła ironicznie. - Jak na włóczęgę masz spory tupet, by stawiać mi takie pytania.

Reynardowi nie spodobał się ton jej głosu. Nie lubił w ludziach dwóch rzeczy - pychy i próżności, a ona doskonale uosabiała obydwie te cechy.

„Nie jest aniołem” - stwierdził ze smutkiem.

Anioły mają serce - ona go nie ma.

— Zwą cię jakoś?

Znów ten ton. Wędrowiec powoli wstał i otrzepał ubranie. Nie było sensu tłumaczyć.

„Kolejna bezmyślna i apodyktyczna ignorantka, która traktuje innych z góry tylko dlatego, że nie należą do jej świata” - zawyrokował.

Nie warto było narażać dla niej życia - teraz już o tym wiedział. Zrobił to, bo zdawało mu się, że jest jej coś winien.

- Nazwałaś mnie włóczęgą - odparł ze spokojem. - Po cóż mi lepsze imię?

Właściwie mógł się tego spodziewać i omal nie zaśmiał się w głos ze swojej naiwności. „Wdzięczność?” - zakpił w duchu. Ona nie wie, co znaczy to słowo.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić?! - wykrzyknęła oburzona. - Wiesz w ogóle, z kim masz do czynienia?

Korciło go, żeby powiedzieć jej coś na ten temat, ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Dotąd napotkał już na swej drodze różne typy ludzkich charakterów, ale ona przechodziła jego najśmielsze wyobrażenia.

- Jestem Violette de Montraine - oznajmiła z wyższością. - Córka hrabiego i przyszła dziedziczka rodu.

Reynard spojrział na nią z ciekawością, może nawet trochę drwiąco, po czym najzwyczajniej w świecie sięgnął po stojący w kącie miecz, zarzucił go sobie na plecy i skierował się w stronę drzwi.

- A więc Violette de Montraine — rzucił jej przez ramię. — Zegnam! Życzę ci wszystkiego dobrego.

Z rozmachem otworzył krzywe drzwi i w tej samej chwili stanął jak wryty twarzą w twarz z Serimem.

- Ty?! - ryknął najemnik.

Wędrowiec błyskawicznie dał susa w bok i chwycił ławę, usiłując się nią zasłonić.

- Brać go!

Serim, Ablaj i Tarik rzucili się w jego kierunku, ale on bez namysłu cisnął w nich ciężkim drewnianym stołem i przeskakując nad płonącym paleniskiem, znalazł się po przeciwnej stronie izby.

— Już mi się nie wymkniesz, ty przekłety bohaterze! — krzyknął Serim. - Tym razem cię dostanę!

„Co za pech!” - prychnął do samego siebie.

Nie było czasu na żadne wyjaśnienia. Okrążyli go, a sytuacja stawała się coraz mniej ciekawa.

„I co teraz robić?!” — gorączkował się.

Wtem spostrzegł pod stopami zwój starego żelaznego łańcucha.

„Dobrze!”-w jego głowie zabłysnęła myśl.

Chwycił go, owinął jeden koniec wokół ramienia i zaczął powoli cofać się w stronę ściany. Wiedział, że musi jak najdłużej utrzymać ich na odległość bez względu na wszystko. Podrzucił w górę wolny koniec łańcucha, by zakręcić nim młynka, i nagle poczuł silne uderzenie w kark. Tępy ból rozszedł się falą po jego czaszce i zamroczony Reynard osunął się bezwładnie na ziemię. Najemnicy spojrzeli z zaskoczeniem na siebie, a potem na postać wyłaniającą się z mroku.

Valgirus stał z żelaznym drągiem w rękach i w milczeniu przyglądał się ogłuszonemu przybyszowi, po czym spokojnie przekroczył jego ciało i powrócił do swoich zajęć. Znał Serima już dość długo, by wiedzieć, że jeśli uznał tego obcego za swego wroga, to musiał mieć ku temu powody. Obydwaj wybrali życie na tym odludziu

i nawet jeśli nie darzyli się przyjaźnią, to niezależnie od wszystkiego musieli sobie pomagać.

Gdy Reynard się ocknął, było już późne popołudnie. Siedział na ziemi w ciemnym kącie lepianki i usiłował powoli zebrać myśli. Z jakiegoś powodu miał w głowie zupełną pustkę. Nie potrafił sobie niczego przypomnieć. Wciąż widział potrójnie i zanim w pełni odzyskał zdolność rozróżniania kształtów, minęło kilka następnych chwil. Po prawej stronie, lekko z ukosa dostrzegł palenisko i stół, przy którym siedzieli ludzie, ale nie był w stanie rozpoznać żadnego z nich. Jego umysł pracował bardzo ociężale, a stłuczoną czaszkę rozsadzał ból.

„Co się właściwie stało?” - zachodził w głowę.

Nie pamiętał zbyt dobrze ostatnich wydarzeń, ale mógł za to z całą pewnością stwierdzić, że ma skrepowane dłonie i stopy. Szarpnął się gwałtownie, ale łańcuch, którym przykuto go do ściany, zadzwieczał tylko za jego plecami. I wtedy nagle wszystko sobie przypomniał... W duchu był na siebie wściekły, że dał się podejść jak dziecko. Dostrzegł swój miecz leżący wraz z innymi rzeczami nieopodal barłogu Valgirusa, ale nie miał najmniejszych szans, żeby go dosięgnąć.

„Fatalnie”- stwierdził, rozważając swoją obecną sytuację.

Znalazł się na łasce Serima i jego bandy, a to nie wróżyło niczego dobrego. Przy dużym, wyciosanym z drewna stole siedzieli najemnicy i rozprawiali o czymś głośno. Reynard rozpoznał Serima, a w następnej kolejności Ablaja i Tarika. Pustelnik krzątał się opieszale wokół ognia, a jego mała wychowanka wołała z żartobliwą przekorą:

- Valgirus jest bardzo rad, że zawitaliście w nasze skromne progi!

Stała pośród nich rozczochrana i uśmiechnięta, wdzięcząc się na swój sposób do Serima.

- Genn, ty mała sekutnico! - Rozległ się śmiech najemnika. - Wiesz dobrze, że zwabił nas tu zapach jego pieczonej dziczyzny! Niesie się pewnie aż do samych bram Illionu!

Znachor fuknął z jawnym niezadowoleniem, bo właśnie w tym momencie usiłował niepostrzeżenie zdjąć z ognia udziec i ukryć go, dopóki te nieproszone darmozjady się stąd nie wyniosą.

- O tak! Valgirus już od trzech dni zastawiał w lesie wnyki i teraz, gdy mu się wreszcie poszczęściło, z pewnością bardzo chętnie wszystkich was ugości - zaszcebiotała Genn, a trzech mężczyźni wybuchnęli gromkim śmiechem, patrząc na niezbyt uszczęśliwioną minę pustelnika.

- Twoje zdrowie, Valgirusie! - zawołał Tarik. - W tej chacie człowiek znajdzie wszystko, co zgubił w lesie! Nawet córki samego de Montraine'a!

- Znajdzie również to, co mu wcześniej w zagadkowych okolicznościach zginęło - uzupełnił sceptycznie Ablaj, zerkając na dwa kufry wyładowane po brzegi i wsunięte dla niepoznaki do kąta.

- Tak czy owak, ratujesz nam życie, brachu! - stwierdził Serim, który prawdziwym zrzędzeniem opatrzości odnalazł swoje zguby.

Wstał i ostrożnie podszedł do leżącej na sienniku Sophie.

„To istny cud, że one żyją” - pomyślał z wdzięcznością.

Po raz pierwszy od bardzo dawna był szczęśliwy i delikatnie pogładził jej kasztanowe włosy. Wtem Reynard dostrzegł w półmroku jakieś niewyraźne poruszenie. Ktoś lub coś bezszelestnie zbliżyło się do niskiego taboretu, na którym spoczywał jego miecz. Szczupła dłoń dotknęła rękojeści i wędrowiec usłyszał dźwięk wysuwanej z pochwy klingi.

„Nie! Tylko nie to!” - przeraził się.

Przed oczami przemknęła mu smukła dziewczęca postać. Szarpnął powrozami, ale one wciąż mocno krępowały jego ręce. Był bezsilny. Pozostawało mu więc tylko czekać i patrzeć.

„Czy ona wciąż myśli, że tamci chcą ją zabić?” - pytał siebie w duchu.

Mógł ich jeszcze ostrzec lub spróbować ją jakoś powstrzymać, ale nie uczynił nic.

„Ona nie wie, co robi! - jęknął rozpaczliwie we własnych myślach. - Nie zapanuje nad tym”.

Zawahał się, a po chwili było już za późno.

- Tknij moją siostrę jeszcze raz, a poderżnę ci gardło! -zawołała znienacka i nim Serim zdążył dobyć broni, długie ostrze błysnęło w mroku.

Usłyszeli tylko szelest jej sukni i już była przy nim, a klinga miecza ze świstem przecinała powietrze, jakby coś prowadziło jej rękę. Nikt z nich nawet nie zdążył zareagować, gdy błyskawicznie zadała cios z półobrotu. Brakowało trzech sekund, a skróciłaby Serima o głowę. Szczęśliwym trafem najemnik w ostatniej chwili uchylił się. Złapał za jej nadgarstek i wykręcił go. Violette syknęła z bólu, a miecz wypadł z jej ręki i brzdęknął o podłogę.

- Czyś ty postradała rozum, dziewczyno? - wrzasnął Serim i bezlitośnie pchnął ją na ziemię.

Upadła.

- Zrób to jeszcze raz, a pożałujesz - warknął niespodziewanie Reynard.

Najemnik zmierzył go wzrokiem.

- To groźba?!

Wędrowiec zerknął w stronę miecza, który nagle znalazł się w jego zasięgu.

- Nie - odparł, uśmiechając się tajemniczo. - Obietnica! Skoczył i naprężając łańcuch do granic możliwości,

rzucił się w kierunku leżącej na ziemi broni. Przekoziołkował zwinnie dwa razy i zręcznie schwycił zębami rękojeść. Nim najemnicy zdążyli do niego dopaść, podrzucił go w górę, złapał z tyłu rękami i w ułamku sekundy przeciął krępujące go więzy. Bezradnie patrzyli, jak jednym silnym ciosem rozłupuje na dwoje masywne ogniwo żelaznego łańcucha. Nigdy dotąd nie widzieli ostrza, które przecina metal z taką łatwością.

„Czy to możliwe, by kruszyło także klingi innych mieczy?” - zastanawiali się w ponurym milczeniu, gdyż nagle zdali sobie sprawę, że sytuacja zmieniła się diametralnie.

Teraz to on stał pośród nich uzbrojony i groźny jak jeszcze nigdy dotąd. Jeśli nie pokonali go, gdy trzymał w ręku zwykły kij, jak mogą zrobić to teraz? W mrocznym spojrzeniu wędrowca czaiło się pradawne, napawające lękiem zło, a przymrużone oczy płonęły niepohamowaną żądzą krwi. Cokolwiek nim zawładnęło, przeraziło najemników, gdyż w tym momencie zrozumieli, że jedynie sekundy dzielą ich od nieuchronnej śmierci.

„Trzeba go było zabić, kiedy nadarzała się okazja” -żałowali skrycie.

Nie zdążą już sięgnąć po broń, ale nawet gdyby trzymali ją teraz w rękach, nie zdołaliby go powstrzymać. Nikt by nie zdołał. Reynard zacisnął palce na zdobionej nefrytem rękojeści, czując, jak miecz stopniowo przejmuje kontrolę na jego ciałem, umysłem i wolą. Zapadał w odwieczny trans i z ogromną szybkością pogrązał się w otchłani, z której nie było powrotu. Przeklęty miecz, raz wydobyty z pochwy, domagał się krwi - ludzkiej krwi... Wtem do resztek jego gasnącej świadomości dotarł ostatni impuls. Wyteżył wzrok i kątem oka dostrzegł jasnowłosą dziewczynkę, która za wszelką cenę usiłowała podnieść się z ziemi. Zbyt słaba, by samodzielnie stać na nogach, drżącą ręką przytrzymywała się ściany.

- Rozkazuję wam przestać! - usłyszał z oddali jej krzyk. — Natychmiast!

Nie mogła rozumieć, co się dzieje, lecz mimo to nie bała się go. Nikogo się nie bała. Wciąż zachowywała się tak, jakby to ona miała tutaj władzę. Niespodziewanie wzrok przysłoniła jej gęsta mgła i wszystko wokół zawirowało, a Violette poczuła, że traci równowagę. Pochyła gliniana ściana chaty, na której się opierała, w niewyjaśnionych okolicznościach zaczęła się od niej oddalać, a potem nagle zniknęła. Ale nim znów bezwładnie uderzyła o twarde, zbite klepisko, podtrzymało ją czyjeś silne ramię. Na wpół przytomna dostrzegła, że należy ono do przybysza. Czy był to tylko odruch? A może świadomie zdołał przemóc w sobie choć na chwilę to, co nim zawładnęło.

- Zostaw mnie! Nie potrzebuję twojej pomo...

Zakrztusiła się. Jej źrenice rozszerzyły się gwałtownie, gdy poczuła w ustach dziwny metaliczny posmak. Zakasłała, mimowolnie zakrywając dłonią usta, i wtedy zobaczyła przeciekającą między palcami krew.

„Co się dzieje?! - przestraszyła się tym widokiem. -Czy ja... umieram?”

Ogarnęła ją nagła panika. Przerazona i zdezorientowana zaczęła szarpać się i wrywać z objęcia nieznajomego. Chciała krzyczeć, ale dławiący kaszel nie pozwalał jej złapać tchu. Ciemne płatki wirowały jej przed oczami coraz szybciej i szybciej, a ostatnie, co zapamiętała, to widok jej własnej krwi ściekającej po ostrzu miecza obcego mężczyzny, który chyba usiłował jej pomóc. Potem nastąpiła już tylko ciemność.

Violette obudziła się dopiero późnym rankiem następnego dnia i leżąc nieruchomo na pościeli, zaczęła nasłuchiwać. Dokoła panowała zupełna cisza, świadcząca o tym, że jest w chacie sama. Podniosła się i zobaczyła, że jej siostra wciąż spoczywała na sienniku, nie odzyskawszy przytomności.

„Może lepiej, że nie cierpi” - pomyślała z ulgą.

Ostrożnie wstała z łóżka i stąpając cicho na palcach, zbliżyła się do Sophie. Przykucnęła i w skupieniu obserwowała, jak jej pierś unosi się w spokojnym, miarowym oddechu. Powoli przypominała sobie wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni. Pamiętała nordów, zasadzkę w lesie i mężczyznę, który wtargnął do powozu. A potem straszliwy upadek w przepaść. I jeszcze ten dziwny człowiek o śniadej cerze i zuchwałym spojrzeniu. Miała dziwne wrażenie, że widziała go już

wcześniej, lecz nie mogła sobie przypomnieć kiedy i gdzie. Czyżby naprawdę rzuciła się na niego z mieczem w rękę?

„To niemożliwe” - oddaliła od siebie tę niedorzeczną myśl.

Nagle wysoka postać zasłoniła światło wpadające przez wąskie okienko do wnętrza chaty i Violette poczuła, że ktoś nad nią stoi. Niepewnie podniosła wzrok, ale na widok ogorzałej twarzy Serima odskoczyła gwałtownie, gdyż nagle uświadomiła sobie, że natknęła się na niego w swoim rodzinnym zamku ostatniej nocy przed odesłaniem ich do Illion. Przemykał korytarzem w długim płaszczu z kapturem, który osłaniał mu twarz, lecz mimo to rozpoznałaby go wszędzie.

- Nie zbliżaj się do mnie! - zawołała, odsuwając się nieufnie. - Widziałam cię na zamku w noc przed naszym wyjazdem! Musisz być szpiegiem van der Zahra! Czego chcesz?!

- Uspokój się! Nic ci nie zrobię. Jestem najemnikiem i działam na zlecenie waszego ojca.

- Jak to?

- Armand van der Zahr zażądał od hrabiego odesłania córek, w przeciwnym razie groził zniszczeniem grodu. Wasz ojciec nie chciał się na to zgodzić, dlatego wynajął nas. Upozorowanie przypadkowego napadu było ostatnią szansą.

Violette spojrzała nań przenikliwie.

- Dlaczego mam ci wierzyć?!

- Twój ojciec wiedział, że tak zareagujesz - Serim westchnął i powoli wy dobył z zanadru złoty sygnet z herbem de Montraineow. - Dał mi to na dowód.

Dziewczyna wzięła go do ręki i obejrzała uważnie. Wiedziała, że ojciec nigdy nie zdejmował z palca rodowego pierścienia, dlatego postanowiła dać wiarę słowom najemnika.

- Hrabia kazał ukryć was na tak długo, jak będzie to konieczne, i chronić przed ludźmi van der Zahra.

Violette wbiła w niego drwiące spojrzenie.

- Ha! - sarknęła. - Marna to ochrona, skoro pokonał was jeden włóczęga z kijem w ręku!

Serim zacisnął zęby ze złości, lecz nie odezwał się ani słowem. Gdyby mógł, udusiłby ją gołymi rękami tu i teraz, ale na razie była dla niego zbyt cenna. Musiał więc powściągnąć złość i opanować się najlepiej jak potrafił.

- Dlaczego ojciec zatrzymał to przed nami w tajemnicy? - spytała po chwili.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Napad musiał wyglądać wiarygodnie, inaczej van der Zahr natychmiast zwierzyłby podstęp.

Violette zaśmiała się cicho.

- Jeśli Armand rzeczywiście uwierzyłby w tę bajeczkę, byłby głupszy, niż dotychczas sądziłam!

Serim wlepił w nią zdumiony wzrok.

- Mój ojciec nie zdoła w ten sposób oszukać van der Zahra — to pewne! Zgubił nie tylko nas, ale i samego siebie.

Serimowi przemknęło przez myśl, że ma przed sobą osobę o przenikliwości i intelekcie znacznie wykraczającym ponad przeciętność, a być może dorównującym nawet samemu diukowi Bretanii. Inne byłyby losy de Montraineow, gdyby to właśnie ona stała na czele tego rodu.

— Armand van der Zahr ruszy na nasze włości i zagarnie je w ciągu kilku dni. Zrówna zamek z ziemią i zabije wszystkich mieszkańców.

„A potem dopadnie mnie” - dokończyła w myśli. Wiedziała, że nie może mu na to pozwolić.

— Jak daleko stąd leży twierdza Illion?

Serim nie wyczuł podstępny w tym rzuconym mimochodem pytaniu.

— Będzie około jednego dnia drogi - odparł. - Chyba żeby iść skrótem przez bagna. Ale tamtędy zdoła przejść tylko ktoś dobrze znający drogę, bo inaczej...

Wtem urwał w połowie zdania i groźnie ściągnął krzaczaste brwi.

— Zaraz, zaraz! Nie zamierzasz chyba tam iść?! To byłoby czyste szaleństwo!

Ale w odpowiedzi napotkał tylko zimne i nieruchome spojrzenie jej oczu, które świadczyło o tym, że już podjęła decyzję.

— Nie ma mowy! — krzyknął najemnik. - Nie pozwolę ci na to! Nawet nie próbuj mnie przekonywać!

— Przekonywać cię? — Zaśmiała się ironicznie. — Po co?! Jestem Violette de Montraine i pójdę, dokąd zechcę, a ty mnie nie powstrzymasz. Zresztą, powinno ci być wszystko jedno - swoją zapłatę już wzięłeś.

Chciała minąć go ostentacyjnie i wyjść, ale zastąpił jej drogę.

— Masz rację, panienko, swoją zapłatę już wzięłem -powtórzył z naciskiem. — I zamierzam wywiązać się z umowy, a ty i twoja siostra zostanieie tutaj, czy ci się to podoba czy nie!

Nie cofnęła się nawet o pół kroku. Zupełnie jakby ten niespodziewany wybuch gniewu nie zrobił na niej żadnego wrażenia. Patrzyła mu hardo prosto w oczy i wiedział już, że

jedynym sposobem będzie zatrzymać ją tu siłą. Wściekły jak sto diabłów, odwrócił się na pięcie i zamierzał odejść, gdy usłyszał jej głos:

- Jeszcze jedna sprawa, najemniku! Nie dbam o to, że zrabowaliście cały mój posag, a także wiano mej siostry. Jednak złoty krzyż, który miałam na szyi, musi do mnie wrócić. Jest dla mnie bardzo cenny, to rodowa relikwia, bez której nie będę mogła udowodnić, kim jestem.

- Zapewniam cię, że żaden z moich ludzi go nie wzięł -wycedził przez zęby Serim.

- Nie obchodzi mnie to! Mam go odzyskać jeszcze dziś.

Najemnik zerknął na nią podejrzliwie i uśmiechnął się krzywo.

- Tyle hałasu o błyskotkę? Nie sprawiasz wrażenia religijnej, a tak ci zależy na tym krzyżu?

- Przecież mówiłam już, że...

- Tak - przerwał jej. - Wiem, co mówiłaś. Ale bardziej interesuje mnie to, czego mi nie powiedziałaś.

Violette zamilkła. Nie mogła wyjawić mu prawdy. Wiedziała doskonale, dlaczego Armand van der Zahr po nie posłał i czemu zadał sobie aż tyle trudu, by zmusić ich ojca do odesłania córek. Zdawała sobie także sprawę, że potrzebował tylko jednej z nich - tej, która nosiła złoty krzyż. Bez niego będzie bezużyteczna.

III

Ostrze spragnione krwi

Była pełnia, a okrągła tarcza księżyca drżała mgliście, okryta zwiewnym płaszczem chmur, sunących po atramentowo czarnym niebie. Pośród przenikających las ciemności z szybkością błyskawicy przemierzała się spowita mrokiem postać. Odziana w skórę wilka kobieta biegła przed siebie z zamkniętymi oczami, zdana wyłącznie na własne zmysły. Jej długie, czarne włosy tworzyły za nią rozwianą pelerynę, do której przyczepiły się zeschnięte liście i kawałki drobnych gałązek. Poruszała się tak lekko i zwinnie, jakby jej stopy jedynie muskały koniuszkami palców wilgotne leśne poszycie. Pędziła wciąż naprzód i naprzód w sobie tylko znanym kierunku, na ślepo wiedziona zwierzęcym instynktem. Czas i przestrzeń nie istniały dla niej - nic jej nie ograniczało. Była wolna, dzika i nieujarzmiona. Przemierzając skaliste wzgórza pełne zdradliwych rozpadlin i ostrych grani, nie zwolniła ani na chwilę, gnana przemożnym pragnieniem dotarcia do celu. Wyczuwając zbliżającą się przepaść, pochyliła się do przodu i przyspieszyła jeszcze bardziej.

— Przeistoczenie — wyrzekła cicho i z całych sił odbiła się od krawędzi, dając susa prosto w mroczną otchłań.

Przeskoczyła nad głęboką skalną szczeliną, przyjmując postać wilczycy, i pewnie wylądowała na czterech łapach. Czuła, że jest już blisko... Jej silne wilcze ciało, pokryte lśniącym, czarnym jak antracyt futrem połyskiwało w świetle księżyca, gdy zbiegała ze stromego zbocza. Zatrzymała się na skraju wystającego urwiska i wznosząc pysk do księżyca, zawyła, wzywając najbliższą watahę swych zwierzęcych pobratymców. Z każdą chwilą coraz wyraźniej wyczuwała przebudzoną moc Pradawnych i osobę, która skrywała ją w sobie.

Podążająca przez las Violette starała się stąpać cicho i ostrożnie, rozpoznając w ciemnościach jedynie kontury drzew i krzewów. Choć nie udało jej się odzyskać krzyża, wymknęła się z chaty, gdy tylko Serim i jego ludzie zasnęli.

„To był jedyny sposób” - powtarzała sobie w duchu.

Już od wielu godzin niestrudzenie przedzierała się przez leśne ostępy, choć ostre gałęzie bezlitośnie smagały jej ciało i targały jasne włosy. Okolica wokół niej stawała się coraz bardziej odludna i nieprzystępna, a gdzieś w oddali rozlegało się samotne wycie wilka. Właśnie teraz wyobraźnia zaczęła podsuwać jej na myśl wszystkie przerażające opowieści zasłyszane w dzieciństwie, skutkiem czego każdy - nawet najmniejszy szmer - rozbudzał w niej niepokój.

Wiedziała już, że samotne zapuszczanie się tu nocą było czystym szaleństwem, i przeklinała w duchu własną decyzję, ale nie mogła postąpić inaczej. Miała ostatnią szansę, by ocalić to, co było drogie jej sercu, i nie zamierzała jej zmarnować. Wystarczy tylko przekonać

Armanda, że udało jej się wyrwać z rąk oprawców, i ostatek sił dotrzeć do Illion.

„Jeżeli mi uwierzy, to dobrze - rozważała. - Jeżeli zaś nie, jestem w stanie oddać mu wszystko, czego ode mnie zażąda, byleby odwrócił swe wojska od Vox”.

W ponurym milczeniu oceniła własną sytuację. Co właściwie miała mu oddać? Nie ma już przecież niczego prócz samej siebie.

„To niska cena za życie setek ludzi” — stwierdziła po chwili.

Ale mogła okazać się niewystarczająca, gdyż Armand van der Zahr pragnął jeszcze złotego krzyża de Montrainów.

„Nie cofnie się przed niczym, by go zdobyć” - pomyślała.

Wtem usłyszała za sobą cichy szelest, a czarny całun chmur zasnuł niespodziewanie nocne niebo, pograżając wszystko w zupełnych ciemnościach. Violette poczuła, że ktoś lub coś obserwuje ją z ukrycia, ale szła dalej, nie zatrzymując się. Po chwili dźwięk rozległ się ponownie, tym razem nieco głośniej. I wtedy zrozumiała, że zbliża się do niej coś o wiele groźniejszego od wszystkich zjaw, strzyg i upiorów znanych z opowiadań, gdyż w odróżnieniu od nich było realne...

Gdy wreszcie zdobyła się na odwagę, by spojrzeć za siebie, ujrzała w mroku parę błyszczących niczym rozżarzone węgle ślepi i znieruchomiała. Przeszywający strach ścisnął jej gardło tak, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wiedziała, że powinna uciekać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Odkąd sięgała pamięcią, zawsze śmiertelnie bała się dzikich zwierząt, a teraz stanęła oko w oko z najprawdziwszą bestią.

Tym razem nie skończy się tylko na bliznach, które dwa zdziżące rottweilery pozostawiły wiele lat temu na ciele małej Violette. Pradawny lęk zakorzenił się głęboko w jej podświadomości, a teraz koszmar powrócił. Nim zdążyła się spostrzec, pojawiła się następna para ognistych oczu, a potem jeszcze jedna... Violette odruchowo cofnęła się i dotknęła plecami chropowatej powierzchni pnia drzewa. Pospiesznie wyciągnęła sztylet, który ukradła śpiącemu Serimowi na krótko przed opuszczeniem chaty, choć wiedziała, że teraz nie przyda się już na wiele.

Złowrogie ślepią zbliżały się do niej coraz bardziej, zacieśniając swój śmiertelny krąg. Nagle chmury rozstały się, a zalewająca wszystko zimna księżycowa poświata ukazała w całej okazałości ogromne wilcze cielska. Przewodziła im czarna samica, która uważnie obserwowała swą ofiarę, śledząc każdy jej ruch tak, jakby na coś czekała. Wilki warczały coraz agresywniej, tocząc pianę z pysków, a dokoła rozlegał się posepny szczęk wygłodniałych paszcz, zdających się mówić: „Nadszedł czas na żer”.

Z obnażonych krwistoczerwonych dziąseł wyłaniały się ostre jak brzytwa kły. Sparaliżowana trwogą Violette przyciskała się do drzewa, kurczowo trzymając rękę sztyletu. Serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe, a przyspieszony oddech stawał się coraz płytszy. Nie próbowała nawet wołać o ratunek

„To na nic - przekonywała samą siebie. - I tak nikt nie przyjdzie”.

W jej głowie kołatała już tylko jedna desperacka myśl: „Nie mogą wziąć mnie żywcem!”.

Będzie się bronić do ostatnich sił, a gdy już wszystko zawiedzie... Spojrzała na zimne ostrze sztyletu i podjęła w duchu rozpaczliwą decyzję.

„Nic innego mi nie pozostało” - upewniła się w swoim zamyśle.

Wilczyca zbliżyła się do swej ofiary na odległość skoku i przysiadła na tylnych łapach, gotując się do ataku. Jej naprężone mięśnie drgały pod lśniącym futrem, a Violette drżącą dłonią uniosła sztylet ku górze i zamknęła oczy. Wtem bestia odbiła się od ziemi i rzuciła prosto na nią, lecz nim zdążyła dosięgnąć zębiskami ciała dziewczyny, coś nagle świsnęło w ciemności i ugodzona śmiertelnie wilczyca padła na ziemię u jej stóp. Po chwili następne bełty przepruły z furkotem powietrze, raniąc kolejne wilki, a reszta watahy w popłochu rzuciła się do ucieczki i zniknęła ze skowytem w mrokach nocy.

Violette nadal stała pod drzewem osłupiała i wpatrywała się w broczące krwią ciało martwego drapieżnika. Nim znów straciła przytomność, zdołała jeszcze dostrzec smukłą postać rycerza wyłaniającą się z ciemności i usłyszeć jego dźwięczny, niosący ukojenie głos:

- Nie bój się, pani. Jesteś już bezpieczna.

Obudziła się w ciepłym, przyjaznym blasku bijącym od ogniska. Płomienie strzelały wysoko w górę, pochłaniając z trzaskiem suche gałęzie, a ona leżała otulona białym płaszczem rycerza i po raz pierwszy od bardzo dawna czuła się bezpieczna. Po drugiej stronie ogniska dostrzegła tajemniczego mężczyznę, który ocalił jej życie. Migotliwe światło z paleniska rzucało na jego twarz zagadkowe światłocienie, nie pozwalając dostrzec dokładnie jej rysów.

Długie pasma włosów o barwie ciemnego spadziowego miodu opadały swobodnie na jego ramiona i plecy, gdy czyścił w skupieniu piękną starą kuszę. W jego rękach stanowiła śmiertcionośną broń, którą mógł bez trudu zabić nawet kilkanaście rzucających się na bezbronną dziewczynę wilków i tyleż samo żołnierzy na polu bitwy.

„Samotny łowca? - snuła swe domysły. - Błędny rycerz? A może siepacz samego Armanda van der Zahra?”

To nie miało teraz znaczenia. Kimkolwiek był, zasłużył sobie na jej dozgonną wdzięczność, ocalając ją od straszliwej śmierci.

Wtem coś przeleciało z głuchym łopotem skrzydeł tuż nad głową Violette i cicho zakwiliło. Dziewczyna krzyknęła, odwracając tym uwagę myśliwego.

- Przestraszyłeś ją! Co z ciebie za niewychowane ptaszysko - krzyknął i ruchem ręki przywołał sokoła, który posłusznie usiadł mu na przedramieniu. - Przepraszam za niego. Zwie się Rankor i odkupiłem go kilka dni temu od wędrownego handlarza.

Patrzyła niepewnie, jak mężczyzna wstaje i powoli podchodzi do niej, niosąc na swym ręku drapieżnego ptaka, który wczepił się potężnymi szponami w jego ramię. Byli tu zupełnie sami...

„A jeśli jego zamiary są inne, niż mogłoby się wydawać?” — przeszło jej przez myśl.

Dłoń Violette spoczęła dyskretnie na rękojęści sztyletu. Nie do końca mogła ufać nieznanemu, który musiał zauważyć ten ruch, przyklękając obok niej.

- To nie będzie ci już potrzebne. - Bezbłędnie odgadł jej obawy. - Jestem rycerzem, mam swój honor i nie zrobię niczego wbrew twej woli.

Violette poczuła się niezręcznie, gdyż nie chciała w żaden sposób go urazić. Życie nauczyło ją już, że nie należy wierzyć nikomu, ale po tym, co zrobił, zasługiwał chyba na odrobinę zaufania z jej strony. Delikatnie pogładziła ręką nastroszone pióra sokoła, który przechylił głowę nieco w bok i rozchylając ostro zakrzywiony dziób, przyglądał się jej uważnie. W jego ogromnych, szklistych źrenicach zobaczyła własne odbicie i poczuła, że jakaś część niej chciałaby choć raz zasmakować wolności tak bezkresnej i nieograniczonej, jaka była jego udziałem. Wgłębi ducha pozazdrościła mu skrzydeł, na których mogłaby odlecieć daleko, daleko stąd i już nigdy nie wrócić.

- Spodobałaś mu się.

Violette spostrzegła, że wpatruje się w nią nie tylko sokół, ale również jego właściciel nie mógł oderwać oczu.

- Tylko jemu? - spytała z pozoru niewinnie. Rycerz jakby nagle się ocknął i roześmiał cicho.

- Przepraszam - rzekł zakłopotany. - Często poluję w tych lasach, ale jeszcze nigdy nie spotkałem tu nikogo tak...

Czekała, aż powie coś na tyle głupiego, aby mogła od razu go znieawidzić, ale zaskoczył ją:

- Niezwykłego. Spytałbym cię, kim jesteś, ale zdaje się, że mi tego nie powiesz.

Violette spuściła wzrok.

- Tak też myślałem. - Uśmiechnął się. - Nie jesteś zbyt rozmowna.

- Wybacz mi moje zachowanie. Uratowałeś mnie, dlatego winna ci jestem wdzięczność. Niestety, nie mam czym cię wynagrodzić.

- Nie zrobiłem tego dla nagrody. - Wstał i wypuścił

sokoła w powietrze. — Ale nic straconego. Czuję, że się jeszcze spotkamy.

Podszedł do ogniska, schylił się po swoją kuszę i zarzucił ją sobie na plecy.

— Odchodzisz? - zawołała zdziwiona.

— Na mnie już pora. Niebawem zacznie świtać. Nawet nie zauważyła, że nocne niebo zaróżowiło się od wschodu.

— Zostawiasz mnie tu samą?

— Nic ci już nie grozi.

Odwrócił się, by odejść, a Violette pośpiesznie podniosła się z ziemi i nagle uświadomiła sobie, że wciąż ma na sobie jego płaszcz.

— Czeka! - krzyknęła. - A co z płaszczem?

— Zatrzymaj go, jest twój - rzucił jej na odchodne i skierował się w swoją stronę.

Patrzyła w ślad za oddalającą się wysoką sylwetką mężczyzny, dopóki ten nie zniknął jej z oczu. Za nic w świecie nie przyznałaby się do tego, ale przez chwilę żałowała, że okazał się rycerzem bez skazy. Gdyby był nieco bardziej zuchwały, mógłby sam odebrać swoją nagrodę...

„To była moja ostatnia noc poza murami twierdzy Illion - pomyślała ze smutkiem. - Dopiero tam przyjdzie mi naprawdę stracić godność i szacunek dla samej siebie. Nigdy już nie będę równie wolna jak w tej chwili”.

Violette z rezygnacją czekała na pierwsze promienie wschodzącego słońca, które wylaniały się znad horyzontu.

„Nigdy” — powtórzyła w duchu.

Wojownik, który przedwczoraj w milczeniu opuścił chatę Valgirusa, schodził właśnie z kolejnego porośniętego

gęstym lasem pagórka. Umyślnie zboczył z głównego traktu na rzecz samotnej wędrówki. Miał nadzieję, że przez dłuższy czas nie napotka już nikogo na swej drodze. Gdyby wcześniej był rozsądniejszy, trzymałby się z dala od ludzi i ich problemów. Tyle tylko, że kłopoty zawsze potrafiły go znaleźć.

„Po cholere mieszać się w cudze sprawy!? — strofował ze złością samego siebie. - Straciłem tylko mnóstwo cennego czasu”.

Wiedział, że tego ostatniego nie pozostało mu już wiele. Dni, godziny, minuty upływały nieubłaganie, zbliżając go do tego, co było nieuniknione. Wierzył, że jego los jest już z góry przesądzony, a przeznaczenie dotknęło go swymi pewnymi, surowymi palcami. Nie był w stanie tego zmienić. Mógł jedynie przyjąć z godnością to, co od zawsze było mu pisane.

Ale zanim jego życie dobiegnie kresu, on zrealizuje swoje zamierzenie i osiągnie cel, dla którego przebył prawie pół świata, dźwigając na swych barkach legendarny miecz zwany Nefrytowym Fatum — broń liczącą kilka tysięcy lat. Wykuto go w zamierzchłych czasach, gdy na Dalekim Wschodzie kształtowały się dopiero zalążki przyszłej państwowości, a ziemiami władały odwieczne kasty wojowników. Wraz z nadejściem ery cesarstwa starożytni mistrzowie walki zniknęli z areny dziejów i pogrążając się w mrokach przeszłości, zabrali ze sobą tajemnicę wytopu mieczy o ostrzach ze stali siedmiokrotnie hartowanej, która była w stanie przeciąć dosłownie wszystko.

Wiść niesie, że Nefrytowe Fatum z łatwością kruszy klingi innych mieczy, lecz niewielu jest śmiazków, którzy

odważyliby się po nie sięgnąć. Przy braku dostatecznej samokontroli ów miecz przejmuje władzę nad wojownikiem i zniszczy wszystkich, którzy staną mu na drodze, choćby miał naprzeciw siebie całą armię. Stworzono go po to, by ociekał ludzką krwią, i od wieków niezmiennie do tego dąży. Reynard był pewien, że nim nadejdzie jego czas, skrzyżuje to ostrze z innym - dorównującym mu potęgą, lecz wprawdzie musiał odnaleźć człowieka, który dzierżył je w swoim ręku.

Pogrążony we własnych myślach, przebył niewielką leśną polaną i wszedł w graniczący z nią zagajnik pełen ostrych, kłujących chaszczki. Przedzierając się naprzód, kłął półgłosem, gdyż cierniste głogi bezlitośnie orały mu skórę aż do krwi. Nagle coś zaskrzyło się w promieniach słońca tuż obok jego twarzy. Zatrzymał się i ostrożnie wziął do ręki zaczepione o gałąź pasmo jasnych dziewczęcych włosów. Przypuszczał, do kogo mogło należeć, lecz taki zbieg okoliczności wydawał mu się nieprawdopodobny.

„To niemożliwe, żeby tędy przechodziła” - próbował przywrócić sobie logiczny tok myślenia.

A jednak nieopodal na ziemi leżał maleńki strzępek wrzosowego materiału z sukienki tej, której drogę znaczyły wyraźnie połamane gałązki i drobne ślady stóp odcisnięte w wilgotnej ściółce. Wędrowiec powiódł wzrokiem w ich kierunku i zawahał się.

„Co znów zamierzasz, Violette de Montraine?” - to pytanie nurtowało go nieprzerwanie.

Rozsądek podpowiadał mu, by tym razem pójść w swoją stronę i Reynard wiedział, że właśnie tak powinien postąpić. Ale jakaś inna, przemożna siła popychała go

w zupełnie odmiennym kierunku i właściwie sam nie wiedział, dlaczego ruszył śladami dziewczyny. Miał nadzieję, że robi to tylko z czystej ciekawości, ale w głębi serca czuł, że powinien przestać okłamywać samego siebie.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy rycerz ocknął się niespodziewanie pośrodku lasu. Leżał twarzą do ziemi dokładnie w miejscu, w którym ubiegłej nocy zastrzelił czarnego wilka, i próbował się otrząsnąć z resztek dziwnego snu. Pamiętał jedynie, że postanowił wrócić tu na krótko przed świtem, by zabrać ciało upolowanego drapieżnika i ściągnąć z niego skórę, lecz gdy dotarł na miejsce, nie zastał martwego zwierzęcia.

„Czyżby inny myśliwy natrafił na moją zdobycz i zagarnął ją dla siebie?” — zastanawiał się.

Wtem zerknął w dół i dostrzegł coś, co go zaintrygowało. Pochylił się i podniósł z ziemi zboczony krwią belt, którym uśmiercił bestię.

„Czy to możliwe, bym chybił i jedynie ją zranił?” — niedowierzał sobie.

Nawet jeśli w istocie tak było, to żadne dzikie zwierzę nie byłoby w stanie wyrwać ze swojego ciała takiego pocisku. Po chwili w miękkiej leśnej ściółce zauważył więcej śladów krwi świadczących o tym, że ranne zwierzę musiało czołgać się w stronę pobliskiego zagajnika. Wstał i nadal trzymając w ręku belt, ruszył ich tropem, jednak w trakcie spostrzegł, że odciski wilczych łap stopniowo zmieniają kształt i stają się podobne do ludzkich rąk. Drobnych kobiecych dłoni...

Nagle coś poruszyło się w zaroślach, a szelest liści zdradził czyjąś obecność. Mężczyzna bez zastanowienia

sięgnął po broń, gotów dobić wykrwawiającego się dra-
pieznika, lecz gdy odgarnął ramieniem gęsto rosnące krzewy,
jego oczom ukazał zaskakujący widok. Zamiast czarnego wilka
była tam młoda kobieta, która opierała się plecami o porośnięty
mchem głaz i krwawiła silnie z rany pod lewą łopatką. Rycerz
potrzęsął głową z niedowierzaniem, gdyż mógłby przysiąc, że
właśnie w tym miejscu śmiertelnie ugodził bestię.

- Gdzie wilk, którego zabiłem? - spytał z chłodną
podejrzliwością.

Kobieta podniosła na niego czujny wzrok i zmrużyła oczy, w
których czaiło się coś niehumanie dzikiego i groźnego.

- Nie ma wilka - warknęła w odpowiedzi, starając się
ignorować ból. - Jestem tu tylko ja.

Mężczyzna zbliżył się do niej i wyciągnął przed siebie miecz,
mierząc ostrzem prosto w jej gardło tak, by mogła poczuć na
skórze zimny dotyk metalu.

- Skąd się tu wzięłaś?

- Nocny łowca pomylił mnie z dzikim zwierzęciem i ugodził z
kuszy - odparła wyzywająco, dumnie unosząc głowę i patrząc mu
w oczy bez lęku.

Rycerz zachwiał się na nogach, słysząc jej odpowiedź, a do
głowy zaczęły nachodzić mu najróżniejsze myśli. Nie mógł
przecież aż tak bardzo się pomylić.

„A jeśli ona nie jest człowiekiem?” - rozważał gorączkowo.

Wtem usłyszał za sobą znajomy łopot skrzydeł swojego
sokoła, który po chwili nieoczekiwanie zamienił się w odgłos
ludzkich kroków.

- Rankor? - spytał, odwracając się, i w tym momencie

poczuł silne uderzenie w tył głowy, po czym padł zamroczony na ziemię.

- Nie spieszyłeś się zbyt - usłyszał jeszcze, jak młoda kobieta sarknęła gniewnie do postaci, która pojawiła się za jego plecami, a potem ogarnęła go zupełna ciemność.

W tym momencie graniczący z jawą sen urwał się niespodziewanie i rycerz nie był w stanie nic więcej sobie przypomnieć. Powoli podniósł się z ziemi i spostrzegł, że wciąż trzyma coś w zaciśniętej dłoni, a gdy rozluźnił zdrtwiałe palce, jego oczom ukazał się zakrwawiony bełt z jego kuszy. Ten sam, który znalazł w swoim śnie.

Serim siedział rozparty wygodnie na drewnianym zydłu i arogancko opierał nogi o brzeg stołu. Lubił te nieliczne momenty w swoim życiu, gdy wszystko układało się jak należy. Teraz, wczesnym rankiem wpatrywał się w pierwsze promienie wschodzącego słońca, wpadające do izby przez niewielki otwór okienny. Wydawało mu się, że jest sam, gdyż w chacie słychać było jedynie spokojne oddechy śpiących ludzi. Choć przez większą część nocy czuwał, nie był zmęczony, a wręcz przeciwnie - rozpierała go energia. Jeszcze wczoraj, nim się tu zjawili, widział wszystko przez pryzmat własnych ponurych myśli, ale dziś był nowy dzień i Serim czuł, że nic nie może go zepsuć. Gdyby był religijny, zaniósłby do Boga krótkie dziękczynienie. Niestety, nie był, a jego matka nigdy nie nauczyła go się modlić.

„Nic dziwnego - myślał sobie. - Była, kim była”.

Każdy mógł kupić na rogu ulic jej wdzięki za kilka srebrnych monet. Właściwie nie miał jej tego za złe, gdyż

sama wybrała taką drogę. On natomiast podążał własną, a takie dni tylko utwierdzały go w przekonaniu, że urodził się pod dobrą gwiazdą. Zrzadzeniem opatrności, czy też szczęśliwym trafem, odnalazł córki hrabiego i teraz już nikt i nic nie jest w stanie wydrzeć ich spod jego opieki.

„Patrzcie tylko, śpią sobie spokojnie jak dwa aniołki”-rozczułał się w duchu.

Wsunął dłoń w zanadrze, by wyjąć nóż, którym chciał podciąć sobie wąsy, i nie znalazłszy go, półgłosem rzucił gniewnie do swoich towarzyszy:

- Który z was, gamonie, zabrał mi sztylet?! Leżący nieopodal wygasłego paleniska Ablaj wzruszył

na to ramionami i mruknął obojętnie przez sen:

- Na mnie nie patrz.

Serim przeniósł więc wzrok na Tarika, lecz nagle w jego umyśle zagnieździło się zupełnie inne podejrzenie. Tknięty złym przeczuciem wstał i skierował swe kroki w stronę posłania Violette. Z pozoru wszystko wyglądało zwyczajnie, a pod przykryciem rysował się wyraźny kształt dziewczęcej sylwetki odwróconej doń tyłem i okrytej szczelnie aż po czubek głowy.

„Tylko czemu, do diaska, mam dziwne wrażenie, że coś tu się nie zgadza?” - przebiegło mu przez myśl.

Po chwili wahania jednym zdecydowanym ruchem poderwał w górę wełniany pled i w tej samej chwili rozległ się okrzyk wściekłości, który byłby w stanie obudzić umarłego. W zapadłym barłogu zamiast dziewczyny znalazł tylko kilka zręcznie zwiniętych szmat.

- Uciekła! - wrzeszczał. - Zabrała mi sztylet i uciekła! Ale jak to możliwe?! Jak do stu tysięcy diabłów?!

Serim w przyływie złości chwycił zwoje tkanin i z całej siły cisnął nimi w śpiącego na wąskiej ławie Tarika. Chłopak gwałtownie zerwał się i, chcąc skoczyć na równe nogi, z hukiem spadł na ziemię.

- Ten jak już zaśnie, to nic go nie obudzi - stwierdził z rezygnacją Ablaj.

Jego młodszy brat w kilka sekund zdołał odzyskać równowagę.

- Co... Co się dzieje?! — wysapał na wpół przytomnie.

- I ty się jeszcze pytasz?! — ryknął najemnik. — Spaliście jak kamień, podczas gdy ona po prostu stąd wyszła!

- Nie szukaj winnych - skwitował obojętnie Ablaj. - Skoro ukradła ci sztylet, ty również spałeś.

- To nie jest teraz istotne - warknął Serim. - Uciekła i musimy jak najszybciej ją znaleźć!

Tarik, ziewając, podrapał się po głowie i postawił najbardziej logiczne pytanie, jakie tylko mogło zrodzić się w jego ospałym umyśle.

- Dokąd mogła pójść?

- Jak to dokąd?! Do zamku Illion, rzecz jasna! - wypalił Serim.

Twarz Tarika rozjaśniła się prawie natychmiast na dźwięk tych słów.

- To o dzień drogi stąd - rzekł bez śladu przejęcia. - Dogonimy ją bez trudu i sprowadzimy tu jeszcze przed zmierzchem.

Lecz jego entuzjazm nie udzielił się Serimowi.

- To nie będzie takie proste - zasepił się najemnik. - Powiedziałem jej o skrótce przez bagna i dam sobie rękę odciąć, że tamtędy poszła.

- Jeśli tak, to daleko nie zajdzie - zawyrokował Ablaj. -

Te grzędawiska pochłoneły już niejednego. Są zdraдлиwe jak diabli.

- Więc trzeba się śpieszyć! - zawołał Serim. - Może jeszcze nie jest za późno! No, co jest z wami?! Ruszcie się wreszcie!

Ale tym razem Ablaj i Tarik nie zwrócili na niego uwagi, wpatrując się w kogoś lub coś za jego plecami. Zniecierpliwiony, odwrócił się i napotkał pytający wzrok Sophie, która siedziała na posłaniu i od dłuższej chwili musiała przysłuchiwać się ich rozmowie.

- Gdzie jest moja siostra?

Mężczyźni w milczeniu popatrzyli na siebie.

W tym samym czasie Violette, otulona białym płaszczem, wkraczała już na podmokły teren bagien, gdzie przez splątane konary drzew z trudem sączyło się rozproszone światło dnia. Panował tu półmrok, a do jej płuc wdzierało się ciężkie, zatechłe powietrze, przesycone kwaśnym odorem zgnilizny i rozkładu. Gęste opary spowijały grzędawiska, pełne błotnistej mazi, nad którymi unosiły się niezliczone roje owadów przyciąganych przez wszechobecną wilgoć. Violette starała się stapać bardzo ostrożnie, ale dziwacznie powykęcane korzenie drzew wystające z ziemi utrudniały jej marsz, a im dalej się zapuszczała, tym przeprawa stawała się trudniejsza. Wkrótce mogła już tylko przeskakiwać po kolejnych kępkach trawy lub kamieniach pełniących rolę miniaturowych wysepek pośród rozległego zalewiska.

Po pewnym czasie udało jej się dotrzeć do suchego skrawka łądu. Zadowolona, że może chwilę odpocząć, odwróciła się i nagle krzyknęła, gdyż ujrziała tuż przed

sobą zawieszoną na wbitym w ziemię palu czaszkę łośia. Upiornie puste oczodoły wpatrywały się w nią tępo, a górna szczeka zaopatrzona w dwa nozdrza i wyschnięte białe poroże sterczały na wprost niczym przestroga.

„Ale przed czym?” - Violette zamyśliła się i poczuła, jak zimny pot spływa jej po plecach.

Pospiesznie minęła truchło, z odrazą odwracając wzrok. Idąc dalej, dotarła w końcu do granic grzęzawiska rozciągającego się daleko w obydwie strony.

„Jak mam się przedostać na drugi brzeg? — rozważała pospiesznie różne możliwości. — Stracę zbyt dużo czasu na obejście tego bajora”.

Potoczyła wzrokiem dokoła i dostrzegła w oddali stary pień drzewa przerzucony w najwęższym miejscu mokradła. Stanowił jedyne przejście na drugi brzeg, ale Violette nie była pewna, czy zmurszałe drewno utrzyma ciężar jej ciała. Musiała zaryzykować...

Wzięła głęboki oddech i delikatnie weszła na pień, który niespodziewanie się zachwiał. Zatrzymała się, a gdy zdołała odzyskać równowagę, powoli ruszyła naprzód. Zdawała sobie sprawę z tego, że wystarczy tylko jeden nieopatrzny krok, by już nigdy nie dotarła tam, gdzie zamierzała.

„Straszliwa śmierć - pomyślała. - Jeśli bagno raz pochwyci swoją ofiarę, już nigdy jej nie wypuści — im bardziej się szarpiesz, tym szybciej cię wciąga”.

Dotarła już prawie do połowy kładki, gdy nagle jej noga ześlizgnęła się z omszałego pnia, a dziewczyna runęła prosto w sam środek bagna. Zanurzona po pas w błotnistej brei, rzucała się rozpaczliwie, wołając o ratunek, ale wiedziała, że ma coraz mniej czasu.

Czuła, jak grzęzawisko z wolna i nieubłaganie zaczyna ją wciągać, i mogła już tylko bezsilnie czekać na swój koniec. Wtem dostrzegła płaszcz, który szczęśliwie zahaczył się o wystający sęk. Gdyby tylko zdołała go dosięgnąć... Zdobyła się na ostatni wysiłek — desperacką próbę pochwycenia zwisającego nad głową kawałka płótna i jakimś cudem udało się jej. Niestety, nie miała dość sił, by podciągnąć się w górę i wyrwać się z grząskiej zawiesiny. Utknęła w martwym punkcie... Ile minut zdoła wytrwać tym sposobem? Dwie? Pięć? Może dziesięć?

O wiele krócej, gdyż tkanina z cichym, acz nieubłaganym trzaskiem zaczęła się targać. Choć ledwie zabliznione rany na dłoniach Violette otworzyły się, plamiąc szkarłatem nieskazitelną biel płaszcza, ona z maniakalnym uporem wciąż się go trzymała. Rozdarcie poszerzało się z każdą chwilą, a jej położenie stawało się coraz bardziej dramatyczne. Zdzierała gardło, wołając o pomoc, ale wiedziała, że nie może jej nikąd oczekiwać.

„Nie chcę umierać w ten sposób!”- błagała w myślach.

Pozostało jeszcze tylko kilka cali materiału, a całe dotychczasowe życie niczym krótki sen przebiegło jej przed oczami.

- Zegnaj, Sophie — wyszeptała drżącym głosem. — Przepraszam, że zostawiam cię samą.

W tym momencie poczuła, jak tkanina pęka, i przymknęła powieki.

— Nie! — rozległ się czyjś krzyk i silna męska dłoń w ostatniej sekundzie schwyciła rąbek płaszcza.

Violette otworzyła oczy i zobaczyła kucającego na rozkołysanym pniu wędrowca, który zręcznie zachowując równowagę, trzymał za materiał obiema rękami.

— Twój czas jeszcze nie nadszedł, Violette de Montra-ine! — zawołał. - Nie warto śpieszyć się z pożegnaniem. Same przychodzą, kiedy na nie pora.

Mięśnie pod jego ubraniem naprężyły się jak stal, a na czoło wstąpiły krople potu, gdy niemal nadludzką siłą starał się wyrzeć bagno jego niedoszłą ofiarę. Podciągał w górę płaszcz po kawałeczku, aż w końcu udało mu się złapać ją za rękę. Trzęsawisko stawiało mu zaciekły opór - nie chciało wypuścić swej zdobyczy, lecz pogrzebać ją żywcem tak jak tych, którzy od wieków spoczywali na jego dnie. Przewyciężenie go wymagało od przybysza ogromnego wysiłku, ale gdy Violette zdołała objąć go za szyję, wiedział już, że jest możliwe.

„Uda się - dodawał sobie otuchy. - Musi się udać... Jeszcze tylko odrobinę”.

Usiłując za wszelką cenę utrzymać się na śliskiej, niestabilnej kładce, usłyszał, jak bagno wydało z siebie cichy pomruk niezadowolenia w chwili, gdy dziewczyna znalazła się poza jego zasięgiem. Na wąskim pniu nie było dość miejsca dla nich obojga, więc wziął ją na ręce i ostrożnie zniósł na brzeg. Violette w lepkiej od biota sukni stanęła na własnych nogach i wciąż roztrzęsiona, oparła się o pobliskie drzewo. I wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego...

Reynard wydał z siebie cichy jęk i chwytając się za pierś, padł na kolana, porażony przeszywającym bólem. Od wielu lat dręczyła go choroba, lecz ostatnimi czasy ataki stawały się coraz częstsze, a on miał nadzieję, że któryś z nich przyniesie mu w końcu wieczne wytchnienie. Przerazona Violette znalazła się przy nim niemal natychmiast, ale odtrącił ją gwałtownie.

- Zostaw mnie! - syknął, a gdy nadeszła kolejna fala z całych sił zacisnął zęby.

Wiedział, że był to dopiero początek, a wkrótce ból nasili się do tego stopnia, że nie będzie w stanie go znieść. I wiedział także, że nie może nic na to poradzić. Jego wykrzywiona cierpieniem twarz była biała jak kreda, a oczy ciskały wściekłe błyskawice bezsilności wobec ułomnego ciała. Końce ciemnych rzęs zrosiły łzy, lecz nie chciał, żeby to zobaczyła. Własna duma nie pozwalała mu dopuścić, by ktokolwiek stał się świadkiem jego słabości, ale tym razem nie miał wyboru.

- Jak mam ci pomóc?! Proszę, powiedz mi! - krzyknęła błagalnie.

Odsunął się od niej i z trudem wydusił:

- Nie możesz mi pomóc...Na to nie ma lekarstwa.

Czuł, jak bicie jego serca niebezpiecznie zwalnia, a niewidzialna obręcz zaciska się wokół niego z miazdzącą siłą. Nie mógł złapać tchu. Czarne płatki wirowały mu przed oczami coraz szybciej i szybciej, niemal całkowicie przesłaniając wzrok. Wiedział, że zaraz zemdleje, ale jeśli do tego dopuści, najprawdopodobniej już nigdy się nie obudzi.

„Może tak byłoby lepiej” - pomyślał z goryczą.

Mimo to za wszelką cenę starał się nie stracić świadomości. Czyjeś zbyt słabe ramiona usiłowały go podźwignąć. Bezskutecznie. W głosie Violette de Montraine, zazwyczaj tak chłodnym i obojętnym, brzmiała teraz najprawdziwsza rozpacz. Nie spodziewał się tego po niej. Jego ciało zeszywniało, a krew pulsowała w skroniach, jakby chciała rozsadzić żyły. Serce powoli przestawało bić... Kłujący ból w klatce piersiowej stał się nie do

wytrzymania, a w momencie, gdy osiągnął swe krytyczne apogeum, z ust chłopaka wyrwał się rozdzierający krzyk.

„To już koniec” - jęknął w duchu, gdyż uświadomił sobie, że umiera.

Oczy zasnuła mu mgła cierpienia towarzysząca agonii i wtedy ujrzał przed sobą zupełnie inną twarz - tej, której czarne jak wschodnia noc źrenice patrzyły na niego z czułością jeszcze na długo przed tym, nim wyruszył w swą tułaczą podróż. Ona zawsze będzie na niego czekać.

„Reynardzie” - usłyszał w myśli jej szept.

Wiedział, że musi wytrzymać - jeszcze ten jeden raz... Dla niej. W konwulsjach rył paznokciami ziemię, ale gdy nadszedł ostatni skurcz, cierpiał tak straszliwie, że niepomny już na nic, w duchu błagał bogów o śmierć. I nagle doznał zdziwienia, gdy jego serce znów zaczęło bić. Padł bezwładnie na ziemię, choć życiodajne ciepło krwi na nowo zaczynało krążyć w jego ciele. Zapadł w dziwny letarg zawieszony gdzieś pomiędzy życiem a śmiercią, w otaczającej go nicości — ciemnej, pustej i przerażającej.

Stracił wzrok? A może po prostu umarł? Nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie ani określić, jak długo znajdował się w tym stanie. Kwadrans? Godzinę? Dwie? A może całą wieczność? Pierwszym uczuciem, jakiego doznał po jego upływie, było ciepło i dopiero po chwili uświadomił sobie, że jest to czyjś dotyk. Podświadomie wyczuwał jakąś obecność, lecz jego umysł wciąż spowijał gęsty mrok. Obce dłonie nieśmiało spoczęły na jego torsie, a potem jedna z nich powędrowała w górę, opuszkami palców muskając wystający obojczyk i docierając do skroni. Zsunęła się miękko

aż do linii podbródka, po czym nagle zatrzymała się nieruchomo nad jego ramieniem i Reynard wyczuł, że coś jest nie tak...

Violette de Montraine siedziała obok leżącego na wznak ciała wędrowca. Minęło już wystarczająco dużo czasu, by zdążyła się uspokoić. Teraz położyła mu ręce na piersi, chcąc przekonać się, czyjego serce wciąż bije. Po chwili pochyliła się nad nim i przykładając ucho, zaczęła uważnie wsłuchiwać się w jego słaby, lecz wyraźny rytm. Przestudiowała dość ksiąg medycznych, by wiedzieć, jak sprawdza się tętno, ale jakoś nie miała odwagi przyłożyć palców do jego szyi. Za to mogła mu się teraz przyjrzeć z bliska i zdziwiła się, gdy spod pukli niechlujnie zapuszczonych włosów wyłoniła się twarz o szlachetnych, regularnych rysach.

„Kim on właściwie jest?” - zastanawiała się.

Odziany w brudne i postrzępione łachmany, nie miał ze sobą nic prócz drogiego miecza, którego kunsztowna rękojeść bogato wysadzana była szlachetnymi kamieniami.

„Tak jakby niczego innego nie potrzebował” - rozmyślała bez pośpiechu.

Mógł go wprowadzić ktoś ukraść, ale intuicja podpowiadała jej, że choć kierował się własnymi zasadami, nie zrobiłby tego. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że już kiedyś trzymała w dłoni ten miecz... Promienie światła słonecznego intrygująco załamywały się we wnętrzu klejnotów o zielonkawym odcieniu, których koloru nie potrafiła dokładnie określić, a mimo to wpatrywała się w nie niczym zahipnotyzowana i mogłaby przysiąc, że w tym

mieczu jest coś, co pragnie zabijać. Jej ręka zawisła w powietrzu i przez ułamek sekundy Violette zawahała się, a potem niepewnie dotknęła rękojeści. Wtem wędrowiec nagłym ruchem schwycił za jej nadgarstek.

- Nie ruszaj! - ostrzegł. - Jest przeklęty. Odskoczyła gwałtownie, przestraszona jego niespodziewanym ocknięciem się.

- Jak to?!

Spróbował wstać, ale zrezygnował, gdy wszystko wokół niego znów zaczęło wirować.

- Cięży na nim klątwa — powtórzył słabym głosem. -Gdy zostanie wyciągnięty, musi zasmakować ludzkiej krwi. Bez znaczenia jest, czy to tylko małe draśnięcie w palec, czy wycięcie w pień połowy armii.

— Nie rozumiem. — Violette potrząsnęła głową. Reynard powoli wypuścił z płuc powietrze i ostrożnie usiadł.

— Wszystko zależy od samokontroli wojownika — wyjaśnił. —Tylko prawdziwy mistrz jest w stanie zapanować nad Nefrytowym Fatum, w przeciwnym razie to ono przejmuje władzę nad nim.

Zauważył, że Violette przygląda mu się uważnie, jakby nie śmiała zadać pytania, które właśnie jej się nasunęło.

— Nie jestem mistrzem — odparł ze smutnym półuśmiechem. - By nim zostać, musiałbym trenować jeszcze przez wiele lat, ale chyba rozumiesz już, że nie pozostało mi aż tyle czasu.

Cały ten straszliwy ból nie minął wraz z atakiem, lecz wciąż tkwił głęboko w jego podświadomości i trawił ją żywym ogniem wstydu i poniżenia. Prawdą było, że umierał, i musiał się z tym pogodzić. Prawdziwy wojownik

nieustannie dąży do perfekcji i osiąga ją, walcząc z coraz potężniejszymi przeciwnikami. Natomiast on skazany był na ciągłą walkę z własną chorobą. Gdy ciało odmawia posłuszeństwa w najmniej oczekiwanych momentach, może stać się wrogiem daleko silniejszym i bardziej niebezpiecznym od innych ludzi. Reynard niejednokrotnie zdążył się już o tym przekonać...

Długie lata morderczego treningu i nadludzkich wyrzeczeń poszły na marne. Wygrywając pradawny świąty turniej, zdobył to, na czym najbardziej mu zależało — Nefrytowe Fatum. Lecz zwycięstwo było tylko połowiczne. Jego ciało umiera, a każdy nowy dzień jest przedłużeniem agonii i kwintesencją jego wściekłej bezsilności. Dlaczego więc zdobył się na to wszystko? Po co dźwiga na swych barkach przeklęty miecz i czemu wyruszył w długą wędrówkę, która pochłoneła jego ostatnie siły? Przecież zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później postępująca choroba i skrajne wyczerpanie zabiją go. Jaka siła pchała go wciąż naprzód, do nieznanych krain i obcych ludów w podróż, u kresu której być może nie znajdzie nic, prócz lodowatych, niosących ukojenie ramion śmierci? Nagle w Violette zrodziło się dotkliwe poczucie winy. Choć była przekonana, że ten dziwny mężczyzna nie chce niczyjego współczucia, a tym bardziej litości, po prostu nie potrafiła inaczej.

- Byłam dla ciebie podła - powiedziała, spuszczać wzrok, gdyż po raz pierwszy w życiu przyznała się przed kimś do własnego błędu. - Po co wyciągałeś mnie z tego bagna?! Po tym, jak cię potraktowałam, trzeba było raczej mnie w nim utopić.

Wędrowiec roześmiał się cicho, słysząc tę tyradę, lecz prawie natychmiast umilkł, gdy zobaczył, jak jej

ramionami wstrząsa nagły szloch. Gdzieś w jego wnętrzu zadźwięczała głucho struna zapomnianej tkliwości.

- Tak się bałam, że umrzesz...

Uklęknął obok, jednak nie śmiał jej dotknąć. Działo się z nim coś dziwnego. Rozpaczliwie usiłował przywołać w pamięci obraz czekającej nań ukochanej, ale już nie był w stanie. W jednej chwili zniknęła, jakby nigdy nie istniała, a on znalazł się tu i teraz.

— Kilka dni temu straciłam kogoś, kto był mi bardzo bliski — wydusiła z siebie. — Ludzie van der Zahra zamordowali go na moich oczach... A ja nie mogłam zrobić nic.

Ukryła twarz w dłoniach — pokonana przez los, zrozpaczona, przeraźliwie samotna. Myślała, że jest jedną z tych, które nie ronią łez po śmierci ojców, braci i kochanków. Wydawało jej się, że jest na to zbyt silna, ale myliła się.

Aż do tej chwili straszliwa świadomość, że Jean nie żyje, jeszcze nie dotarła do niej w całej pełni. Dopiero, gdy ten obcy mężczyzna umierał niemal na jej rękach, pękła wysoka tama z kryształu i soli, za którą skrywała wszystkie swe uczucia. Zrozumiała, że Jean już nigdy do niej nie wróci, a tam, gdzie teraz jest, nie pamięta nawet jej imienia. Nie pamięta już niczego, pogrążony w odwiecznym, bezkresnym niebycie. Nie poszedł do nieba ani do piekła — po prostu przestał istnieć, a wraz z nim wszystko, co ich łączyło.

Violette nigdy nie pozwalała, by mężczyźni widzieli jej łzy. Wolą, by myśleli, że nie ma uczuć - tak było łatwiej. Nie można przecież pokochać kogoś, kto ma serce zimne niczym bryła lodu. I choć ze wszystkich sił starała

się teraz opanować, nie mogła powstrzymać płaczu. Może zbyt długo usiłowała zdusić wszystko w sobie. Przywykła już do cierpienia w samotności i nie potrzebowała żadnych pocieszycieli. Nagle poczuła, jak wędrowiec delikatnie bierze ją za rękę i przyciąga do siebie.

- Nie smuć się - przemówił łagodnym głosem. - Nie warto. Los każdego z nas jest z góry ustalony. Śmierć była mu pisana, tak jak nam wszystkim.

Podniosła na niego drżący wzrok - tak bardzo chciałaby mu wierzyć... Może wtedy zdołałaby pogodzić się z ponurą rzeczywistością, która osaczała ją na każdym kroku. Łatwiej jest myśleć, że ludzkim życiem kieruje potężna machina przeznaczenia, ale Violette wiedziała, że to nieprawda, i jej piękne ametystowe oczy znów wypełniły się łzami.

Wędrowiec wpatrywał się w nie niczym urzeczony, a w nim samym rozgorzała okrutna walka i nim zdołał zapanować nad odruchem, zamknął ją w swych objęciach. Nie zaprotestowała. To była tylko chwila - jedna na tysiąc, a ona po prostu się jej poddała. Reynard miał nadzieję, że odepchnie go od siebie. W myśli błagał, by to zrobiła, lecz Violette ufnie wtuliła się w jego ramiona. I w tym momencie zrozumiał już, że przegrał, bo te kilka sekund mogłoby dla niego trwać w nieskończoność.

„Czy po to bogowie dali mi jeszcze jedną szansę?” -zapytał sam siebie z gorzkim sarkazmem.

Honor jest dla wojownika wartością nadrzędną, a zdrada równoznaczna jest z jego utratą. Jeśli bogowie ocalili mu życie, by przyglądać się, jak sprzeniewierza się wszystkiemu, w co do tej pory wierzył - niech będą przeklęci. Bał się myśleć, że zrobili to tylko z litości, by nim jego

droga dobiegnie kresu, jeszcze raz poczuł żar, który rozbudzi w nim dawno już wygasłe emocje.

Wtem uświadomił sobie, że żaden z tych powodów nie jest prawdziwy. Chodziło o coś zupełnie innego - o słowo, a raczej trzy wyrazy: van der Zahr. Ona sama je wymówiła i w tym momencie Reynard pojął, dlaczego los postawił Violette de Montraine na jego drodze. To dzięki niej niespodziewanie znalazł się tak blisko celu swej wędrówki, jak jeszcze nigdy dotąd.

- Powiedziałaś, że ludzie van der Zahra zabili kogoś z twoich bliskich. Czy to przed nim uciekasz?

Violette znieruchomiała w jego objęciach na dźwięk tego nazwiska i delikatnie się z nich wysunęła.

- Nie uciekam - odrzekła. - Przed nim nie można uciec. Dlatego zdecydowałam się jak najszybciej dotrzeć do twierdzy Illion. Chcę stanąć z nim twarzą w twarz. Inaczej wymorduje całą moją rodzinę, a potem zagarnie ziemię, które należały do nas od pokoleń.

- I ty wierzysz, że możesz go przed tym powstrzymać? - spytał ironicznie, choć mimo wszystko podziwiał jej szaleńczą, płynącą z desperacji odwagę.

- Nie mam wyboru - stwierdziła. - Armand oskarżył mojego ojca o herezję i zdradę, a ponieważ jest tak potężny, nikt nie odważy się zakwestionować jego słów. Wszystko po to, by zmusić ojca do oddania w jego pieczę mnie i mojej siostry.

- Po co mu córki człowieka, którego pragnie zniszczyć? — zdziwił się Reynard.

Violette podniosła się z ziemi i otrzepała suknię.

- On potrzebuje tylko jednej z nas - tej, która nosi złoty krzyż de Montraineow.

Podawała rękę przybyszowi i pomogła mu wstać.

— *Zabije* setki ludzi, by zdobyć jeden klejnot? — Nie dowierzał.

— To nie jest zwykły krzyż — wyjaśniła. — Stare podania mówią, że jest kluczem do legendarnego skarbu Pradawnych.

— Wierzysz w to?

— Armand wierzy — odparła pospiesznie Violette. -A ja zrobię wszystko, by ocalić najbliższych. Wszystko -powtórzyła głucho, tak by nie pozostawić złudzeń jemu ani sobie.

Zrozumiał ukryty sens jej słów aż nazbyt dobrze. Nie wiedział tylko, dlaczego towarzyszyło mu przykre ukłucie w sercu.

— Nie wątpię, że uczynisz, co tylko w twojej mocy. A nawet więcej...

Spojrzała mu prosto w oczy bez dumy czy fałszywego wstydu.

— Nie myśl, że nie mam poczucia własnej godności, i nie waż się mnie oceniać! Proszę cię tylko o to, byś pomógł mi dostać się do Illion.

Nie wytrzymał. Cały jego spokój i opanowanie w jednej sekundzie trafił szlag. Jak mogła być tak ślepa?!

— Sądysz, że to coś zmieni?! — wykrzyknął. - Oddasz mi wszystko, czego zażąda, ale on na tym nie poprzestanie! Tacy jak van der Zahr nie zadowolają się częścią — biorą wszystko! Gdy dostanie już to, na czym mu zależy, co stanie na przeszkodzie, by nie dokończył swego dzieła i nie zagarnął waszych włości?! Wiesz przecież, że to tylko kwestia czasu!

Violette stała w osłupieniu, zaskoczona jego nagłym

wybuchem. Nikt nigdy nie mówił do niej w ten sposób, a najgorsza była świadomość, że mógł mieć rację. Może to on przejrzał do końca plan van der Zahra, a ona się myliła.

Przez chwilę stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem jak dwa bieguny magnetyczne, których siła wzajemnego przyciągania jest równa tej, z którą się odpychają. I zapewne trwaliby tak nadal, gdyby nie fakt, że ktoś się do nich zbliżał.

— To Ablaj i Tarik — stwierdziła Violette, dostrzegając w oddali dwie szybko poruszające się sylwetki. - Serim na pewno kazał im mnie odszukać i przyprowadzić z powrotem.

— Sama musisz podjąć decyzję. Pójdiesz, dokąd zechcesz — powiedział z rezygnacją w głosie i sięgnął po miecz. — Jedno słowo, a zatrzymam ich tu na zawsze.

— Zaczekaj. — Powstrzymała go ruchem ręki.

Wysłannicy Serima, zwinnie przeskakując po wystających nad powierzchnię mokradła kamieniach, dotarli do Violette w kilka minut, lecz gdy zobaczyli stojącego za nią Reynarda, znieruchomieli. Po ostatnich wydarzeniach woleli trzymać się od niego na dystans.

— A ty tu czego?! — Tarik odezwał się niechętnie na widok wędrowca.

Violette natychmiast wysunęła się o krok do przodu.

— Gdyby nie pojawił się na czas, utonąłabym w tym bagnie — oświadczyła. — A wy nigdy byście mnie nie znaleźli.

Najemnicy wymienili ze sobą spojrzenia.

— Masz zagadkową zdolność do pojawiania się w kluczowych momentach, przybyszu — rzucił mu sarkastycznie

Ablaj. - Ale tym razem nic mi do tego. Serim przysłał nas po nią, więc nie rób nam kłopotu.

- Pójdzie, gdzie będzie chciała - warknął Reynard. Wzrok starszego z najemników stał się przenikliwie

ostry i zimny jak stal. Musiał przyprowadzić Violette de Montraine przed zachodem słońca, a nie miał ochoty znów wdawać się w potyczkę. Niespodziewanie z pomocą przyszedł mu młodszy brat.

- Twoja siostra się obudziła - wtrącił niby przypadkiem. - Pyta o ciebie.

Spojrzenie Violette niespodziewanie rozjaśniło się i Reynard odetchnął z ulgą. Nie miał pojęcia, czy Tarik mówi prawdę, ale w duchu był mu wdzięczny. Obaj zdawali sobie sprawę, że tylko ta jedna wiadomość mogła skłonić ją do powrotu, nawet jeśli była zwykłym kłamstwem.

IV

Rycerz białej róży

Ponure echo niosło się po długich, krętych korytarzach twierdzy Illion. Wiatr zawodził, goniąc po opustoszałych komnatach, a odgłos jego wycia wydawał się w ciemnościach upiornie ludzki. Jak w każdym grodzie, tak i tu, w tych burzliwych czasach, lochy i sale tortur pełne były zarówno złodziei i morderców, jak i niewinnych ludzi. Ich wszystkich z rozkazu Armanda van der Zahra dniami i nocami obdzierano ze skóry, łamano kołem, miażdżono im stawy i okaleczano ciała straszliwymi machinami. Strach i terror, jakimi posługiwał się władca, skutecznie utrzymywały poddanych w ryzach, a wśród okolicznych mieszkańców panowało powszechne przeświadczenie, że jeśli ktoś raz trafi do lochów zamku Illion, nie wraca stamtąd już nigdy.

Ludzie o światlejszych umysłach składali więc potępieńcze, przyprawiające o drzenie jęki na karb męczonych więźniów, ale ci prości i zabobonni, którzy musieli pełnić tu służbę, intuicyjnie wyczuwali, że zbudowane przed wiekami zamczysko skrywa w swych czeluściach niejedną tajemnicę. Surowe kamienne mury były niemymi świadkami niezliczonych zdrad, plugawych mordów i żądź, tak chorych, że nigdy nie powinny się były

zrodzić w ludzkim umyśle. Są na ziemi miejsca, które kumulują negatywne emocje i z biegiem czasu przenoszą zło na następne pokolenia. Ale czy ta twierdza była jednym z nich? Miejscowa ludność, schrystianizowana pod groźbą miecza, wierzyła w to głęboko. Dla nich wciąż powracali tu jej dawni mieszkańcy, którzy nie do końca odeszli lub odejść nie chcieli.

To oni błakali się nocami po korytarzach, których grobową ciszę zmaćcił teraz odgłos miarowych kroków rycerza odzianego w błyszczący korpus zbroi. Przez spowijający tajemne przejścia mrok powiewał za nim rąbek białego jak śnieg płaszcza. Przed chwilą otrzymał od swego władcy rozkazy, których wypełnianie stanowiło sens jego życia, a rozmowa, jaka toczyła się w wewnętrznych komnatach zamku, na długo zapadnie mu w pamięć:

- Ten przeklęty de Montraine sądzi, że może mi się sprzeciwić, ale nie wie, że jego dni są już policzone! — wykrzyknął w gniewnym uniesieniu Armand van der Zahr.

— Hagen twierdzi, że jego córki zginęły, gdy nasza eskorta została zaatakowana przez grasującą w tych lasach bandę zbójców - zauważył skwapliwie stary, odziany w złoto i purpurę biskup.

Każdy władca ma oddanego sobie zausznika, który jest gotowy zawsze służyć mu radą i dyskretnie zrealizuje każdy plan swego protektora. Diuk Bretanii znalazł go w osobie jednego z najwyższych rangą dostojników kościelnych w tym państwie — Herefordzie de la Greux. Ich wspólna komitywa nie opierała się na stosunkach zwierzchnictwa i poddaństwa, lecz równorzędnych re-

lacjach. Niemal idealnie się uzupełniali: porywczy i okrutny tyran oraz duchowny, który nie cofnie się przed żadną formą nacisku, byleby tylko osiągnąć swój cel. Jeden posiadał władzę świecką, drugi kościelną, a to dawało w sumie rządy bliskie absolutnym. W dobie feudalnego rozdrobnienia i panującego bezkrólewia dwóch ludzi o silnych i wszechobecnych wpływach mogło z ukrycia sprawować kontrolę nad całym państwem. Nic nie odbywało się bez ich wiedzy i tajemnego przyzwolenia. A ponieważ nikt nie był w stanie skupić w swym ręku dostatecznej władzy, by sprzeciwić się takim agitatorom, samowola poczynań Armanda przekraczała coraz bardziej niebezpieczne granice.

Niejeden z możnowładców oddałby wiele, aby go usunąć i niejeden już tego próbował, lecz bez skutku. Okoliczni feudałowie, tacy jak de Montraine, żyli w kruchym poczuciu bezpieczeństwa i ciągłym strachu przed tym, który w każdej chwili mógł skierować przeciw nim swą potężną armię, a wtedy żadna siła na niebie i ziemi nie zdołałaby ich już ocalić. Teraz Armand van der Zahr wyciągnął rękę po rodzinną świętość de Montraine ow, a owiany mroczną tajemnicą krzyż już wkrótce miał się stać przyczyną śmierci setek ludzi i ściągnąć straszliwe cierpienia na tą, której przeznaczeniem jest go nosić...

Armand, słysząc słowa biskupa, jeszcze bardziej się rozszorył.

— Nie ośmieszaj się, księżu! — wykrzyknął. — One żyją! Nawet ślepiec by zauważył, że to był tylko wybieg żalosego głupca, który łudził się, że zdoła mnie oszukać!

— Skąd pewność, że to byli jego ludzie?

- Skąd?! - powtórzył z irytacją. - To bardzo proste, drogi de la Greux! Najemnicy, których opłacił, popełnili jeden niewybaczalny błąd - darowali życie dowódcy. Pomyśl tylko, tutejsze szumowiny nienawidzą naszych żołnierzy, a ilu znasz takich, którzy mając w zasięgu ręki nordyckiego oficera, darowaliby mu życie?

- Bardzo sprytnie, Armandzie. - Starzec roześmiał się zgrzytliwie. - Hagen musiał przeżyć, by poświadczyć, że to zbójcy napadli na konwój. Co zatem zamierzasz?

Władca zamyślił się przez chwilę.

- To oczywiste - odparł. - Zanim jutrzejszy dzień dobiegnie końca, zamek Vox przestanie istnieć, a hrabia de Montraine i jego czcigodna małżonka staną przed obliczem samego Najwyższego, czy jak go tam zwiecie, eminencjo.

- Za jednym posunięciem pozbedziemy się niewygodnego sąsiada i zagarniemy wszystkie podległe mu ziemie - wtrącił przebiegle starzec.

- A do uszu króla i jego dworu dotrze wieść o słusznej karze, jaka spadła na zuchwałego zdrajcę i heretyka - dokończył van der Zahr.

- Jest potomkiem jednego z najznamienitszych rodów w kraju, nie łatwo będzie im w to uwierzyć - strapił się biskup.

- Uwierzą, w co tylko zechcą! Już twoja w tym głowa, żeby nie odważyli się podać w wątpliwość słuszności mojej decyzji.

- A co, jeśli córki de Montraine'a pewnego dnia zechcą upomnieć się o swoją własność?

Armand, słysząc te słowa, uśmiechnął się tajemniczo.

- Kiedy dokończę to, co zacząłem, już nigdy o nic się nie upomną. Ani one, ani nikt inny.

W tym momencie dwa leżące nieopodal stołu rottwe-ilery, które przysłuchiwały się ich rozmowie, wymieniły ze sobą spojrzenia, a potem wstały i jak na komendę ruszyły do wyjścia.

- A wy, dokąd?! - krzyknął władca, rzucając w ślad za nimi ogryzioną z mięsa kością. - Głupie kundle!

Psy zignorowały go jednak i znikając za drzwiami, ruszyły w kierunku głównej bramy prowadzącej na zewnątrz twierdzy. Tymczasem diuk skinieniem ręki przywołał najbardziej oddanego mu spośród Rycerzy Białej Róży.

- Albinie!

- Co rozkażesz, panie — młodzieniec zbliżył się do niego i przyklęknął.

- Zbierz ludzi i wyrusz natychmiast.

- Dokąd? — spytał.

- Na Vox.

W taki oto sposób słowa Armanda van der Zahra stały się wyrocznią, która miał w sobie dość mocy, by nieść śmierć, ból i pożogę oraz skierować kroki rycerza na ścieżkę, z której nie ma już powrotu. Wypełniając polecenie swego władcy, ściągnie na siebie jedynie nienawiść tej, której miłość nade wszystko pragnąłby sobie zaskarbić. Ale jak dalece przeznaczenie może igrać z ludzkim losem?

Albin szybkim i zdecydowanym krokiem przemierzał tonący w mroku zamkowy korytarz. W jego umyśle zagnieździł się drażniący niepokój. Ilekroć przymykał powieki, widział tę postać, podążającą za nim niczym fatum -jasną, wysmukłą, noszącą w sobie wyraźne piętno czegoś niezziemskiego, może nawet nieludzko pięknego. Tamtej nocy wystarczyło jedno spojrzenie na delikatne rysy jej twarzy, by odgadnąć, że nie jest

zwykłą śmiertelniczką, lecz najczystszej krwi arystokratką. I te jej oczy - tajemnicze, nieczyste jak zmierzch zapadający nad wymarłym miastem. Oczy zapomnianej bogini, którą potajemnie skrył w cichym sanktuarium własnego jestestwa i otoczywszy najczulszym tchnieniem bezlitośnie tłumionych pragnień, uczynił nowym światłem swojego życia.

Tknięty nagłym impulsem, wszedł do zamkowej kaplicy. Małej, dusznej i ociekającej złotem, przy którym zblednąć musi nawet światło dnia. Najlepszy, a zarazem na-jokrutniejszy adept zakonu mieczowego Białej Róży klęczał teraz przed odwiecznym majestatem, którego żaden śmiertelnik nie potrafi objąć myślą. Długie, proste pasma włosów zsuwały się bezwładnie z jego ramion i zwieszały w dół, a na udreżone czoło wstąpiły krople potu.

„W czarną noc, na pustkowiu... Zupełnie sama, w kosztownej sukni... Szlachetna uroda i to jej spojrzenie -jakby na mnie czekała". - Nie mógł znieść natłoku myśli i skojarzeń, jakie się w nim rodziły.

Powoli wszystkie elementy tej makabrycznej układanki zaczynały idealnie do siebie pasować. W końcu dotarło do niego, że fakty, na pozór niemające ze sobą związku, łączą się w jedną logiczną całość. W momencie, gdy to sobie uświadomił, podniósł wzrok na ziejące chłodem figury świętych męczenników i drżącymi ustami wyszeptał:

- Boże, spraw żeby to nie była ona.

Dochodziło południe. Reynard siedział w niskiej, ciasnej chacie i drzemał, oparty o ścianę, z nogami wyciągniętymi przed siebie na drewnianej ławie, a Violette krzątała się wokół paleniska, przygotowując posiłek dla Sophie. Właściwie zdziwił się, gdy wczoraj wieczorem zastali ją przytomną i z niecierpliwością wyczekującą ich powrotu. Wyglądało na to, że Tarik jednak nie kłamał, a Reynard był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

„To nawet lepiej, że będzie musiała tu zostać, by opiekować się siostrą — przyszło mu na myśl. — Choć na kilka dni porzuci myśl o udaniu się do Illion”.

Ale cóż go to właściwie obchodziło? Już dawno powinien był ruszyć w drogę, zamiast siedzieć tu beczynn timer. Wtem usłyszał cichy szelest i intuicyjnie wyczuł, że ktoś mu się przygląda. Uchylił powieki i zobaczył siedzącą na posłaniu młodzieńką dziewczynę, która wpatrywała się w niego wielkimi zielonymi oczyma.

— Jak masz na imię? — spytała.

Uśmiechnął się, słysząc tę na wpół dziecinną ciekawość w jej głosie.

— Reynard — odparł tonem żartobliwej poufałości. — Ale możesz nazywać mnie po prostu włóczęgą, jak twoja starsza siostra.

Violette, słysząc jego ostatnie słowa, z impetem odstawiła garnek na żeliwne palenisko i prychnąwszy niechętnie, wyszła na zewnątrz.

— Musisz jej wybaczyć — wyrzekła Sophie, spuszczaając wzrok. - Nie zawsze jest taka. Kilka dni temu zmarł ktoś, z kim była... bardzo blisko związana i nie potrafi się z tym pogodzić.

— Jean?

Dziewczątka spojrzało na niego z zaskoczeniem.

- Mówiła ci?

- Nie. - Potrząsnął głową. - Była na wpół przytomna. Pewnie nie pamięta nawet, że wypowiedziała to imię.

- Teraz rozumiem. Świadomie nigdy nie przyznałaby się do tego, o czym nikt nie wiedział... - stwierdziła i urwała nagle w połowie zdania, gdyż pojęła, że powiedziała o wiele za dużo.

- Skoro go kochała, dlaczego miałyby to ukrywać?

Sophie zawahała się. Czy powinna zdradzać temu obcemu mężczyźnie rodzinną tajemnicę? Mroczny sekret siostry, poznany przypadkiem, którego Violette nie powierzyłaby nikomu - nawet jej...

- Jean był jej stryjecznym bratem - wyjawiała. - Ale to, co ich łączyło, nie było siostrzaną miłością. Jean po śmierci wuja zamieszkał z nami. Violette z początku nawet go nie lubiła i nagle coś się między nimi zmieniło - z dnia na dzień stali się nierozłączni. Ojciec był szczęśliwy, że spędzają ze sobą tak dużo czasu, ale gdyby znał prawdę, serce by mu pękło. Musieli utrzymywać to w tajemnicy. Byliby zgubieni, gdyby ludzie poznali prawdę, ale Bóg ją zna. Dlatego każdego dnia modłę się o zbawienie jej duszy.

- Próżny trud, Sophie - głos Violette rozległ się znienacka tuż za nimi. - Nie musisz się o mnie martwić. Po śmierci czeka nas jedynie nicość, więc gdy umrę, nie trafię do piekła.

Nie wiedzieli, jak długo stała w drzwiach - kilka minut czy kilka sekund - dokładnie tyle, ile trzeba, by usłyszeć ostatnie zdanie.

- Nie wolno ci tak mówić, to bluźnierstwo. Kościół uczy, że...

- Kościół uczy, czego chce — przerwała jej. -1 oskarża o herezję każdego, kto odważy się myśleć inaczej.

- Przestań! - zawołała Sophie.—To przecież Bóg osądza grzeszników.

- Masz rację, pewnego dnia Bóg mnie osądzi! Ale osądzi też twój Kościół, ociekający krwią tysięcy niewinnych ludzi, takich jak nasz ojciec!

W jednej chwili zaległa niemal grobowa cisza. Sophie nie mogła wydobyć z siebie słowa, a Violette odwróciła się, by ukryć pod powiekami gorzkie łzy. Reynard, chcąc przerwać niezręczne milczenie, odezwał się do młodszej z sióstr:

- Jeśli chcesz, opowiem ci bajkę.

Zacisnęła drżące usteczka i pokiwała głową, bez namysłu przystając na jego propozycję. Gdy rozpoczynał swą opowieść, kątem oka dostrzegł Violette, która nieznacznie odwróciła się w jego stronę i bezgłośnie poruszając ustami, wyrzekła:

- Dziękuję.

Już wkrótce okazało się, że potrafił z niesamowitą swobodą roztaczać wokół siebie wspaniałe wizje dalekich krajów, nieznanymi miast i opromienionych wschodnim przepychem pałaców. Zupełnie jakby pochodził z innego świata — z krainy pięknych księżniczek o jedwabistych włosach, złotych cesarzy i prastarych smoków, których mądrość i potęga stały się legendą. Dla zasłuchanej w jego słowa Sophie otaczająca ją rzeczywistość powoli przestawała istnieć. Zafascynowana opowieścią, zapomniała o bólu i zmartwieniach, wraz z nim przemierzając nieznaną, odległą ląd pełną górzystych przełęczy, dziewiczych lasów i nieprzebytych, jałowych pustyń.

Była to historia miłości, która połączyła piękną córkę namiestnika imieniem Shu-Lien i pewnego chłopca, którego matka ocaliła od śmierci za cenę własnego życia. Choć był tylko sierotą, postanowił, że któregoś dnia zostanie najlepszym z wojowników i zdobędzie legendarny miecz o nazwie Nefrytowe Fatum. Trenował przez wiele lat i z biegiem czasu był w stanie pokonać każdego, kto stanął na jego drodze. Udowodnił to, zwyciężając pradawny święty turniej, a sam cesarz wręczył mu Nefrytowe Fatum. Lecz taki przybłęda jak on nie był godzien ręki Shu-Lien. Wyruszył więc w długą podróż, a dziewczyna stojąc na szczycie wzgórza, wołała, że zawsze będzie na niego czekać. I Reynard wciąż pamiętał, jak pięknie wiatr rozwiewał wtedy jej włosy.

- Jak kończy się ta opowieść? - spytała Sophie.

- Nie wiem - odrzekł cicho, gdyż żal ścisnął mu gardło. W jego smutnych oczach można było z łatwością odczytać prawdę.

- Mówisz o tym tak, jakbyś opowiadał swoje własne dzieje - stwierdziła, przyglądając mu się uważniej.

- To tylko bajka — skłamał.

- Której zakończenia jeszcze nie znasz — dopowiedziała przysłuchująca mu się Violette.

Rozłożył ręce i nic na to nie odrzekł. Nie musiał, gdyż w jej oczach krył się tylko nieprzenikniony chłód, który mógłby obrócić w bryłę lodu wszystko, czego dotknie. Teraz Reynard wiedział już, jakim spojrzeniem dawni mędrcy wschodu zabijali w legendach Złote Smoki.

Dwa rottweilery, które rankiem tego dnia opuściły komnaty Armanada van der Zahra, kierowały się teraz na

zachód, podążając za wyraźnie wyczuwalnym tropem Czarnej Wilczycy. Przemierzając rozległą puszcę usytuowaną w centralnej części Półwyspu Bretońskiego, dotarły w końcu do niewielkiego trawiastego wzniesienia, pokrytego setkami sterczących z ziemi menhirów, ułożonych na kształt kolistych kromlechów. Wraz z nastaniem nowej ery to miejsce prehistorycznego kultu odeszło w zapomnienie wraz ze swymi bogami, którzy pogrążeni we śnie, czekali na ponowne przebudzenie.

Gdy psy wbiegły na pagórek, odziana w skórę wilka kobieta czekała już na nie pośrodku wewnętrznego kręgu monumentalnych megalitów i spoglądała na zbliżające się z szybkością pędzącego wiatru postacie. Jeden z rottweilerów wysunął się naprzód i przybierając postać młodej dziewczyny, zatrzymał się przed Wilczycą, a drugi przeistoczył się w chłopaka i stanął nieco z tyłu.

- Witaj, Alsione - odezwała się dziewczyna. - Oczekiwaliśmy twego przybycia.

Wzajemne podobieństwo tej dwójki było tak uderzające, że nie pozostawiało wątpliwości co do tego, że byli oni niegdyś bliźniaczym rodzeństwem.

- Zoe i Zavier — wypowiedziała na głos ich imiona, rozpoznając w nich dwoje wysłanników. - Czy plan Śpiącego Borsuka się powiódł?

- Owszem — potwierdziła dziewczyna. - Nasz Pan nakłonił diuka Bretanii do poszukiwania nieistniejącego skarbu de Montraineow. Obserwujemy ten ród od dziesięciu lat i jesteśmy pewni, że mają coś wspólnego z Lapis Exillis. Być może nawet znają miejsce jego ukrycia lub sami strzegą Świętego Kamienia.

Kobieta zamyśliła się przez chwilę, próbując dopasować do siebie poszczególne wydarzenia.

- Wyczułam moc Pradawnych, która przebudziła się w tym rejonie, i podążając za jej aurą, zeszłej nocy napotkałam w pobliskich lasach dziewczynę. Zaatakowałam ją w swej zwierzęcej postaci, ale jej dar nie ujawnił się.

- Dziewczyna, którą spotkałaś, to zapewne Violette de Montraine - odezwał się chłopak, który aż dotąd ani razu nie zabrał głosu. - Wydaje się, że jej moc ma związek z pewną rodową relikwią, która może zawierać w sobie odłamek Lapis Exillis, i w ten sposób umożliwia jej wyzwalamie energii Pradawnych. Mieliśmy nadzieję, że z czasem doprowadzi nas ona do miejsca, w którym znajduje się kryształ, ale niestety w ostatnich dniach klejnot zaginął, a bez niego ta dziewczyna jest tylko zwykłą śmiertelniczką.

- Teraz wszystko rozumiem - stwierdziła Alsione. - Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko czekać i obserwować dalszy rozwój wypadków.

W tym samym czasie Phil siedział na wielkim głazie leżącym przy brzegu leśnego strumienia, a jego piegowata twarz odbijała się w przejrzystej, szemrzącej toni, wraz z promieniami popołudniowego słońca. Ponieważ wciąż był jeszcze wyrostkiem, i to nader wątlej postury, nie miał wśród najemników łatwego życia.

Niegdyś był najstarszy z czwórki rodzeństwa, ale cała jego wieś wymarła na zarazę, i od tamtej pory włóczył się po okolicznych osadach, to żebrząc, to znów kradnąc. Nieraz dostawał cięgi i nieraz wypędzano go kijami, ale kiedy dwa lata temu przez przypadek natrafił

w lesie na obóz najemników, było mu już wszystko jedno. Zima zbliżała się wielkimi krokami, a przyłączenie się do nich było jedynym sposobem na przetrwanie. Gdy Ablaj i Tarik zorientowali się, że odkrył ich kryjówkę, chcieli od razu się go pozbyć, zanim zdąży komukolwiek o niej powiedzieć. Ale Serimowi jego widok wydał się tak żałosny, że wybuchnął tylko śmiechem — i tak Phil został.

Potrzebowali przecież ktoś do wykonywania codziennych usług. Wcześniej zajmowała się tym jakaś gruba dziewczka, która sypiała z Serimem, ale wywiało ją stąd, jak tylko powąchała lepszego chleba. Podobno wyszła w końcu za jakiegoś oficera i zamieszkała z nim w osadzie u podnóża twierdzy. Tak czy inaczej, Phil przejął wszystkie jej obowiązki z wyjątkiem usług świadczonych Serimowi. Z czasem stał się też jego ulubionym popychadłem - słaby i niezbyt rozgarnięty, znalazł się najniżej w hierarchii grupy. Nie dopuszczali go nawet do podziału zrabowanych łupów, a jedyną rzeczą, jaką posiadał na własność, była obszerna czapka z lisa, którą miał po swoim ojcu. Nosił ją przez cały czas niezależnie od pory roku i pogody, a Tarik śmiał się, że dzięki niej łatwiej znosirazy, których nie żałował mu Serim.

„Ale tym razem to ja jestem górą! - cieszył się, jak dziecko. — Wystrychnąłem ich wszystkich na dudka!”

Oto w jego dłoni spoczywał jeden z najdrogocenniejszych i najbardziej poszukiwanych klejnotów, a tajemniczy blask, którym emanował, zmuszał do zmrużenia powiek. Symbol całej potęgi i statusu rodu de Montraineow znalazł się w obcym ręku — w ręku kogoś, kto nigdy nie miał nawet pary własnych butów. Starzy ludzie powiadali, że

ten ród przypadnie bez swojej świętej relikwii lub że to właśnie ona sprowadzi nań zagładę.

Tymczasem Phil z uwagą polerował rąbkami rękawa drogocenny skarb, który tak niespodziewanie i bezprawnie wszedł w jego posiadanie. Z upodobaniem patrzył, jak czyste złoto błyszczy się w słońcu, a ametystowy kryształ osadzony pośrodku krzyża odzwierciedla jego własną fizjonomię.

„Tak, tak, mój klejnociku - przemawiał do niego czule w swych myślach. — Lśnij coraz piękniej, bo jesteś tylko mój i nikomu cię nie oddam”.

Wtem jakaś silna ręka wyrwała mu krzyż, a druga schwyciwszy go za gardło, uniosła na wysokość dwóch stóp i brutalnie przygwoździła do grubego pnia drzewa. Bose nogi chłopaka groteskowo wierzgały w powietrzu.

- Ejże, a co to jest?! - ryknął mu prosto w twarz Serim.

- N-nie wiem, szefie - wyjąkał przerażony wyrostek.
-Znalazłem to dziś rano przy strumieniu.

Rozwścieczony jego bezczelnymi łgarstwami najemnik jeszcze mocniej przydusił chłystka, który nie miał prawa zabrać niczego bez jego wiedzy.

- Masz mnie za głupca! - wrzasnął. - Łżesz jak pies i myślisz, że ci uwierzę!

Posiniały na twarzy Phil rozpaczliwie próbował coś powiedzieć, lecz z jego ściśniętego gardła wydobywało się tylko głucho bulgotanie. Oczy nabiegły mu krwią, a chude dłonie ostatkiem sił usiłowały rozluźnić straszliwy chwyt mocarza, który mógł kosztować go życie. Wtedy to widok wykrzywionej grymasem furii twarzy Serima i jego pałających żądzą mordu oczu będzie ostatnim widokiem, jaki zobaczy w swej parszywej egzystencji.

Czy tak właśnie ma skończyć? Za kradzież jednego klejnotu? Ilu ludzi jeszcze będzie musiało ponieść śmierć z powodu tej przeklętej relikwii? Raptem poczuł, jak palce siłacza miażdżące jego krtań rozluźniają się, a oprawca wypucza go, by zamroczony i niemal już bezwładny, osunął się w dół po chropowatej powierzchni pnia.

— Zrób tak jeszcze raz, psie, a popamiętasz mnie na wieki wieków — warknął Serim i odszedł.

Czyżby zamierzał bezzwłocznie oddać krzyż jego prawowitej właścicielce? Idąc drogą, przyglądał mu się bacznie, okiem znawcy szacując jego przypuszczalną wartość. Była na tyle duża, że człowiek, który by go sprzedał, mógłby nabyć za te pieniądze całkiem spory kawałek ziemi na południu kraju i w dostatku doczekać spokojnej starości. Ale Serim nigdy nie widział siebie w roli gospodarza — znacznie bardziej interesowało go inne rzemiosło, którym parął się niemal od zawsze, a złodziejska natura podszeptowała mu, by powiedzieć Violette de Montraine, że jej drogocenny krzyż przepadł na zawsze. Nagle zatrzymał się, uniósł go wysoko w górę i zobaczył, że odbija jego własne oblicze — twarz człowieka chciwego i pozbawionego zasad, którego jedynym pragnieniem jest żądza posiadania i gromadzenia bogactwa.

Bładym świtem, w ciszy rodzącego się dnia wyłonili się z gęstej mgły niczym upiory niosące zapowiedź śmierci. Na swych silnie zbudowanych wierzchowcach okrążyli w milczeniu uśpiony gród. To miała być już jego ostatnia spokojna noc. Otaczające go wioski w przeciągu kilku nocnych godzin zamieniły się w dymiące, ziejące pustką pogorzelska. Zdobycie zamku nie przysporzyło tej świetnie

zorganizowanej armii niemal żadnego trudu. Zdezorientowani i przerażeni mieszkańcy próbowali się bronić, lecz na próżno. Zagłada przyszła na nich szybko i niespodziewanie. Najeźdźcy niczym krwiożercze bestie gwałcili, palili i zarzynali, a przewodził im rycerz w białym płaszczu.

„Takie są okropności wojny” - pomyślał Albin bez cienia współczucia.

On sam dobrze je znał. Ale to było dawno, dawno temu... Teraz jest wojownikiem — dumnym i niezależnym. To on w ferworze walki odrąbał głowy, kaleczył i mordował. Mało kto mógł dorównać mu zrećnością i okrucieństwem. Na spienionym, ciężko dyszącym koniu kluczył wśród płonących zabudowań, chcąc za wszelką cenę odnaleźć człowieka, który musiał tego dnia zginąć szczególną śmiercią. Gryzący dym i buchające zewsząd jęzory ognia utrudniały mu widoczność, a do jego uszu docierały krzyki ludzi zabijanych jak zwierzęta. Znaczyło to, że dobrze wypełnia swoje zadanie. Vox umierało, wstrząsane ostatnimi agonijnymi drgawkami, a dla jego mieszkańców dzień sądu ostatecznego nadszedł właśnie dziś. Albin zeskoczył lekko ze swego wierzchowca i stanął na wprost drewnianych wrót prowadzących do wnętrza zamku. Przeczuwał, że człowiek, którego szuka, znajduje się właśnie tam.

W chwilę później z ogarniętej płomieniami szopy wybiegła z krzykiem dziewczyna i skierowała się wprost na niego. W jej twarzy odbijało się tylko czyste przerażenie, gdy desperacko walczyła o życie. Szczupłą dłonią przyciskała do siebie drugie krwawiące ramię, lecz rana od miecza była głęboka, a krew przeciekała jej przez palce. Tuż za nią wypadło trzech uzbrojonych po zęby żołdaków

z błyskającymi dziką żądzą ślepiami. Była zupełnie sama, gdyż w całej tej kotłowninie każdy myślał już tylko o sobie. Dlatego nikt nie dostrzeże jej wołania o pomoc. Nikt nie usłyszy.

I wtedy go zobaczyła - wysokiego, długowłosego, odzianego w biel rycerza. Może w tych ostatnich chwilach wydał jej się posłańcem niebios, który zstąpił tu, by to właśnie ją ocalić. Uniesie ją na swych srebrzystych skrzydłach daleko stąd — do krainy, w której nie ma bólu ani cierpienia. Widział, jak biegnie, w błagalnym geście wyciągając do niego swe dziewczęce ramiona. A on, anioł zniszczenia, stał nieruchomo jak marmurowy posąg i gotowa byłaby przysiąc, że się uśmiechał... Nie mogła wiedzieć, że w jej postaci dostrzegł coś niezemskiego, co do złudzenia przypominało mu inną dziewczynę.

„Piękna... — pomyślał. - Jak ona”.

Ale nie była tą, którą napotkał nocą w głuchej leśnej kniei, a litość to zbytek, na który nie mógł sobie pozwolić. Dziewczyna resztką sił uczepliła się jego ramienia i w tym samym momencie poczuła jak długi, ostry miecz przebija jej ciało na wylot. Ciepła krew spłynęła po dłoni rycerza, gdy ostatnim oddechem omiotła jego twarz i z gasnącymi oczyma osunęła się na ziemię. Czy stanie się kolejnym z upiorów, które będą prześladować go do końca życia? Trzej ścigający ją żołnierze zatrzymali się zdezorientowani.

„Już jej nie dostaną” — pomyślał.

Oszczędził jej poniżenia - to był jego akt miłosierdzia.' .. Płaszcz zafalował od podmuchu tchnącego spalenizną wiatru, gdy rycerz odwrócił się na pięcie i odszedł. Teraz czas na najważniejszą część zadania.

Przebiegał przez opustoszałe, zasnute dymem korytarze z mieczem w dłoni i wyważając kolejne drzwi, zaglądał do

pomieszczeń. Odnajdzie de Montraine'a, nawet gdyby ten skrył się w samych czeluściach piekła. Z wnętrza niektórych komnat buchały już żywe płomienie, a co pewien czas mijały go jakieś skulone, uciekające sylwetki, lecz on nie zwracał na to uwagi. W końcu korytarz zaprowadził go do mało uczęszczanej i - zdawałoby się -całkowicie już wyludnionej części zamku. Właśnie tam, w sali rodowej de Montraineow, odnalazł tego, którego szukał.

Gdy wkroczył do jej wnętrza, ujrzał wiszące na ścianach trofea myśliwskie i broń, którą wsławili się oni w zamierzchłych bojach o zapomniane sprawy. Te martwe przedmioty świadczyły o głębokich korzeniach i wspaniałej przeszłości rodu, który będąc szlachetnym w swej skromności, nigdy się nią nie chełpił. Ostatni z de Montraineow był silnym, dobrze zbudowanym mężczyzną w wieku około czterdziestu lat. Z włosami koloru dojrzałej pszenicy i szlachetnymi rysami twarzy mógłby stanowić uosobienie idealnego władcy feudalnego — potężnego i mądrego zarazem. Rzeczywistość nie była jednak tak łaskawa. Wszyscy wiedzieli, że linia rodowa de Montraine ow wygasła, a ostatni z nich nie doczekał się syna, który mógłby dziedziczyć po nim tytuł i ziemię. Choć hrabia Christopher kochał swe córki nad życie, to w przyszłość patrzył raczej ponurym wzrokiem. Nim van der Zahr wyciągnął rękę po jego włości, sądził, że rodzinny majątek przejdzie w posiadanie jego bratanka lub człowieka, który poślubi jedną z jego córek. W głębi ducha wiedział, że wydanie za mąż Violette graniczyłoby

z cudem, i jeśli ktoś zdecyduje się ją poślubić, zrobi to tylko ze względu na jej niebagatelny posag i pozycję społeczną, którą gwarantowało wysokie urodzenie. Człowiek, który by się na to zdobył, musiałby mieć w sobie tyle odwagi i arogancji, by nie przejmować się osądami innych. Taki ktoś rodzi się raz na sto lat, dlatego Violette musiała pogodzić się z tym, że jej pisana jest samotność, a miłość i szczęście przypadną w udziale Sophie.

Hrabia zdawał sobie sprawę z tego, że świetność i sława rodu de Montraineow przeminęły już dawno, a inteligentne i nieco zamyślane spojrzenie jego szarych oczu zdradzało duszę światłą, lecz pozbawioną zmysłu dowódcy, stratega i władcy absolutnego. Stał teraz nieruchomo i przez witrażowe okno obserwował, jak jego gród ginie. Spokojnie czekał na tych, którzy przyjdą zadać mu śmierć, mając u swego boku czułą, wierną i kochającą kobietę, która tuląc się do ramienia swego męża, mogła już tylko łkać. Oboje zdawali się nie zauważyć wtargnięcia rycerza bądź też nie chcieli go zauważyć. Ręka anioła śmierci i tak ich dosięgnie.

— Jesteś tchórzem, de Montraine! — wykrzyknął Albin. — Miałem nadzieję, że podejmiesz choć próbę obrony!

Arystokrata odwrócił się, a wraz z nim jego żona, zdecydowana umrzeć wraz ze swym panem i władcą.

— To już nieważne - odparł. — Nie dotarły do twierdzy Illion. Obie są bezpiecznie, a Armand van der Zahr nigdy nie dostanie złotego krzyża de Montraineow.

I wtedy rycerz zobaczył długi rząd portretów przedstawiających całą linię rodową od jej protoplastów aż do dziś. Cztery ostatnie obrazy ukazywały hrabiego Christophera, jego żonę i dwie córki, z których jedna była

jeszcze bardzo młodziutka, ciemnowłosa, uśmiechnięta. Natomiast druga...

„To ona!” - Błysk rozpoznania przeszył jego umysł.

Albin poczuł się tak, jakby nagle poraził go grom z jasnego nieba.

- O mój Boże... - jęknął i zgiął się wpół. Miecz wypadł z jego ręki i głucho brzdęknął o posadzkę, a świat zawirował mu przed oczami, gdy uzmysłowił sobie, że dziewczyna, którą spotkał wtedy w lesie, naprawdę jest córką de Montraine'a.

- Na co czekasz, młodzieńcze? - spytał hrabia. - Przysłano cię tu, byś mnie zabił. Czy nie wykonasz rozkazu swego pana?

W oczach tego mężczyzny nie było strachu ani pogardy. Stał niewzruszenie i nie chwycił za rękojeść żadnej broni, choć w pomieszczeniu znajdowało się jej tyle, że można by uzbroić niewielki oddział. Poddał się bez walki.

„Rozkaz. Rozkaz. Rozkaz - powtarzał sobie bez opamiętania. - Muszę wykonać rozkaz - zabić tego człowieka!”

Albin czuł, jak coś w jego wnętrzu pali go żywym ogniem. Ciemność była blisko, nadchodziła, ogarniała go. Twarz wykrzywił mu demoniczny uśmiech, a przymrużone oczy zapalały dziką żądzą krwi.

„Jeśli tak właśnie ma być! - zawył w duchu, podejmując postanowienie. - Jeśli wola Boga jest, bym zgładził rodziców tej, za którą oddałbym życie, to niech tak będzie! Wola Boga czy Armanda - wszystko jedno”.

On był tylko jej wykonawcą - mieczem w ślepej dłoni przeznaczenia i dopełni to, co wyznaczył mu los.

W ułamku sekundy schwycił za broń i wraz z kilkoma innymi żołnierzami, którzy dopiero co zjawili się w sali, runął wprost na hrabiego de Montraine'a i jego żonę.

Mieli zakończyć swe życie w najokrutniejszych męczarniach, upodleni i błagający o litość. Tylko w ten sposób mogli stać się przestrogą dla wszystkich, którzy odważyliby się sprzeciwić woli van der Zahra. Dziś spadnie na nich słuszna kara za herezję i zdradę stanu, której nigdy się nie dopuścili. Grube powrozy wżynały się w ich ciała, gdy przywiązywano ich do pala wbitego w ziemię pośrodku zasłanego trupami zamkowego dziedzińca. Powaleni na kolana, patrzyli, jak żołnierze Armanda układają wokół stos drewna. Tylko dla nich dwojga...

Elise de Montraine mocno zacisnęła powieki. Nie była już panią na zamku - posiniaczona i poharatana ciężkimi żołnierskimi buciorami, straciła całą swoją godność. Choć miała umrzeć najbardziej poniżającą śmiercią, nie wyrywała się, nie krzyczała, nie płakała. Czuła już tylko zbliżający się odwieczny i nieprzenikniony chłód. Kochała życie jak nikt inny i potrafiła cieszyć się tym, czym obdarował ją los. Gdyby tylko mogła jeszcze raz zobaczyć swoje córki lub choćby usłyszeć ich głos. Jeszcze nie było za późno. Może gdyby udało się jej...

„Nie! - odpędziła od siebie te myśli. - Nie będę błagać ich o litość. Nie przyniosę hańby mężowi”.

Kiedy podłożyli ogień, po raz ostatni spojrzała na mężczyznę, z którym przeżyła blisko dwadzieścia lat. Kiedyś myślała, że przez tak długi czas można poznać drugiego człowieka. Teraz wiedziała, że to nieprawda. Klęczał z odrzuconą w tył głową i mamrotał coś sarn do siebie niczym

obłąkany. Zapomniał o niej, niewidzącymi oczyma patrząc w dal, jakby jej wcale tu nie było.

„Człowiek rodzi się i umiera w samotności”. - Elise właśnie zdała sobie z tego sprawę i była to ostatnia gorzka lekcja, jakiej nauczyło ją życie.

W chwilę później spuściła głowę i zobaczyła, jak rude jęzory ognia liżą jej nogi, a potem poczuła piekący ból i swąd palącego się ciała. Zaczęła wrzeszczeć i choć w duchu była bardzo religijna, zaprzedałaby teraz duszę diabłu, byleby tylko przestać cierpieć. Ogarniające ją płomienie zamieniały kolejne partie ciała w żywą, drgającą tkanę, a ogień w jednej sekundzie spopielił z sykiem jej długie, kasztanowe włosy. Spowijał ją gęsty, duszący dym, który wdzierając się do płuc, sprawiał, że nie mogła złapać tchu. Każdy nerw jej ciała krzyczał, sygnalizując rozpoczynającą się agonię. Za moment nie będzie już odczuwać niczego. Gdy zakończenia nerwów się spalą i przestaną reagować na ból, jej katusze się skończą. Ale tego Elise nigdy się już nie dowiedziała, gdyż w chwilę później straciła przytomność.

Hrabia Christopher nie zwrócił uwagi na otaczającą go obręcz płomieni. To niemal przestało już dla niego istnieć. Straszliwe krzyki żony nie zdołały przywrócić go do rzeczywistości. Był już daleko stąd, w miejscu i czasie, do którego zawsze pragnął powrócić. Bo była tam ona - ta, której pamięć namiętnie skrywał w sobie przez te wszystkie lata. Odebrała mu ją inkwizycja, mroczne upiory odziane w czerń i purpurę. Wtedy nie zdołał ocalić swej miłości, zabrakło mu odwagi, ale teraz czuł, że znów jest blisko niej. Wierna i kochająca kobieta, która umierała przy jego boku, była mu zupełnie obca. Tak

naprawdę nigdy jej nie kochał. Poślubił ją, bo... zresztą to już bez znaczenia. Myślał, że z czasem przyzwyczajenie stanie się jego drugą naturą. Może miał rację. Poczucie bezpieczeństwa, dom i rodzina skutecznie ukoiliły w nim nienawiść i chęć krwawego odwetu. Znalazł swój azyl, a złe pragnienia powoli odeszły, pozostawiając go samego w ramionach innej kobiety. Widział, jak ogień ogarnia jego ciało i bucha zapalczywym żarem prosto w twarz.

„Zupełnie jak wtedy, Lorraine” — przemówił do niej w myślach tak, jakby wciąż była obok niego i nigdy go nie opuściła.

Pamiętał bezlitosne płomienie trawiące jej delikatne ciało i broniące mu dostępu niczym niewidzialny mur. A potem zamieniła się w słup ognia i słyszał już tylko własny krzyk - rozzwierający i pełen nienawiści. Przyjdzie mu umrzeć taką samą śmiercią.

„Dobrze więc - pomyślał. - Dopełniło się”.

Bliskość płomieni spowijających go niczym całun spowodowała, że w oczach mężczyzny zaszklily się łzy. Nie łzy cierpienia czy rozpaczy, lecz takie, które pojawiają się przy spotkaniu z dawno niewidzianą bliską osobą.

— Nareszcie... Po tylu latach... Już nic nas nie rozdzieli.

Swój jaśniejący wzrok wbił w na wpół przejrzystą kobiecą postać, która znów stanęła przed nim jak żywa. Opromieniona przedwiecznym blaskiem, wyciągnęła doń białą dłoń i szepnęła:

- Chodź...

Znów był szczęśliwy, a reszta była milczeniem. W tej ostatniej chwili z letargu wyrwał go głos oprawcy,

brzmiący jak dalekie echo z innego świata. Zza zasłony płomieni zobaczył twarz rycerza w bieli.

- Twoja córka będzie bezpieczna, de Montraine! Póki ja żyję! - zawołał. — Przysięgam ci to!

Piętrzącą się ścianę ognia przepruł z głuchym świstem belt wypuszczony ze starej, pięknie zdobionej kuszy i przebił twardą pierś hrabiego, zabierając jego ostatni dech. A potem kolejny i jeszcze jeden, dopóki on i jego żona nie zmienili się w dwa skrwawione, naszpikowane grotami trupy. Ogień dokończył dzieła zniszczenia.

„To już koniec” - zawyrokował w myśli Albin i odszedł, niosąc w swym ręku zabytkową broń, którą niegdyś ocalił życie Violette.

Pozostali żołnierze zgromadzeni wokół płonącego stosu w milczącym zdumieniu wpatrywali się w swego dowódcę, ale żaden z nich nie śmiał odezwać się słowem. Albin był człowiekiem tak nieprzewidywalnym, że nikt nie był w stanie odgadnąć pobudek, jakie nim kierowały. Być może dlatego wywierał na swych podwładnych tak niesamowite wrażenie, że woleliby od razu rzucić się w przepaść, niż choćby półgłosem zakwestionować jeden jego rozkaz. Najlepszy spośród elitarnego grona Rycerzy Białej Róży był dla nich prawdziwą zagadką - bezlitosny, okrutny, zamknięty w sobie - stanowił najdoskonalszy z twórców Armada van der Zahra i tylko jemu był posłuszny. Teraz zatrzymał się, widząc dwóch swoich giermków dźwigających niedużą i niezbyt ciężką skrzynię. Postawili ją z łomotem na ziemi, u jego stóp.

- Co to jest? - spytał dość hardo, by struchleli ze strachu.

- Rozkaz samego diuka Bretanii, panie - wyjąknął jeden.

Albin uniósł ciężkie, bogato zdobione wieko i w zamyśleniu obejrzał tajemniczą zawartość kufra.

„Co znów planujesz, Armandzie?”- próbował rozgryźć tajemne zamiary swego władcy.

Głośno wyrzekł zaś tylko:

- Skoro tak, odwieźcie to do zamku Ilion.

Na krótko przed brzaskiem, nim opadły unoszące się nad powierzchnią ziemi gęste opary mgieł, a tarcza słoneczna wychyliła się zza horyzontu; nocne niebo na zachodzie rozświetliła ognista luna. Jednak pogrążeni w głębokim śnie mieszkańcy chaty Valgirusa nie dostrzegli jej. Tej nocy płomienie i ostrza mieczy obróciły w proch setki ludzkich istnień, ale ich przeraźliwe krzyki były zbyt odległe, by dotrzeć do uszu śpiących. Rankiem powrócili oni do swych codziennych zajęć, nieświadomi straszliwej kaźni, która rozegrała się zaledwie półtora dnia drogi stąd. Ablaj i Tarik, mając już dość chudej polewki pustelnika, wyruszyli na polowanie, a Serim stał w drzwiach lepianki, czując na twarzy przyjemne ciepło pierwszych promieni słońca. Zdawał się nie zauważać siedzącego nieopodal wędrowca, z którym zawarł milczące porozumienie, że tak długo jak tu zostaną, nie będą wchodzić sobie w drogę. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Jeszcze zdążą wyrównać z sobą rachunki — w innym miejscu i w innym czasie.

„Ale nie teraz” - postanowił najemnik.

Reynard siedział u stóp rozłożystego dębu już od kilku godzin, zagłębiony we własnych myślach. Ostatnimi czasy sypiał coraz mniej, ale tej nocy nie spał w ogóle. Przez pewien czas obserwował krwawą lunę na ciemnym, pozbawionym gwiazd niebie, ale nie powiedział o niej nikomu.

„Czasem niewiedza jest lepsza od cierpienia" - uznał nie bez przyczyny.

Domyślał się, skąd pochodziła, ale nie zrobił nic, by ocalić rodzinny gród Violette de Montraine. Nie będzie nadstawiał karku za cudze błędy. Nie tym razem. Choć skłamałby, twierdząc, że nie rozważał takiej możliwości. Ale jak szybko zdołałby tam dotrzeć? Ilu ludzi zdążyłby uratować? Chwyci za miecz i co dalej? Pokona dwudziestu. Trzydziestu. Na jak długo starczy mu sił? Musiałby w pojedynkę stawić czoła całej armii van der Zahra, i być może kiedyś by się na to zdobył. Ale nie dziś. Z każdym dniem był coraz słabszy - zostało mu już mało czasu i musi go mądrze wykorzystać.

„W przeciwnym razie wszystko pójdzie na marne" - rozmyślał, doskonale zdając sobie sprawę z własnego położenia.

Tymczasem Violette wyłoniła się z leśnego zagajnika, niosąc wodę ze strumienia. Choć dłonie owinięte miała brudnymi, przesiąkniętymi krwią bandażami, nie poprosiła Reynarda o pomoc.

„Takie jak ona nigdy nie proszą - sarknął w duchu. -Umieją tylko rozkazywać".

W ogóle nie zamierzał jej wyręczać, gdy wtem jeden z ciężkich cebrzyków wypadł z jej ręki, a jego zawartość rozlała się dokoła, tworząc niewielką kałużę.

- Co się z tobą dzieje, dziewczyno?! - wykrzyknął zirytowany Serim, patrząc na wodę wsiąkającą w ziemię.

Ale Reynard był już pewien, że nie upuściła go przez nieuwagę czy z powodu poranionych dłoni. Przyczyną było coś innego... Stała w bezruchu i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w jeden punkt. W oddali, ponad wierzchołkami drzew, w niebo wzbijał się wysoki na kilkadziesiąt stóp słup dymu - jedyny ślad po ognistej poświęcie, która zniknęła wraz z nadejściem dnia.

- Nie! Tylko nie to! - zawołała rozpaczliwie, gdy uświadomiła sobie, co on oznacza.

Wędrowiec błyskawicznie wymienił spojrzenia z Serimem. W tej samej chwili o ziemię uderzył drugi cebrzyk i Violette rzuciła się w kierunku, z którego unosiły się czarne kłęby dymu i sadzy. Biegła przez las niemal na oślep, z ledwością omijając kolejne drzewa. Myślała tylko o tym, że musi tam dotrzeć, zobaczyć to na własne oczy, przekonać się, że...

„To nie może być prawda” - rozpaczliwie odrzucała do siebie tę myśl.

Nagle schwyciły ją czyjeś silne męskie ramiona i nie pozwoliły zrobić ani kroku dalej. Zaczęła się szarpać, lecz ich uścisk był żelazny. Poznała te dłonie — szorstkie od promieni palącego słońca i wysmagane podmuchami zachodniego wiatru, a jednak w jakiś dziwny sposób zmysłowe.

- Przestań! — zawołał Reynard, usiłując przywieść ją do rozsądku.

- Puść mnie! — krzyknęła łamiącym się głosem. - Tam są moi rodzice.

- Już im nie pomożesz! Nikt nie może im pomóc.

- Zostaw! — Wyrwała mu się po krótkiej szamotaninie, mając w oczach łzy. - Nic o mnie nie wiesz! Gdybym tylko odzyskała krzyż...

Dopiero teraz zauważyła, że niechcący rozdrapała mu rękę aż do krwi.

- A co może zmienić kawałek metalu?!

- Kiedyś się dowiesz.

- Nie wątpię - sarknął. - Tylko po co chciałaś iść do Illion, skoro go nie miałaś?! Mówiłaś przecież, że Armandowi zależy tylko na nim!

Nie odpowiedziała mu na to pytanie.

- Czego ty właściwie chcesz?! - zawołała w nagłym przypływie złości, zmieniając temat. - Dlaczego wciąż stajesz na mojej drodze?!

Popatrzył na cztery krwawe szramy - ślady po jej paznokciach, wyraźnie rysujące się na skórze jego ręki.

- Tego, czego chcę nie dostanę nigdy... - odparł, przyglądając się im ze spokojem.

Violette poczuła nieprzyjemne ukłucie w żołądku. Wiedziała, o kogo mu chodziło...

- Czyżby w twojej bajce nie wszyscy żyli długo i szczęśliwie?
- zachnęła ironicznie.

Zamierzał już odejść, ale słysząc jej słowa, zatrzymał się w pół kroku. Zmrużył powieki i nerwowo zacisnął zęby, usiłując stłumić w sobie narastający gniew i frustrację. Bezskutecznie. Oceniała go z pozoru, jak wszyscy inni.

Odkąd sięgał pamięcią, zawsze tak było.

- A może opowiem ci inną! - wybuchnął niespodziewanie. - O człowieku, który przez całe swoje życie napiętnowany jest za czyny, jakich nie popełnił! I choćby nie wiem, jak bardzo się starał, nie jest w stanie tego zmienić!

Patrzył jej prosto w oczy. Jego przeszywający wzrok, z pozoru pełen nienawiści, w gruncie rzeczy skrywał

cierpienie. Wskazujący palec uniesionej dłoni wymierzony był w nią oskarżycielsko. Ściekająca z nadgarstka krew kapiała na ziemię małymi kropelkami.

— Wybacz mi, nie chciałam. - Violette szybko wyplątała z włosów jedwabną, wrzosową wstążkę i nim zdążył cofnąć rękę, przewiązała nią zadrapanie.

Odsunął się zaskoczony. Dlaczego to zrobiła? I za co właściwie go przeprosiła - za swoje słowa czy to niefortunne skaleczenie? Chciał już spytać, lecz po namyśle zrezygnował.

- Zostaniesz tutaj - odezwał się. - Daj mi czas do jutra. Jeśli Armand van der Zahr spalił twój zamek, dowiesz się pierwsza, a jeśli zastawia na ciebie sprytną pułapkę, będziesz tu bezpieczna.

- Dlaczego sądzisz, że to pułapka?

Silny podmuch wiatru zmierzwił korony drzew, niosąc ze sobą wyraźny zapach spalenizny. Reynard spojrział na chwilę w tamtym kierunku, po czym rzekł:

— Która córka nie wróciłaby, żeby pogrzebać własnych rodziców?

Z tymi słowami odszedł, zostawiając ją samą pośrodku szumiącej puszczy.

Pojedynek

Armand van der Zahr był przystojnym mężczyzną w sile wieku, o krzepkiej i wysmukłej budowie ciała, który już samą swą posturą budził lęk wśród poddanych. Natura obdarzyła go cechami doskonale odzwierciedlającymi jego srogi charakter, siłę i zdecydowanie, czyniąc zeń uosobienie władcy absolutnego. Spod mocno zarysowanych brwi z chłodnym wyrachowaniem patrzyło na świat dwoje ciemnych, głęboko osadzonych oczu, a ich przeszywający wzrok zdradzał umysł, który bez trudu potrafił przenikać zamysły swych wrogów, zanim jeszcze zdążyły one zrodzić się w ich głowach. Ówcześni nadali mu przydomek Krwawego Armanda, gdyż bezwzględna, despotyczna władza, jaką dzierżył w swym ręku od przeszło dwudziestu lat, uczyniła zeń potwora, który w pełni zasługiwał w ich oczach na to miano.

Oto człowiek, który nie cofnie się przed niczym, by osiągnąć swój cel - najstraszliwszy tyran w historii państwa, wódz niezwyciężonej armii, niedościgły strateg i przebiegły polityk. Jednym słowem - władca idealny... Zanim podstępem zagarnął Bretanię stanowiącą apanaż jednego z synów króla Ludwika VIII, był nikim, a jego pochodzenie i wcześniejsze losy owiane

były mgłą tajemnicy. Ponoć żaden człowiek nie rodzi się tyranem.

„Co zatem sprawia, że stajemy się tym, kim jesteśmy?”-dumał Armand, przechadzając się po swej komnacie z kielichem czerwonego wina w dłoni i w zamyśleniu skubał palcami krótko przystrzyżoną wedle panującej mody bródkę.

Ostatnio coraz częściej nad tym rozmyślał, lecz wciąż nie potrafił znaleźć zadowalającej odpowiedzi. Mędracy wschodu nauczali, że los człowieka determinowany jest przez przeznaczenie, a zachodniochrześcijańscy teolodzy - że życie każdego z nas składa się z wyborów dokonywanych mniej lub bardziej świadomie. Kto zdecydował zatem o jego własnej drodze - predestynacja czy on sam?

Te czysto filozoficzne rozważania nie miały większego znaczenia i zajmowały tylko jego umysł, gdy z pozornym spokojem oczekiwał na powrót swej armii. Po chwili na schodach rozległy się ciężkie kroki rycerza, drzwi rozwarły się z trzaskiem, i stanął przed nim Albin w czarnej od dymu i poplamionej zaschniętą krwią zbroi. Otaczała go tak silna aura śmierci, że władca niedostrzegalnie cofnął się o pół kroku. Rycerz opadł ciężko na jedno kolano i oddał mu uniżony pokłon.

— Wykonałem wszystko zgodnie z twą wolą, panie -wyrzekł.
- Hrabia de Montraine nie żyje, a jego zamek został doszczętnie spalony.

Armand podniósł do ust złoty kielich i wyraźnie ukontentowany, upił łyk wykwintnego trunku. Wiedział, że Albin wypełni każdy jego rozkaz bez względu na cenę. Dzięki temu mógł realizować swój plan krok po kroku,

ale teraz coś w głosie protegowanego zaniepokoiło go. Został bezbłędnie wyszkolony — od lat palił, grabił, mordował i nigdy nie miał wyrzutów sumienia.

„Czyżby tym razem było inaczej?”- zastanowił się i poczuł, jak ziarenko niepewności kiełkuje w jego umyśle.

- Spisałeś się znakomicie, Albinie - oznajmił władca.-Ale mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie.

- Jakie, miłościwy panie? - spytał, patrząc przed siebie otepiałym wzrokiem.

- Wrócisz na pogorzelnisko i zaczekasz tam na Violette de Montraine. Rozpoznasz ją po złotym krzyżu na szyi.

Rycerz Białej Róży drgnął, a jego oczy rozszerzyły się gwałtownie, jak gdyby usłyszał coś, czego zupełnie się nie spodziewał.

- Dlaczego miałyby się tam zjawić?! - zawołał zdziwiony.

- Możesz być pewien, że przyjdzie prędzej lub później — oznajmił z przekonaniem Armand. - Tylko wyrodna córka w obliczu takich wieści nie powróciłaby, żeby pochować własnych rodziców. Jeśli zaś tak się nie stanie, przeszukasz okoliczne lasy, opuszczone siedziby, opactwa i klasztory - słowem wszystkie miejsca, gdzie mogłaby się ukryć. Odnajdziesz Violette de Montraine, choćbyś miał ją wydobyć spod ziemi! Rozumiesz?!

Albin skłonił się machinalnie.

- Tak jest, panie — odrzekł cicho. - Przysięgam, że sprowadzę ci dziewczynę ze złotym krzyżem.

Powoli podniósł się i skierował do wyjścia, nieświadomy, że cały czas obserwują go czujne źrenice diuka Bretanii.

- Mam złe przeczucie — odezwał się Armand, gdy drzwi zamknęły się za rycerzem. — On coś ukrywa.

W ciemnym rogu pomieszczenia biskup Hereford siedział rozparty wygodnie na otomanie, gdzie niezauważony przez Albina, mógł z ukrycia przysłuchiwać się ich rozmowie.

- Nie sądz zbyt pochopnie. Dlaczego miałby cię okłamywać?

- A jeśli wie, gdzie ona jest? Starzec zachichotał zgrzytliwie.

- Brak ci cierpliwości, Armandzie, to twoja słabość. Słyszając te słowa, władca cisnął kielichem o ścianę

i rąbnął pięściami w stół.

- Mam już dosyć czekania! - zawołał z irytacją. - Cały gród spalony i nic! Krzyż przepadł! A byłem już tak blisko posiadania klucza do skarbu de Montraineow! Przeklęty hrabia dobrze ukrył swoje córki, ale ja je znajdę, choćbym miał szukać do sądneho dnia!

- Powściągnij swój gniew - wyrzekł biskup. - Śmierć de Montraine'a nie poszła na marne. Stanie się przestrogą dla innych, którzy próbują sprzeciwić się twojej woli. Teraz wiedzą, że również ich Kościół mógłby uznać za heretyków.

Wąskie usta władcy skrzywił przebiegły półuśmiech.

- Kościół, czyli ty, eminencjo? — skwitował.

- W rzeczy samej - przyznał mu rację duchowny i roześmiał się skrzekliwie.

Reynard nie musiał długo błądzić po lesie. Przemierzając młode zagajniki i ciemne sosnowe bory, niemal natychmiast natrafił na ślady, jakie pozostawiło po sobie wojsko van der Zahra. Szlak, którym się poruszało, wyznaczały spalone wsie i zrównane z ziemią osady. Jego żołnierze nieubłaganie parli naprzód niczym przerażający kataklizm, po przejściu którego nie pozostaje nic prócz dymiących zgliszczy i stosów martwych ciał, a ich przemarsz kończył się w miejscu, które jeszcze wczoraj było zamożnym grodem. Jeden rozkaz van der Zahra na zawsze

zmienił je w pogorzelnisko wypełnione ponurą ciszą i ostatnimi oddechami ludzi, którzy odeszli tu w straszliwych męczarniach.

„Tak wiele zła, cierpienia, niesprawiedliwie przelanej krwi” - pomyślał z goryczą.

Napotykał w swej wędrówce podobne miejsca i gdy przechodził obok nich, włos jeżył mu się na głowie. Z biegiem czasu te ruiny zaczęły straszyć, a o ich upiorach z trwogą opowiadać będą okoliczni wieśniacy.

Stojąc w milczeniu u wrót zamku, poczuł na twarzy wyraźny powiew zachodniego wiatru, który niósł ze sobą wszechobecny odór śmierci i spalenizny. Wtem podmuch niespodziewanie ustał, a po chwili zmienił swój kierunek i zawiął z przeciwnej strony, co mocno zdziwiło wędrowca. Jeszcze bardziej zaintrygował go bliżej nieokreślony zapach, który pojawił się wraz z nowym tchnieniem wiatru i nie miał nic wspólnego z otaczającym go miejscem. Rozejrzał się uważnie wokół siebie i ostatecznie doszedł do wniosku, że tylko mu się zdawało, gdyż nie dostrzegł nic, co mogłoby wydzielać ową specyficzną woń.

Teraz w milczeniu stanął u wrót zamku. Osmalone fragmenty murów sterczały posepnie w górę, pośród zielonych leśnych pagórków, jakby wołały o pomstę do niebios. To nie była warowna twierdza, lecz miejsce zamieszkania rodu, który nigdy nie padł ofiarą zbrojnego najazdu czy oblężenia. Pokojowo usposobieni de Montraineowie nie

dostrzegali potrzeby wzniesienia fortyfikacji, umocnienia wałów obronnych czy zwiększenia liczby własnego wojska, a gdy Armand van der Zahr wyciągnął rękę po ich ziemie, było na to już zbyt późno. Za swą lekkomyślność zapłacili najwyższą cenę - przestali istnieć wraz ze swą siedzibą, bez słowa sprzeciwu pogrążając się w mrocznych odmetach historii.

Wędrowiec, ociągając się, wkroczył na zamkowy dziedziniec, gdzie czekały na niego ziejące czarną pustką okna, częściowo strawione przez ogień sprzęty i ludzkie trupy gęsto zaścielające ziemię. Niemal natychmiast zauważył wbity pośrodku placu gruby pał, do którego w męczeńskiej pozie przytwierdzone były dwa zwęglone ciała. Reynard domyślił się, kim byli za życia ci ludzie. „To rodzice Violette” - odgadł bezbłędnie. Przeszli do wieczności w niewypowiedzianych katuszach, jako skrwawione, osmalone trupy, których piersi groteskowo naszpikowane były bełtami.

„Czyżby ktoś skrócił ich cierpienia?” - zastanawiał się przez chwilę, po czym przymknął powieki, gdyż ten widok był jednym z najbardziej makabrycznych obrazów, jakie oglądał w swym życiu, i z pewnością na zawsze wryje się w jego pamięć.

On sam nie miał rodziców i może właśnie z tego powodu żal ścisnął mu gardło na myśl o Violette, która czekała na tę wieść.

Jak będzie teraz wyglądać jej życie? - przemknęło mu przez myśl. - Tak jak moje?”

Nie pochowano ich, celowo zostawiając na pastwę dzikich padlinożernych zwierząt. Reynard podszedł bliżej i pochylił się, ale musiał wstrzymać oddech, gdyż

w nozdrza wdzierał się obrzydliwy, duszący smród spalonego ludzkiego mięsa. Umarli na kolanach, a ich poniżająca egzekucja miała stanowić przykładną karę dla tych, którzy odważyliby się sprzeciwić diukowi Bretanii. Kto mógł dopuścić się tak bestialskiego czynu?

„Zrobiłeś to sam, Armandzie, czy też posłałeś jednego ze swych siepaczy, gotowego ślepo i bezwzględnie wypełnić każde twoje polecenie?” - rozmyślał.

Wtem usłyszał nad głową przeraźliwy krzyk sokoła. Podniósł wzrok i ujrzał kołującego nad pogorzelskim drapieżnego ptaka, który systematycznie zataczał coraz mniejsze kręgi, aż wreszcie usiadł na ramieniu długowłosego rycerza odzianego w zbroję i...

„Biały płaszcz, taki jak ten, który uratował na bagnach życie Violette” - Błysk skojarzenia przeszył myśli wędrowca niczym grom i wiedział już, kogo ma przed sobą.

Ten rycerz o oczach zimnych i nieobecnych jak przezroczysta toń zamarznętego górskiego jeziora to egzekutor Armanda van der Zahra i nie znalazł się tutaj przypadkiem. Liczył, że zostanie w tym miejscu Violette de Montraine i zgodnie z rozkazem swego pana sprowadzi ją do twierdzy, ale pomylił się. Zamiast niej na jego drodze stanął Reynard i nastąpiło spotkanie, które nigdy nie powinno było mieć miejsca.

— Kim jesteś, że tu przychodzisz? - spytał rycerz.

W milczeniu mierzyli się wzrokiem, a chłodny wiatr rozwiewał im włosy.

- Mógłbym zapytać cię o to samo - odparł beznamiętnie Reynard. - Ale znam już odpowiedź, mam przed oczami twoje dzieło...

Albin zmarszczył brwi, a w jego oczach zabłysnął gniew.

- Jesteś pewny swego!

- Zbrodniarz zawsze wraca na miejsce zbrodni.

Ich wzajemna nienawiść skryształizowała się w jednej chwili, jak gdyby przyszli na świat po to, by się ze sobą zmierzyć, przeznaczenie uczyniło ich wrogami już na długo przed tym, nim po raz pierwszy skrzyżowali swoją broń.

- Jak śmiesz! - krzyknął rycerz. — Jestem Albin de Vessel, najlepszy z adeptów Zakonu Białej Róży, a ty zginiesz dziś z mojej ręki!

Błyskawicznym ruchem wyciągnął miecz, ale jego przeciwnik nie sięgnął po broń.

- Nie chcę z tobą walczyć - odrzekł spokojnie.

- A zatem zginiesz jako tchórz! Broń się!

Albin czuł, że musi go zabić - nic poza tym się nie liczyło. Gwałtownie natarł na nieuzbrojonego przeciwnika, który w ostatniej chwili zdążył odskoczyć. Ciężki miecz zataczał w rękę rycerza szybkie i bezbłędne kręgi, świadcząc o jego nieprawdopodobnej sile i doskonałym przygotowaniu. To nie był człowiek, lecz machina wojenna, której jedynym powołaniem jest zadawanie bólu i śmierci.

„To jedno nas łączy” - wyrzekł w duchu wędrowiec i uśmiechnął się ponuro, gdyż nagle uświadomił sobie, że trenował przez pół życia, by stać się właśnie kimś takim.

Mimo to był pod wrażeniem jego dynamiki i stylu walki. Rycerz atakował raz po raz, zasypując go gradem ciosów wyprowadzanych z szybkością błyskawicy. Unikanie ich przychodziło Reynardowi z coraz większym trudem. Nie był już tak silny i sprawny jak kiedyś — choroba

poczyniła nieodwracalne postępy. Ale wciąż zachował dawną zwinność i sprężystość ruchów.

„To wystarczy, by... zaczął się łudzić. Nagle źle obliczył uskok, stracił równowagę i runął plecami na wznak. Gdyby w jednej chwili nie przeturlał się po ziemi, obosieczny brzeszczot rozplatałby mu czaszkę.

„Było blisko...- odetchnął z ulgą. — O wiele za blisko”.

Popemnił pierwszy i podstawowy błąd — nie docenił przeciwnika. Znowu zerwał się na nogi i dopiero teraz pojął śmiertelną powagę sytuacji. Wiedział, że jeśli natychmiast nie dobędzie broni, zginie, lecz Nefrytowe Fatum wciąż spoczywało na jego barkach nietknięte.

„Każdej, z wyjątkiem tej” - trwał uparcie w swym postanowieniu.

Ta chwila wahania nie umknęła uwadze rycerza.

— Zaczynaj wreszcie walczyć! — krzyknął, wyraźnie zirykowany tą grą na zwłokę. - Moja pobłażliwość dobiegła kresu!

Z bojowym okrzykiem rzucił się do natarcia, jakby nagle wstąpiła w niego dzika, zwierzęca furia. Teraz Reynard był już bez szans. Tylko cudem zdołał jeszcze unikać lawiny cięć i pchnięć, gdy wtem spostrzegł kilka kroków dalej miecz wbity klingą w ziemię. W ostatnim momencie podjął decyzję i zręcznie uchylając się od kolejnego ataku, przekoziółkował tę odległość, a potem chwytając za rękojeść, niespodziewanie odparł cios nadbiegającego rycerza. Stanęli naprzeciw siebie zdyszani i ziejący nienawiścią niczym wojownicy godni siebie nawzajem. Ale ta walka nie mogła być równa, gdyż Reynard, przywykły do lekkich mieczy o długich, cienkich ostrzach, na próżno usiłował wyważyć w dłoni ciężko ukuty oręż zachodniego rycerstwa.

„Miecz jest przedłużeniem ramienia, ramię umysłu, a umysł ducha" — tak brzmiała pradawna sentencja wojowników.

Jednak w tym przypadku miecz nie stał się jednością z dzierzącą go ręką, lecz ciężarem, który przeszkadzał i spowalniał ruchy, a tym samym skazywał go na porażkę.

„Naprzód!" — postawił wszystko na jedną szalę. Spreżył się niczym górski drapieżnik i zupełnie niespodziewanie zaatakował rycerza. Ten nie zdążył się uchylić, a zimny metal klingi rozciął głęboko jego prawy policzek, pozostawiając bliznę, która miała już nigdy nie zniknąć. Zaskoczony tym ciosem Albin cofnął się o pół kroku, ale ostatecznie go odparł. Otarł rękawicą cieknące mu po twarzy strużki krwi i krzyknął z wściekłością:

- Oszpecieś mnie! Zapłacisz mi za to!

— Teraz to ty jesteś pewien swego.

Rzucili się na siebie w morderczym amoku. Ostrza mieczy cięły powietrze, szczekało żelazo, sypały się iskry. Rozpoczął się prawdziwy pojedynek, w którym stawką było ich życie. Czy przeznaczenie zdecydowało już, który z nich ma dziś umrzeć?

Walka z minuty na minutę stawała się coraz bardziej zacięta. Albin był niepokonanym mistrzem fechtunku i żaden z rycerzy zakonu nie mógł się z nim równać. Stworzył własną taktykę, której nikt inny nie potrafił powtórzyć. Teraz wykorzystał ją, by zniecka wytrącić broń z dłoni przeciwnika. Nim Reynard się spostrzegł, leżał już na łopatkach, a jego miecz zatoczył kilka kręgów w powietrzu i wbił się w ziemię parę metrów dalej.

„To koniec" — przemknęło mu przez myśl.

Koła maszyny przeznaczenia obracały się wolno, lecz nieubłaganie. Trzasnęła zapadka. Wciąż mógł jeszcze sięgnąć po Nefrytowe Fatum, ale nie zrobił tego. Dyszący ciężko Albin stał nad nim, a sztych jego miecza wycelowany był w gardło pokonanego. To były jego ostatnie chwile i wędrowiec uśmiechnął się. Nie bał się śmierci, gdyż głęboko wierzył, że powinna go była zabrać dawno temu, gdy był jeszcze chłopcem. Ale to stare dzieje...

Ręka trzymająca miecz zawisała nieruchomo w powietrzu. Rycerz spojrział przenikliwie w twarz wędrowca, a potem na zdobną rękojęść, która wystawała znad jego ramienia.

- Dlaczego nie dożyłeś swojego miecza?! - krzyknął, nie rozumując zachowania przybysza.

Reynard spojrział na niego i ze spokojną pewnością odrzekł:

- Nie chcę cię zabić.

Słyszając to, Albin poczuł nagły chłód. Czyżby on sugerował, że nawet teraz, leżąc na ziemi z ostrzem na gardle, mógłby to zrobić? To niedorzeczne, a jednak przez chwilę zastanawiał się, co może kryć w sobie miecz, którego wojownik nie chce użyć nawet za cenę własnego życia? A może po prostu był szaleńcem? Rycerz cofnął się o krok i schował broń. Wyraz jego twarzy pozostał nieodgadniony.

- Pokonałem cię - rzekł z pogardą. -1 to mi wystarczy. Odwrócił się na pięcie i przywołał sokoła, który

posłusznie usiadł na jego ramieniu, a potem odszedł. Reynard patrzył w na oddalającą się postać i był pewien, że to nie było ich ostatnie spotkanie.

„Nie zabiłem cię, bo ją ocaliłeś - pomyślał. - Ale następnym razem nie licz na to”.

Wyczerpany pojedynkiem, opadł na ziemię i przymknął powieki. Ludzkie poczucie godności nakazywało mu zrobić jeszcze jedną rzecz - pochować rodziców Violette.

„Ich szczątki nie mogą zostać zbezczeszczone”— stwierdził, podnosząc się z ziemi.

Wtem poczuł krople deszczu spadające mu na twarz i usłyszał, jak zasnute chmurami niebo rozdziera pierwsza błyskawica, zwiastująca nadejście wiosennej burzy.

Łagodny, ciepły powiew wiatru pochylał trawy i lekko potrząsał wiotkimi gałązkami drzew. Obłoki przepływały leniwie po widnokregu, tworząc nieustannie zmieniającą się mozaikę światłocieni, a oni siedzieli na niewielkim trawiastym pagórku i obserwowali malownicze morze zieleni, które tworzyły w oddali gęste konary drzew. Wiatr przekornie bawił się włosami Sophie, to płacząc je, to znów rozwiewając, a Serim leżał obok niej wygodnie rozparty i bezmyślnie gapił się w niebo. Przyniósł ją tutaj na własnych rękach, bo nie mógł patrzeć na ogarniającą ją apatię. Początkiem lata, gdy wszystko w przyrodzie aż kipiało życiem, ona musiała siedzieć samotnie w ciemnej, dusznej chacie. Najemnik wiedział, że długo jeszcze nie będzie mogła chodzić o własnych siłach, a do jej znużonego serca zakradła się bolesna tęsknota za światem -słońcem, polami, lasami. Być może czuł się po części odpowiedzialny za jej obecny stan, a może po prostu chciał zobaczyć, jak znów się uśmiecha.

Teraz przyglądał się tej drobnej i kruchej rusałce o jasnej cerze i małych dłoniach, którymi plotła wianek z polnych kwiatów. Zdawał sobie sprawę, że stanowili chyba

największy kontrast pod słońcem. Toporny, nieokrzesany łotr, który niejedno miał już na sumieniu, i delikatne dziewczątko, niewinne jak pierwszy śnieg w zimie. Niepostrzeżenie położył za jej plecami swą potężną dłoń, by w razie potrzeby móc ją chronić.

„Ale przed czym?” - zadawał sobie pytanie.

Rozejrzał się dokoła - byli zupełnie sami... Wtem przypomniał sobie o czymś.

- Mam coś dla ciebie - oświadczył, wkładając rękę w zanadrze.

Sophie spojrzała na niego pytająco, lecz gdy wyciągnął złoty krzyż de Montraineow, omal nie krzyknęła.

- Ależ to...!

- Tak. - Uśmiechnął się, wyszczerzając białe zęby. - Chyba znalazłem rzecz, która należy do ciebie.

Klejnot złowrogo zaślnił w promieniach słońca.

- Należy do mojej siostry - sprostowała Sophie.

- Daj spokój! - zawołał z wesołą beztróską. - Skoro jesteś córką hrabiego, to nic się chyba nie stanie, jeśli na chwilę go założysz.

- Tylko Violette ma prawo go nosić - wzbraniała się.

- A w czym ona jest lepsza od ciebie?

Nim zdążyła odpowiedzieć, zapiał jej na szyi relikwię.

- Nie mów, że nigdy nie chciałaś go przymierzyć...

Dziewczyna spuściła wzrok.

- Nawet jeśli, to Violette nie pozwoliłaby mi.

- Ona nie musi o tym wiedzieć - przerwał jej i zawołał, patrząc na nią z zachwytem. - Nawet nie wiesz, jak ci ładnie!

Sophie niespokojnie wpatrywała się w krzyż spoczywający na swej piersi. Odbijał na wpół dziecinną twarzyczkę

dziewczątka, które wcale nie było tak niewinne, jak mogłoby się wydawać.

Nagle usłyszeli za sobą tętent końskich kopyt i zobaczyli galopującego wprost na nich rycerza w białym płaszczu. Serim natychmiast poderwał się z ziemi i uniósł Sophie na rękach. Zbliżający się jeździec gwałtownie ściągnął cugle i zatrzymał wierzchowca tuż przed nimi. Z podłużnej szramy na jego prawym policzku ściekały strużki krzepnącej krwi. Nie wyrzekł ani słowa, płonąącym wzrokiem patrząc na złoty krzyż zawieszony na szyi dziewczyny.

— Czego chcesz? - krzyknął groźnie najemnik.

Rycerz nadal milczał, jak zahipnotyzowany wpatrując się w klejnot. Sophie dotknęła go odruchowo i wtedy dostrzegła w jego martwych oczach coś, co ją przeraziło. Krzyknęła, ale nim Serim zdążył zareagować, nieznajomy dźgnął konia ostrogami i jednym szybkim ruchem wyrwał ją z ramion najemnika. Wymierzając mu z wysokości siodła potężnego kopniaka, zwałił go z nóg i odjechał galopem w stronę zamku Illion, a Serim padł zamoczony na ziemię — jego straszliwa siła nie zdała się na nic.

Gdy znów zerwał się na nogi, zobaczył już tylko tumany kurzu i oddalającego się z szybkością błyskawicy rycerza. Nie miał pojęcia, kim był ten, który z tak przedziwną łatwością wydarł mu dwa najcenniejsze skarby, jakie powierzone zostały jego pieczy, ale poprzysiągł temu człowiekowi straszliwą zemstę.

Albin gnał przez okoliczne wzgórza niczym łowca przynoszący swemu panu upragnioną zdobycz. Pędził jak burza, a jego twarz oświetlały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Pozbawionym emocji wzrokiem patrzył na dziewczynę przewieszoną przez grzbiet wierzchowca i było mu obojętne, kim ona jest. Nim zajdzie słońce, przywiezie ją swemu protektorowi tak, jak obiecał.

„Jeśli Armand van der Zahr chce panny z krzyżem, to będzie ją miał - obmyślał swój plan. - A prawdziwa Violette de Montraine będzie bezpieczna”.

Postanowił chronić córkę de Montraine'a tak długo, jak będzie to możliwe, i nie obchodziło go, co stanie się z dziewczyną, którą dziś przyprowadzi przed oblicze władcy. Daleko przed nim majaczyły złowieszcze mury zamczyska, rysujące się wyraźnym konturem na tle zapadającego zmierzchu. Gdy zbliżył się do twierdzy, jeden z wartowników strzegących bram wysunął się naprzód.

- Kto jedzie? - zakrzyknął, oświetlając łuczywem wynurzającą się z gęstniejącego mroku postać.

- Jestem Albin de Vessel! Otwierać natychmiast! Ciężka żelazna krata uniosła się ze zgrzytem, a dwaj

żołnierze posłusznie rozwarli wrota prowadzące do środka. Albin wjechał na obszerny dziedziniec, zatrzymał konia i zwinnie zeskoczył na ziemię. Jednym mocnym szarpnięciem ściągnął Sophie z grzbietu wierzchowca, a wiedząc, że nie może chodzić, chwycił ją wpół i nie zwracając uwagi na jej rozpaczliwe jęki, wniósł ją do wnętrza zamku. Straże przyboczne z hukiem otworzyły przed nim wysokie drzwi prowadzące do sali, w której oczekiwał na niego Armand. Rycerz zdecydowanie przekroczył próg, pokłonił się władcy i brutalnie cisnął przed jego majestat drżącą z przerażenia dziewczynę.

- Oto panna ze złotym krzyżem na szyi, którą kazałeś mi sprowadzić - odezwał się. - Innej nie znalazłem.

Van der Zahr bez pośpiechu podszedł do szlochającej Sophie i przyjrzał się jej uważnie.

- Wstań! - rozkazał. Ale ona nadal klęczała.

- Nie słyszysz, co do ciebie mówię?! Wstań! — zagrzmiał zirytowany i chwytając ją za przegub ręki, poderwał do góry, tak że jej drobne stopki oderwały się od gładkiej, kamiennej posadzki.

Dziewczyna jęknęła z bólu. Nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa, gdyż diuk Bretanii napawał ją niewypowiedzianym lękiem.

- Ona nie może stać - wtrącił obojętnie Albin. - Ma połamane nogi.

Armand jeszcze raz przyjrzał się Sophie.

- Ach, jakże mi przykro! - zawołał z ironicznym politowaniem i jednym pociągnięciem zerwał jej z szyi rodową relikwię.

- Nie masz prawa! - zaprotestowała słabo, lecz władca, który trzymał w żelaznym uścisku jej nadgarstek, zaśmiał się bezczelnie.

- Masz rację, Violette de Montraine, ale już wkrótce to się zmieni!

Nagle Sophie spojrzała mu prosto w oczy i z dziwnym spokojem odrzekła:

- Nie jestem Violette, lecz jej młodszą siostrą. Mam na imię Sophie.

- Nie kłam! - ryknął rozsierdzony tyran i ze straszliwą siłą odrzucił ją w bok niczym szmacianą lalkę. - Nie próbuj mnie oszukiwać tak jak twój ojciec!

Sophie uderzyła z impetem o zastawiony wieczerną stolik i padając bezwładnie, przełamała blat na pół. Na dźwięk tłukącej się porcelany w drzwiach zjawiły się strażnicy.

- Wynoście się! - krzyknął van der Zahr, odprawiając ich ruchem ręki, ale w tej samej chwili do sali wszedł Hereford de la Greux.

- Trzeba ci przyznać, Armandzie, że umiesz się obchodzić z młodymi damami - skwitował sarkastycznie.

- Lepiej milcz, księżę... - Despota ostrzegawczo uniósł dłoń z wymierzonym weń palcem wskazującym.

Ale biskup zupełnie zignorował jego groźbę i podszedł do leżącej na podłodze Sophie.

- Mam nadzieję, że nie zrobiłeś jej krzywdy. - Zachichotał odrażająco, odgarniając jej z twarzy kosmyki kasztanowych włosów. - Szkoda by było.

- Twierdzi, że nazywa się Sophie de Montraine - zawołał ze złością Armand. - Łże, to jasne! Tylko starsza z córek hrabiego nosi ten krzyż!

Biskup Hereford przyjrzał się dokładnie nieprzytomnemu dziewczęciu.

- Obawiam się, że mówi prawdę - stwierdził po chwili. - Jest za młoda... Violette ma dziewiętnaście lat, natomiast ta zapewne nie skończyła nawet czternastu.

- Jak to możliwe?! — krzyknął władca i skierował piorunujący gniewem wzrok na stojącego obok Albina, ale rycerz ze stoickim spokojem zniósł palące spojrzenie i w milczeniu wzruszył tylko ramionami.

- Dziś się tego nie dowiemy, ani od twojego dowódcy, ani od niej — podsumował biskup. - Zresztą, co za różnica? Masz już wszystko, czego chciałeś, krzyż de Montraineów jest twój.

Armand spojrział na klejnot tkwiący w jego rękę.

- Nie - odrzekł. - To jeszcze nie wszystko. Muszę odnaleźć prawdziwą Violette, gdyż bez niej ten kawałek metalu jest bezwartościowy!

- A co zrobimy z tą? - spytał de la Greux. - Jeśli jej nie potrzebujesz, to ja chętnie zaopiekuję się tym biednym dzieckiem. Wszak nie ma już rodziców, a Bóg nakazał troszczyć się o sieroty...

Van der Zahr bezbłędnie odczytał jego aluzję.

- Innym razem, starcze — rzucił zniesmaczony i klasnął w dłonie. - Służba! Do lochu z nią!

Albin chłodnym wzrokiem obserwował, jak dwaj żołnierze wywlekają z sali bezwładne ciało Sophie. Porywając ją, nie przypuszczał, że okaże się młodszą siostrą Violette, która dzisiejszego wieczoru trafi do wilgotnych, cuchnących lochów twierdzy wraz z najgorszymi przestępcami. Gdy stamtąd wyjdzie, nie będzie już taka niewinna jak wcześniej. Ale to nie miało dla niego znaczenia, gdyż bez wahania poświęciłby nie tylko ją, ale i każdą inną, byleby ocalić tę, którą kochał. Aż dotąd miał nadzieję, że Armand van der Zahr pragnie jedynie zdobyć klejnot, ale w tym momencie dotarło do niego, jak straszliwie się mylił.

- I co teraz? — westchnął Armand i usiadł ciężko na krześle.

- Nic straconego - odrzekł biskup Hereford i uśmiechnął się zagadkowo. - Wieść niesie, że córki hrabiego są do siebie bardzo przywiązane. Jeśli tak jest, to starsza z nich sama zjawi się tu niebawem.

Ta oczywista prawda spadła na Albina z siłą rażenia gromu. Nie mógł tego przewidzieć. Wprawdzie Violette była bezpieczna, ukrywając się w lasach, ale już niedługo przybędzie tu z powodu uprowadzenia młodszej siostry. Sądził, że los sprzyja mu,

stawiając na jego drodze inną dziewczynę z krzyżem, a tymczasem zastawiał na niego pułapkę. Zdawał sobie sprawę, że jeśli Violette de Montraine wejdzie w te mury, nie będzie już na świecie siły zdolnej wyrwać ją ze szponów Armanda van der Zahra.

Dochodziło już południe, gdy znużony wielogodzinnym marszem Reynard zjawił się w zagrodzie Valgirusa. Choć nie spał od dwóch dni i nie pamiętał, kiedy ostatnim razem miał coś w ustach, nie pozwolił sobie nawet na chwilę odpoczynku. Świadomość, że ktoś na niego czeka, odsuwała zmęczenie na dalszy plan. Przyrzekł Violette, że wróci z wieściami najszybciej jak to możliwe, ale teraz żałował swej obietnicy. Wolałby nigdy nie mówić, jak zginęli jej rodzice.

Z oddali dostrzegł Serima siedzącego nieruchomo na grubym pniu zwalonego drzewa, a jego toporna sylwetka wyraźnie odcinała się od zielonej ściany lasu. Trwał w ponurej zadumie z głową podpartą na rękach i sprawiał wrażenie kogoś, kto nie ruszył się stąd od wielu godzin. Nawet nie spojrzał na powracającego wędrowca, jakby nagle wszystko przestało dla niego istnieć. Reynard minął go obojętnie i wszedł do chaty. Była pusta... Ani śladu po Violette i jej młodszej siostrze.

„To niemożliwe! - rozmyślał gorączkowo. - Przecież w tym stanie Sophie nie mogła opuścić tego miejsca”.

Jego skołowany umysł nie potrafił znaleźć logicznego wytłumaczenia - zrobiła to dopiero Genn, której głos rozległ się niespodziewanie za jego plecami:

— Odeszła stąd dzisiejszego ranka.

— Kto? - spytał niezbyt przytomnie.

— Violette-padła odpowiedź.-To jej szukasz,prawda?
Zdumiała go przenikliwość tej dwunastolatki, która dostrzegła o wiele więcej, niż by sobie tego życzył.

— Odeszła? Dokąd?

— Do zamku Illion. Nie miała innego wyjścia, rycerz w bieli porwał Sophie.

— Jak to?

— Pomylił ją z Violette, gdy Serim zawiesił na jej szyi złoty krzyż...

Nim zdążyła dokończyć swą opowieść, wędrowiec zaklął cicho i potrącając ją w drzwiach, wypadł z chaty jak wicher. Usłyszał już dość, by reszty domyślić się samemu. Albin nie mógł się mylić — zrobił to celowo. Tylko dlaczego usiłował chronić Violette? Czyżby z tego samego powodu, dla którego Reynard pomimo skrajnego wyczerpania znów gnał przed siebie na złamanie karku?

„Albinie de Vessel, ty przeklęty głupcze! - zagrzemiał w myśli z wściekłością. — Powinienem być cię zabić!"

Violette szła szerokim gościńcem wiodącym w stronę twierdzy. Początkowy pośpiech ustąpił miejsca miarowym krokom, a targające nią emocje niespokojnym rozmyślaniom. Podświadomie utożsamiała rycerza w bieli ze swym tajemniczym wybawcą i zrozumiała, że nie porwał Sophie przypadkowo. Musiał służyć van der Zahrowi i sprytnie wykorzystał to, że nikt w twierdzy Illion nie wie, jak wyglądają córki de Montraine'a.

„Jeśli domyślił się, kim jestem, to dlaczego próbował oszukać swego władcę?" - wielokrotnie zadawała sobie to pytanie.

Nie potrafiła odgadnąć jego pobudek, a wszystkie możliwe wyjaśnienia, wydawały się nielogiczne. „Oprócz jednego” - podpowiadało jej serce.

Ale w to akurat nigdy by nie uwierzyła... Wkrótce przestała się nad tym zastanawiać. Ważne było tylko to, że Sophie od wczoraj znajdowała się w zamku diuka Bretanii - zdana na łaskę despotycznego władcy, osamotniona i przerażona. Przecież nie była nawet w stanie poruszać się o własnych siłach. Strach pomyśleć, co może zrobić z nią okrutny i porywczy Armand, gdy odkryje prawdę.

„Nie martw się, siostrzyczko - próbowała ukoić zszarpane nerwy. - Nie zostawię cię samą”.

Violette miała wrażenie, że dotarcie do zamku Illion stało się jej przeznaczeniem, a twierdza przyciąga ją z coraz większą siłą i nie jest w stanie wyzwolić się spod jej przemożnego wpływu. Wtem usłyszała za sobą stukot końskich kopyt i turkot drewnianych kół toczących się powoli po kamienistej drodze. Starą, wyładowaną po brzegi furę ciągnęła jedna chuda szkapa, a na wozie siedział chłop i wymachując batem, gwizdał pod nosem sobie tylko znaną melodię. Widząc na drodze samotną dziewczynę, zwolnił i zatrzymał się.

- Hej, panienko! Dokąd idziesz?! - zawołał prostodusznie.

Violette odwróciła się i mężczyzna drgnął na widok jej oczu, potem zaczął struchlałym głosem zaczął odmawiać pacierz.

- Amen - dopowiedziała, gdy skończył. Człowiek przyjrzał jej się uważnie.

- Skoro to wyrzekłaś, nie możesz być siłą nieczystą. Violette nie odezwała się ani słowem, czekając już

tylko, aż wieśniak strzeli z bata i odjedzie pośpiesznie, wzywając szeptem wszystkich możliwych świętych. Ale tym razem tak się nie stało.

- To dokąd idziesz? - powtórzył pytanie, zerkając jednocześnie na jej przyniszczoną, ale wciąż kosztowną suknię.

- Do zamku Illion - odrzekła bez przekonania.

- Samotnej dziewczynie mogą przytrafić się w drodze różne rzeczy.

Spuściła wzrok i uśmiechnęła się lekko.

- Zdążyłam się już o tym przekonać.

- Cóż, jeśli chcesz, mogę cię podwieźć. Wiozę siano do stajni van der Zahra.

Violette zawahała się. Są jednak sytuacje, w których nawet arystokratka nie powinna odrzucić pomocnej dłoni prostego chłopca, a to była właśnie jedna z nich. Mężczyzna podał jej rękę, by wdrapała się na wóz, po czym koła leniwie zgrzytnęły i ruszyli.

Reynard czuł, że nie może pozwolić Violette przekroczyć murów tego zamczyska. Armand van der Zahr miał już w swym ręku krzyż, ale najwyraźniej do urzeczywistnienia swego planu potrzebował także prawowitej właścicielki klejnotu.

„Czego może pragnąć człowiek posiadający tak wielką władzę?” — zastanawiał się.

Nieprzebranych bogactw? Nieograniczonych wpływów? A może potęgi, z którą nie może równać się nikt ani nic? Po części Armand pożądał wszystkich tych rzeczy,

ponieważ otwierały mu one drogę do objęcia w państwie rządów absolutnych.

„Wiem, do czego jesteś zdolny, i powstrzymam cię, Armandzie van der Zahr” - poprzysiągł.

Lotem błyskawicy przecinając leśne ostępy, dotarł do traktu. Zdezorientowany, rozejrzał się w obie strony i nagle do jego uszu dotarł tętent końskich kopyt. Przez chwilę wsłuchiwał się uważnie w stopniowo narastający odgłos i doszedłszy do wniosku, że jeździec jest sam, wziął niewielki rozbieg i zwinnie wskoczył na zawieszony nisko nad drogą konar drzewa. Ukrył się wśród gęsto ulistnionych gałęzi i czekał.

„W tej chwili potrzebuję tego wierzchowca bardziej niż jego właściciel” — zdecydował.

Wiedział, że kradzież konia karana jest śmiercią, ale nie obchodziło go to. Nic go nie obchodziło... Gdy tylko przejeżdżający mężczyzna pojawił się pod nim, błyskawicznie skoczył mu na kark i spychając go z siodła, zajął jego miejsce. Po chwili pędził już na spienionym wierzchowcu w kierunku twierdzy Illion, a mijając po drodze wyładowany sianem wóz, nie zwolnił ani na chwilę. Miał w głowie już tylko jedną myśl: „Zdażyć na czas”.

Gdy wędrowiec zjawił się pod murami zamku, po Violette de Montraine nie było śladu.

„Spóźniłem się — pojął w mig. - Musiała tu dotrzeć o wiele wcześniej”.

Energicznym ruchem ściągnął cugle i niemal w miejscu zatrzymał zdrożonego wierzchowca. Zwierzę zarżało przeraźliwie, a Reynard jednym susem zeskoczył z siodła. Wziął konia za uzdę i powoli podszedł do mostu

zwodzonego, oddzielającego twierdzą od reszty świata. Próba przekroczenia go byłaby szaleństwem, a jednak przeszła mu przez myśl. Wtem zauważył zbliżający się do niego niewielki oddział zbrojnych.

— Cholera! — zaklął.

Nie trzeba było geniusza, by dostrzec kontrast między niechlujnym, podartym ubiorem włóczęgi a bogatą uprzężą czystej krwi rumaka, którego prowadził za sobą. To zwróciło uwagę patrolujących poblizze zamku strażników i teraz było już za późno, aby się wycofać.

— Mów, kim jesteś i skąd masz to zwierzę?! — krzyknął dowódca oddziału, gdy stanęli ze sobą oko w oko.

— Nie szukam kłopotów - odparł wymijająco wędrowiec i postąpił pół kroku w tył.

— Właśnie je znalazłeś, przybłędo! Pytam: skąd masz konia?!

— Pożyczyłem — odrzekł z prostotą, choć już na pierwszy rzut oka widać było, że kłamie.

Cokolwiek im powie i tak mu nie uwierzą, więc nie było sensu niczego udawać.

— Raczej ukradłeś! - ryknął rozwścieczony wojskowy.

— Skoro tak wolisz to nazwać. — Reynardowi było już wszystko jedno.

Jeden z żołnierzy wysunął się groźnie naprzód.

— Jak pan kapitan pyta, masz odpowiadać, psie! — krzyknął hardo i dobył miecza zza pasa.

Reynard puścił wolno konia i bez pośpiechu schylił się po leżący na ziemi długi kawałek drewnianego drąga.

— Właśnie zrobiłeś najgłupszą rzecz w swoim życiu - ostrzegł go.

- Ślepy jesteś?! - wykrzyknął strażnik. - Nas jest dziesięciu, a ty jesteś sam!

Po twarzy wędrowca błąkał się nikły uśmieszek.

- Tylko dziesięciu? - spytał z lekką drwiną. - To niesprawiedliwe. .. dla was.

Nim dowódca zdążył wydać rozkaz, mężczyzna rzucił się na niego z wściekłym okrzykiem. Dał się sprowokować równie łatwo jak dzikie zwierzę. Nie panował nad sobą. Wymachiwał mieczem w nienawistnym zaślepieniu, usiłując za wszelką cenę ugodzić przeciwnika, ale Reynard bez trudu mógł przewidzieć jego kolejne ruchy. Nie musiał go nawet zwodzić. Nacierający żołdak nie zdążył się zorientować, gdy kij w rękach wędrowca zatoczył szeroki półokrąg i uderzając z nieprawdopodobną siłą, zgruchotał mu szczękę. Odrzucony w tył, padł na wznak, nie mogąc złapać tchu, a w chwilę później kaszlnął krwią i wypluł własne zęby.

- Na co czekacie?! Brać go! - rzucił kapitan do osłupiałych strażników.

Rozległ się szczełk wyciąganych mieczy.

- Stać!

Reynard w ułamku sekundy rozpoznał ten głos.

- Jestem Violette de Montraine i rozkazuję wam natychmiast puścić tego człowieka!

Otoczający go żołnierze stanęli w bezruchu.

- Ależ, pani! - oburzył się dowódca. - Ten włóczęga ukradł konia! To jest karane śmiercią!

- Bez dyskusji, kapitanie! - zawołała apodyktycznym tonem. - Prowadźcie mnie przed oblicze Armanda van der Zahra!

Aż dotąd wędrowiec nigdy nie przypuszczał, że jej chłodny i wyniosły sposób bycia kiedyś go uratuje.

„A jednak” - westchnął w duchu.

Patrzył, jak Violette spokojnie zsiada z tego samego drewnianego wozu, który wyprzedził po drodze i zrozumiał, że przybył zbyt wcześnie.

— Przepraszam, nie mogłam postąpić inaczej - usłyszał jej cichy szept, gdy mijała go z pozorną obojętnością i pogardą, tak jak dobrze urodzona dama powinna minąć zwykłego włóczęgę.

Bezbłędnie odegrała to przedstawienie. Zawsze potrafiła stwarzać pozory, gdyż to właśnie z nich składało się całe jej życie. Przechodząc obok niego, spuściła wzrok, nie chcąc, by dostrzegł w jej oczach niemy krzyk rozpacz. Była pewna, że wtedy zrobiłby coś bardzo głupiego, a na to nie mogła mu pozwolić. Wędrowiec poczuł, jak delikatnie musnęła włosami jego ramię. Przez moment znalazła się tak blisko - niemal na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie tak daleko. Bezsilnie patrzył, jak w eskorcie oddziału żołnierzy wchodzi na most. Było za późno. Nie mógł zrobić już nic. Szła z dumnie uniesioną głową, jakby była panią tego zamku, a nie branką van der Zahra.

„Nie! - coś krzyczało w jego wnętrzu. - Nie mogę pozwolić jej tak odejść”.

Tknięty nagłym impulsem, zerwał się z miejsca i rzucił za nią, ale drogę zagrodziło mu dwóch strażników.

- Nie rób tego! - krzyczał. - On wszystkich ich zabił! W chwili, gdy te słowa dotarły do jej uszu, przekroczyła

bramy twierdzy, a żelazna krata opadła z trzaskiem za jej plecami. Mimo to przystanęła i odruchowo spojrzała za siebie. Głos Reynarda odbił się echem od kamiennych murów otaczających dziedziniec

„Odtąd stanę się więźniem człowieka, który wymordował cały mój ród” - dotarło do niej.

Zacisnęła mocno powieki, żeby wartownicy nie dostrzegli łez napływających do oczu ostatniej z de Montraineow.

„Nie ma już odwrotu” - pomyślała.

VI

Twierdza

Jasne światło dnia wpadało do przestronnej sali przez okrągłe witrażowe okno, rozpraszając mroki gotyckiego wnętrza. Z gładkiej jak lustrzana tafla marmurowej posadzki wystrzeliwały dwa rzędy monumentalnych kolumn sięgających aż do łukowego sklepienia. Proste ściany z szarych, ciosanych kamieni zdobiły szkarłatne proporce z wyhaftowanym złotą nicią herbem van der Zahra. On sam spoczywał zaś na bogato rzeźbionym krześle stojącym pośrodku komnaty i pogrążony w kontemplacji, wpatrywał się w klejnot, który niemal z nabożną czcią wyjął z dna szkatuły.

Wypolerowana relikwia odbijała jego srogą fizjognomię i demaskowała prawdziwe oblicze Armanda van der Zahra - człowieka, którego jedyną namiętnością było przemożne pragnienie władzy, podsycane przez chorobliwą ambicję i pychę, która skłaniała go do sięgania po to, co mu nienależne. Negatywne emocje, takie jak: zazdrość, nienawiść i zrodzone w upokorzeniu poczucie krzywdy, towarzyszyły mu od zawsze. A miłość? Nie potrzebował jej - uczucia tylko przeszkadzałyby mu w dążeniu do celu.

Gdy kilka miesięcy temu dwaj zakonnicy wędrujący do pobliskiego opactwa zatrzymali się w twierdzy Illion,

prosząc o gościnę i możliwość skorzystania z tutejszej biblioteki, władca nie spodziewał się nawet, że dokonają w niej tak niezwykłego odkrycia. Podczas studiowania obszernych księgozbiorów sędziwy mnich zwany Śpiącym Borsukiem oraz jego uczeń Viggo natrafili na wzmiankę dotyczącą zamożnego rodu de Montraineow i legendarnego skarbu, do którego kluczem jest złoty krzyż przekazywany w tej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Jednak samo posiadanie go nie wystarczy, by zdobyć bogactwo. Potrzebna jest jeszcze prawowita dziedziczka, która wskaże miejsce ukrycia skarbu -bez niej sukces Armanda van der Zahra był więc tylko połowiczny.

- Bogowie muszą mi sprzyjać - przemówił do siebie półgłosem.- Krzyż de Montraineow nareszcie spoczywa w mym ręku.

- Ale wciąż należy do mnie - zniechęca rozległ się głos Violette.

Zaskoczony władca spojrzał na stojącą w drzwiach dziewczęcą postać i bez pośpiechu schował klejnot do wnętrza szkatuły.

- Violette de Montraine we własnej osobie! - wykrzyknął z uznaniem. - Biskup Hereford miał rację, mówiąc, że przyjdiesz tu w ślad za swoją siostrą!

Dziewczyna weszła do sali zdecydowanym krokiem, a dwaj eskortujący ją strażnicy zostali zdawkowo odprawieni jednym ruchem ręki Armanda.

- Żądam widzenia się z nią - oświadczyła wyniośle, gdy zostali sami.

Diuk Bretanii wstał z krzesła i zbliżył się do niej niczym drapieżnik podchodzący swą ofiarę.

— Żadasz?! - warknął złowrogo.

— Po tym, jak zagarnąłeś nasze ziemie i zgładziłeś całą moją rodzinę, mam prawo zobaczyć siostrę - zawołała w gniewnym uniesieniu. — Jesteś mi to winien, morderco!

Była inna niż wszystkie... W jej oczach nie znalazł nawet cienia strachu. To go rozwścieczyło i pod wpływem nagłego impulsu trzasnął ją w twarz wierzchem dłoni.

— Winien tobie?! — krzyknął rozwścieczony. — Wiesz, kim teraz jesteś?! Nikim! Jesteś zdana na moją łaskę!

Violette nie cofnęła się ani nie zaczęła szlochać jak jej siostra. Stała naprzeciw niego nieruchomo i patrzyła mu prosto w oczy chłodnym, przeszywającym wzrokiem, jakby znała jego najmroczniejsze pragnienia.

— To ci daje satysfakcję? - spytała beznamiętnie. — Cierpienie kobiet sprawia, że czujesz się mężczyzną, panem i władcą... No dalej, zrób to jeszcze raz, przekłety tyranie!

Nadstawiła drugi policzek, ale on zamiast uderzyć ją, otarł delikatnie kilka szkarłatnych kropel sączących się z rozciętej wargi.

- Cierpienie - szepnął. - Jeszcze nie wiesz, co to słowo znaczy.

Przysunął się do niej i zaznajając dziwnej, przerażającej rozkoszy, zlizął resztę krwi z jej ust.

- Smakuje tak samo jak moja - stwierdził z pozornym spokojem. - Nie jest bardziej błękitna.

- A jednak różnimy się od siebie.

- Czyżby? - zapytał, patrząc na nią przenikliwie. — Przecież oboje potrafimy dążyć do celu po trupach.

Ametystowe oczy dziedziczki rozszerzyły się gwałtownie i na dźwięk jego słów zaskrzyły się złowrogo.

- Mylisz się, Armandzie - odrzekła z wyższością. - Nigdy nie będę taka jak ty.

Władca zamyślił się przez chwilę.

- Jestem pewien, że już teraz zrobisz wszystko, by mnie zniszczyć - oświadczył. - A pewnego dnia staniesz się bardziej bezwzględna i okrutna, niż ja byłem kiedykolwiek.

Wraz z głębokim wdechem wchłonał w siebie najpotężniejsze z istniejących na ziemi uczuć - czystą i wszechogarniającą nienawiść, którą niemal dostrzegalnie emanowała. Była dla niego jak narkotyk, który nie pozwalał mu się od niej oderwać.

- Twoje oczy cię zdradzają - rzekł po chwili cichym tonem refleksji, odsuwając się od niej. - Nigdy nie pokochasz nikogo równie mocno, jak mnie nienawidzisz w tej chwili.

Gdyby nie świadomość, że stoi przed nią Armand van der Zahr, mogłaby przysiąc, że powiedział to ktoś inny. Już kiedyś słyszała to smutne brzmienie głosu...

Władca odwrócił się i klasnął w dłonie. W drzwiach natychmiast zjawił się wartownik.

- Wezwać dowódcę mojej armii - rozkazał mu. Żołnierz skłonił się i zniknął w korytarzu, a po chwili do sali wszedł rycerz odziany w biały płaszcz.

- Albinie, oto prawdziwa Violette de Montraine - oświadczył władca, bacznie obserwując reakcję swego podopiecznego. - Wraz z dwoma strażnikami odprowadzisz ją do północnej wieży i dopilnujesz, aby tam pozostała.

Rycerz podniósł wzrok na stojącą między nimi dziewczynę. Ich spojrzenia spotkały się, lecz wyraz twarzy Albina pozostał nieprzenikniony niczym kamienna maska, która skrywa wszystkie uczucia.

— Nie! - zaproponowała Violette. — Muszę widzieć się z siostrą!

Ale Armand van der Zahr już jej nie słuchał... Odszedł w głąb sali i usiadł na krześle, pogrążając się w zadumie. Nim się spostrzegła, Albin wziął ją na ręce i nie bacząc na jej protesty, wyniósł za drzwi.

- Nie dotykaj mnie! - syknęła.-To przez ciebie Sophie się tu znalazła!

Usiłowała wyrwać się z jego ramion, ale okazało się to niemożliwe. Nie zwracając uwagi na jej rozpaczliwe wysiłki, szybkim krokiem przemierzał kolejne przejścia i pogrążone w mroku korytarze.

— Dlaczego to zrobiłeś?

- Taki otrzymałem rozkaz - odparł lakonicznie, gdyż przysłuchiwali im się dwaj idący z tyłu żołnierze.

Zostawił ich przy wejściu do wieży i długą, krętą spiralę schodów pokonał już z nią samotnie. Gdy dotarli na sam szczyt, oczom Violette ukazały się masywne drzwi z zasuwą od zewnętrznej strony. Albin otworzył je energicznym kopniakiem, wniósł ją do wewnętrznej komnaty i ostrożnie postawił na ziemi.

- Żałuję, że nie poznałem twego imienia wcześniej -wyrzekł ze smutkiem i zgodnie z panującym obyczajem, przyklęknął przed szlachetnie urodzoną.

— Czy to by coś zmieniło? - Z głosu dziewczyny przebijała chłodna ironia, a jej słowa raniły jak ostrze sztyletu.

- Zrobiłem to, aby cię chronić. Nie chciałem, żebyś tu trafiła.

- Ale stało się inaczej - odrzekła i odwróciła się, ostentacyjnie dając mu do zrozumienia, że pragnie zostać sama.

- Wybacz — szepnął zdławionym głosem.

Wstał i zgodnie z jej wolą skierował się do wyjścia. W chwilę później rozległ się odgłos zasuwy i szcęk klucza przekręcanego w zamku. Oddalające się kroki rycerza obijały się echem od wysokich ścian wieży, a Violette żałowała, że tamtej nocy to właśnie on ocalił jej życie.

Ogromna twierdza górowała nad okolicą niczym ponury, wszechobecny strażnik. Odgradzona od otaczających ją lasów głęboką fosą i okolona potężnymi murami, stanowiła fortyfikację nie do zdobycia. Widoczne z daleka, zatknięte na szczytach wież purpurowe sztandary z godłem van der Zahra złowieszczo łopotały na wietrze. Choć zamek wzniesiono dwa wieki temu jako warownię strzegącą szlaków handlowych i domenę władców Bretanii, nadal był on jednym z najbardziej strategicznych punktów w tej części kraju. Jego obecny rezydent - Armand van der Zahr - doskonale zdawał sobie z tego sprawę. To właśnie za czasów jego panowania twierdza przeżywała czasy swej największej świetności. Przebudował górne partie zamku, dostawił baszty i opasał mury wstęgą fosy. Jednak nie robił tego wszystkiego bezcelowo, gdyż Illion stanowiło częścią jego planu. W swym niepohamowanym dążeniu do całkowitej hegemonii na tych ziemiach pragnął stworzyć twierdzę idealną i udało mu się.

Reynard z ukrycia przypatrywał się warowni. Nie wrócił już do chaty pustelnika ani nie poszedł dalej swoją

drogą, gdyż jego podróż kończyła się właśnie tu - w miejscu, gdzie dopełni się jego przeznaczenie. Wieloletnia tułaczka, która kosztowała go tak wiele, dobiegła kresu. W zamku Illion znajdował się człowiek, którego poszukiwanie stało się niemal jego obsesją. Nim umrze, skrzyżuje ostrze Nefrytowego Fatum z mieczem dorównującym mu potęgą. Już niebawem. Tylko to się liczyło i nic innego nie miało znaczenia.

Ale czy jedynie z tego powodu od kilku godzin obserwował twierdzę? Mimowolnie spojrzął na rękę przewiazaną wrzosową wstążką należącą do tej, która niespodziewanie znalazła się pomiędzy nim a Armandem van der Zahrem. Bez niej błąkałby się jeszcze przez długi czas. To ona wskazała mu do niego drogę.

„Przypadek czy zrządzenie losu?” — pytał sam siebie.

Nie mógł pogodzić się z jej decyzją. Czuł wyraźnie, że teraz mroczne zamczysko zazdrośnie skrywa w swych czeluściach nie tylko to, czego nienawidzi, ale i to, czego pragnie.

Albin stał nieruchomo pośrodku obszernego zamkowego dziedzińca i czekał. Z czterech stron otaczali go czterej uzbrojeni żołnierze - skupieni i gotowi do ataku. Był mistrzem we władaniu każdą bronią i z rozkazu Armanda szkolił jego armię, bezlitośnie ćwicząc ich dzień po dniu. Teraz z przymkniętymi powiekami wsłuchiwał się w otaczającą go ciszę. Nie musiał patrzeć przeciwnikom w oczy, żeby wiedzieć, kiedy wykonają pierwszy ruch. Podświadomie wyczuwał ich przyspieszone tętna i chrapliwe oddechy. Wiedział, że się go boją.

„Strach jest pierwszą oznaką słabości” - zwykł mawiać.

Albin potrafił nad nim zapanować, ale oni nie byli rycerzami Zakonu Białej Róży, lecz zwykłymi żołnierzami, których bezwzględność i okrucieństwo dowódcy napawały lękiem. Dlatego był pewien, że spróbują wziąć go w krzyżowy ogień. Na prawdziwy pojedynek żadnemu z nich nie starczy odwagi.

„Teraz” - błysnęło mu w myśli.

Do jego uszu dotarł odgłos nadbiegających z trzech stron żołnierzy. Wiedział, że nie są w stanie niczym go zaskoczyć. Niemal intuicyjnie wyczuł opadające nad głową ostrze topora. Otworzył oczy, by w ostatniej chwili wykonać unik i z niskiego półobrotu podciąć nogi nacierającemu. Rozległ się cichy trzask łamanej kości. Mężczyzna chwycił się za piszczel i padając na ziemię, zawył z bólu, lecz Albin nie zwrócił na to uwagi. Jakby nagle coś w niego wstąpiło.

Nie czekając, aż zawieszona na łańcuchu kula cepa bojowego zatoczy w powietrzu krąg i roztrzaska mu czaszkę, rzucił się na drugiego z nich. Błyskawicznie dobywając miecza, okręcił jej łańcuch wokół główki własnego oręza i szarpnął. Broń wypadła z ręki zaskoczonego przeciwnika i znalazła się w dłoni Albina, a jego łokieć celnie trafił w gardło mężczyzny, ze straszliwą siłą miażdżąc mu krtań.

Zgromadzeni wokół żołnierze patrzyli w osłupieniu na rozgrywającą się potyczkę, która niespodziewanie przerodziła się w krwawą jatkę. W chłodnych oczach rycerza pojawił się złowrogi błysk, gdy owładnięty dziką furią starł się z kolejnym z nich. Zaszczękało żelazo. Mężczyzna nie spostrzegł się nawet, kiedy nabijana ćwiekami kula świsnęła w powietrzu i opadając z niesamowitym impetem,

zgruchotała mu bark. Wydawało się, że dowódca stracił nad sobą panowanie. Czyżby oszalał? Ogarnięty niepokonaną wściekłością, chciał tylko dać jej upust. Do tej pory naliczył trzech.

„A gdzie czwarty?” - spytał sam siebie, kontrolując sytuację.

Rozejrzał się dokoła i zobaczył postawnego młodzieńca, którego górną wargę ledwie pokrywał pierwszy zarost. Stał bez ruchu, jakby nogi odmówiły mu posłuszeństwa, i rozpaczliwie usiłował powstrzymać drzenie kolan. Tępo wpatrywał się w rozgromionych żołnierzy i ociekającą krwią kulę cepa zwisającą z ręki dowódcy. Puste jak bezdenna czeluść oczy rycerza napełniły go trwogą. Chciał rzucić broń na ziemię i uciec stąd jak najdalej, ale zdobył się na odwagę i niepewną dłonią uniósł włócznię. Biorąc szeroki zamach, z całych sił cisnął nią w przeciwnika. Pędzące z ogromną szybkością ostrze przeszło o cal od głowy rycerza i z trzaskiem wbiło się w drewniane zadaszenie studni. Albin nawet nie drgnął. Nie musiał. Spojrzał na niego pozbawionym emocji wzrokiem i krzyknął:

- Tylko na tyle cię stać?!

Młody żołnierz milczał, w zdumieniu patrząc na sterczące drzewce włóczni. Nie mógł pojąć, jakim cudem nawet nie drasnął rycerza. Nigdy dotąd nie chybił. Albin z bojowym okrzykiem na ustach ruszył wprost na niego. Ciężka, naszpikowana ostrzami kula zataczała w jego wprawnej dłoni coraz szybsze kręgi, a ostrze miecza niemal samoistnie mierzyło w serce chłopaka. Nieszczęśnik wydał z siebie jęk, gdy cofając się, dotknął plecami ściany i zrozumiał, że nie ma już dokąd uciec.

Odruchowo zasłonił się rękami, a zaraz potem nastąpiło głucho łupnięcie. Chłopak osunął się na kolana. Oręż uderzył w mur z taką siłą, że odłamki kamieni rozprysły się dokoła. Dowódca mógł go zabić bez trudu, gdyby tylko chciał. Sztychem

miecza strącił hełm z głowy przeciwnika i trzymając ostrze na wysokości jego gardła, zawołał z wyższością:

- Pokonał cię twój własny strach!

Od zawsze pogardzał tymi, którzy się go bali. W całym swym życiu tylko raz napotkał godnego siebie przeciwnika - dziwnego włóczęgę o oczach, w których nie ma lęku.

„Zachowywał się tak, jakby szukał śmierci” - zauważył po namyśle.

Zniecierpliwiony, machnął mieczem i przypadkowo ściął kwiat, który spadł z rosnącego nieopodal różanego krzewu. Schylił się i podniósł go z ziemi, wpatrując się w pokryte rosą śnieżnobiałe płatki.

„Czysta i niewinna jak ona” - przed oczami rycerza pojawiło się nieodparte skojarzenie.

Wściekłość, która nim zawładnęła, nie wzięła się znikąd. Zrodziła się z poczucia winy wobec tej, której z rozkazu Armanda odebrał wszystko.

„Prawdziwa ironia losu” - stwierdził i zaśmiał się gorzko w duchu, gdyż ilekroć przymykał powieki, widział jej twarz.

Podążała za nim zawsze i wszędzie - nie potrafił się od niej uwolnić. A może nie chciał... Przez długie lata swej służby stopniowo zatracił własne człowieczeństwo. Dla swych żołnierzy był uosobieniem boga wojny, demonem śmierci i unicestwienia, potworem niezdolnym

do posiadania ludzkich uczuć. Jego wnętrze było równie wypalone i jałowe, co martwe źrenice oczu. Jak to więc możliwe, że dostrzegł nimi piękno?

Rycerz podrzucił w górę kwiat i w mgnieniu oka rozciął go mieczem, a delikatne płatki, białe jak jego płaszcz, rozsypały się po ziemi. Bez namysłu schował broń i ruszył przez środek dziedzińca wprost do północnej wieży. Minał zdumionych wartowników i wspiał się po krętych schodach na sam szczyt. Tam zatrzymał się przed zaryglowanymi drzwiami i jednym zdecydowanym ruchem odsunął zasuwę broniącą mu dostępu do środka, a drzwi zazgrzytały cicho, zapowiadając nieproszonego gościa. Violette stała na wprost okna i nie odwróciła się na ten dźwięk.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - wyrzekła z chłodem, który nie pozwolił mu uczynić ani kroku dalej.

- Chciałem sprawdzić, czy...

- Czy czegoś mi nie brak? - dokończyła cynicznie. -Ależ skąd! Mam przecież wszystko i gdyby nie zakratowane okna, mogłabym niemal zapomnieć, że ta wieża jest moim więzieniem.

Wyciągnęła rękę i przeplotła szczupłe palce między sztachetami żelaznych krat. Z każdą chwilą coraz dotkliwiej czuła ogarniającą ją rozpacz. Nie dlatego, że znalazła się w obcym i przerażającym miejscu, zdana na łaskę człowieka, którego w myśli przeklinała po tysiącokroć, lecz dlatego, że po raz pierwszy w życiu była zupełnie bezsilna, niczym ptak zamknięty w klatce. Pragnęła tylko przez moment poczuć ciepło drugiej osoby, choćby przelotny dotyk, usłyszeć jedno wypowiedziane szeptem słowo lub dostrzec gest, który wyraża więcej, niż powinien.

Ale tego wszystkiego Albin nie potrafił jej dać. Nie był w stanie przebić się przez lodowy mur wyniosłego milczenia, którym się otoczyła, ani przedrzeć przez pajęczynę pozorów, tworzących wokół niej pustkę, która nie pozwalała zbliżyć się nikomu. Dlatego jej dłoń pozostała samotna na okiennej kracie, a zamiast cichego szeptu usłyszała obojętne wyjaśnienie rycerza:

- Poprzedni władca zamku Illion zhańbił w tej komnacie pannę ze szlacheckiego rodu. Nie mogła znieść upokorzenia, więc targnęła się na swoje życie, skacząc z okna wieży. Dlatego osadzono w nich żelazne kraty, aby ta historia już nigdy się nie powtórzyła.

- Historia zawsze się powtarza - rzekła ze smutną rezygnacją. - Ale ja nie zdołam już ocalić swego honoru tą drogą.

„Znajdę więc inną” - postanowił.

Odwróciła się w jego stronę i nagle dostrzegła szczegół, którego wcześniej nie zauważyła. Opadające na prawy policzek włosy przesłaniały niezabliźnioną jeszcze szramę o gładkich i równych brzegach. Twarz Albina mógł oszpecić tylko miecz, którym władała bezbłędna dłoń. Violette domyśliła się czyja, a błysk skojarzenia przeleciał jej przez myśl, gdy w pamięci zadźwięczały słowa Reynarda wykrzyczane z oddali: „On wszystkich ich zabił!”. Miała więc przed sobą oprawcę i kata własnego rodu.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro... - zaczął niepewnie.

- Ani słowa więcej - przerwała mu. - Żądam, byś powiedział mi, czy to z twojej ręki zginęli moi bliscy?

Rycerz zamilkł i spuścił wzrok.

- Zatem już wiesz - odparł bezbarwnym głosem.

- Bądź przeklęty - szepnęła, kryjąc napływające do oczu łzy za firanką długich rzęs.

- Christopher de Montraine musiał umrzeć. Taka była wola Boga.

- Kłamiesz! - zawołała. - Bóg nie zsyła śmierci! Jej źródłem zawsze jest człowiek!

- A nawet jeśli? Armand van der Zahr jest moim panem i winien mi jestem całkowite posłuszeństwo.

- Jest potworem!

- Nie zawsze nim był — odparł Albin i zamyślił się przez chwilę. — To władza zmienia ludzi. Gdy byłem chłopcem, moją wieś zaatakowało wojsko. Ocalałem tylko ja i moja siostra. Armand uratował nas wtedy od śmierci głodowej. Dzięki niemu z sieroty stałem się rycerzem. Jestem, kim jestem, i nie muszę prosić o wybaczenie.

Wyszedł. Drzwi trzasnęły głucho, opadła ciężka zasuwka.

„Nieprawda. - pomyślała. - Jesteś tym, kim stworzył cię Armand”.

Sophie ocknęła się w jakimś mrocznym, nieznanym miejscu, gdzie słyszała tylko własny oddech — płytki i niespokojny. Bała się. Ciężkie powietrze przesycone było wilgocią i stęchlizną, a zapach szczurzej sierści mieszał się z odorem ludzkich odchodów. Wyciągnęła rękę i po omacku natrafiła na zimną powierzchnię kamiennego muru.

„Lochy - odgadła. - To muszą być podziemia twierdzy”.

Miała dziwne, paranoiczne wrażenie, że otaczające ją ściany, przybliżają się do siebie - osaczają ją, zabierają przestrzeń i sprawiają, że zaczyna jej brakować tchu. Lęk przed małymi zamkniętymi pomieszczeniami towarzyszył jej od zawsze i zdążyła do niego przywyknąć, ale nie on ją obudził. To było coś innego... „Dotyk” - przeraziła się.

Nagle zrozumiała, że nie jest tu sama, i ciarki przeszły jej po plecach. Wyraźnie wyczuwała czyjaś obecność. Gęsta, nieprzenikniona ciemność otaczała ją z każdej strony, pełzała po jej ciele, wdzierając się nieproszona w najskrytsze zakamarki.

A potem zobaczyła, że ciemność ma kształt ludzkich dłoni. Wielu dłoni. Napastliwych, drapieżnych, nienasyconych. Poczowała na sobie zdyszane oddechy tych, którzy już dawno przestali być ludźmi. Kierował nimi tylko instynkt i niepohamowana żądza zaspokojenia własnej chuci, gdy zwabieni zapachem niewinności, ślepo rzucili się na nią niczym horda wygłodniałych psów.

„Splugawiona niewinność smakuje najlepiej”- zwykli mawiać.

Sophie nie wiedziała, ilu ich było - pięciu, dziesięciu, piętnastu. Niecierpliwie zdzierali z niej ubranie, targali włosy, wykręcali ręce. Płakała, dusząc się w spowijającej ją płataninie ciał. W ciemności nie widziała ich twarzy. Leżała przygwożdżona do ziemi i całkowicie bezbronna. W chwili, gdy to sobie uświadomiła, z jej gardła wyrwał się ostatni krzyk rozpacz, błagający o śmierć z najgłębszych czeluści lochu. Wydali z siebie nieartykułowany okrzyk, gdy dotarło do nich, że odzyskała przytomność.

„Teraz dopiero zacznie się prawdziwa zabawa!” - ucieszyli się.

Wiedzieli, że nie będzie w stanie stawiać oporu. Nie im wszystkim.

„Przecież to jeszcze dziecko... — myśleli w zatraconym odruchu człowieczeństwa. — Tym lepiej!”

Chcieli, żeby dobrze to zapamiętała. Twarz Sophie omiółł cuchnący oddech jednego z nich, a zaraz potem poczuła, jak jego język lubieżnie prześlizguje się po jej młodych piersiach.

-To twój pierwszy raz, dziecinko? - szepnął jej któryś do ucha. Jęknęła, gdy opadł na nią całym ciężarem ciała.

- Przywykniesz - wycharczał inny.

Siłą rozwarł szczupłe uda dziewczyny i doświadczając spazmu odrażającej rozkoszy zanurzył między nimi swój brudny, sękaty palec. Poczowała go w sobie, ale to nie zabołało. Zawył głucho z podniecenia i wyciągnawszy go, oblizał. A potem zaczął pośpiesznie manipulować przy własnych spodniach i wiedziała, że tym razem zaboli.

Nagle gdzieś w górze ponad nimi rozległ się huk wyłamywanej kraty i wysoka męska postać zeskoczyła wprost na dno lochu. Światło pochodni w jego ręku błysnęło przelotnie, lecz nie zdążyła go rozpoznać. Z hardym okrzykiem rzucił się na nich i brutalnie przedarł przez otaczające ją kłębowisko ludzkich kreatur. Chwycił za kłaki tego, który był na niej, i podciągnął go w górę. Z lubością zatopił sztylet w jego gardle i przeciągając ostrzem przez całą szerokość, poderznął mu je. Ciepła krew trysnęła na twarz dziewczyny z rozciętej aorty, a rzeźący mężczyzna osunął się na nią bezwładnie, wydając na jej piersiach swe ostatnie tchnienie.

Drugi z nich usiłował odskoczyć na bok, lecz nie zdążył. Intruz bez zastanowienia rozłupał mu czaszkę o kamienny mur. Pozostali próbowali jeszcze uciekać. Na próżno. Nikt nie uszedł spod jego ręki. Ostatni, dygocząc ze strachu, czołgał się w tył i bełkotał coś niezrozumiale. Przybysz chwycił go za gardło, przyparł do ściany i unosząc w górę, jednym cięciem ostrza

wypruł mu wnętrzości. Sophie, widząc to, poczuła mdlący uścisk w żołądku. Rozpaczliwie usiłowała zrzucić z siebie martwe ciało gwałciciela, lecz nie miała dość sił. Podniosła wzrok i zobaczyła, że ktoś nad nią stoi, a płonąca pochodnia oświetliła jego twarz.

- Hagen?! - wykrzyknęła zdziwiona.

Młody wiking jednym ruchem ściągnął z niej zakrwawionego trupa, lecz widząc nagą, drżącą z przerażenia dziewczynę, odwrócił wzrok. Był dzikim barbarzyńcą -bezwzględny i srogim synem Północy, który nie znał strachu ani litości, a jednak na widok tej dziewczyny ścisnęło mu się gardło. To wszystko nie miałoby miejsca, gdyby wtedy w lesie nie dał wciągnąć się w zasadzkę. Popełnił niewybaczalny błąd. Teraz nie był już w stanie odkupić swych win ani zwrócić jej wolności. Ale mógł ją chronić, i poprzysiągł to czynić bez względu na wszystko. Ściągnął z szerokich barków płaszcz i delikatnie ją okrył.

- Ocaliłeś moją niewinność, Hagenie - powiedziała. -Teraz należy ona do ciebie.

Słyszając śmiertelną powagę w jej głosie, zaniemówił. Przez chwilę przyglądał się jej z niedowierzaniem, a potem nagle wszystko zrozumiał.

- Nie wiesz, co mówisz - stwierdził cicho. - To, co cię spotkało, odebrało ci rozsądek.

- Tak myślisz?

- Na Bogów! - zawołał gniewnie. - Przecież jesteś jeszcze dzieckiem!

- Wręcz przeciwnie - odparła ze spokojem. - Dobrze wiem, czego chcę.

Patrzyła na niego z takim wyrazem oczu, że nie był już pewien własnych słów. Pod maską słodkiej twarzyczki kryło się coś, co mógłby nazwać pożądaniem, gdyby nie miała czternastu lat.

Pałaca tarcza słoneczna przesuwiała się po widnokregu, leniwie zmierzając ku zachodowi. Reynard niepostrzeżenie wślizgnął się do miasta, które od północy szerokim łukiem rozciągało się u stóp twierdzy Illion. Jego mieszkańcy korzystali z ochrony jaką zapewniał im diuk Bretanii, i żyli w złudnym poczuciu bezpieczeństwa, które dawała im bliskość zamczyska. Jednak w tych mrocznych czasach wszystko opierało się na pozorach, a opieka Armanda van der Zahra nie była bezinteresowna.

Ceną za dostatnie, spokojne życie były ich córki, które z dobrowolnego przymusu oddawali do twierdzy. Większość przepadała bez śladu, a te, które wracały, miały okaleczone ciała i umysły. Nie wychodziły za mąż. Nie rodziły dzieci. I nigdy nie jadły mięsa... Nikt nie pytał ich, co działo się za murami, a one zabierały ze sobą do grobu mroczną tajemnicę twierdzy. To był niepisany układ, któremu nikt nie miał odwagi się przeciwstawić. Potężne zamczysko górowało nad miastem i pogrążając je w głębokim cieniu, wysysało życie z tych dziewcząt. Jednak dziś na ulicach panował gwar, a ludzie tłumnie ciągnęli na rynek. Łudzili się, że tym razem będzie inaczej.

Reynard bez trudu wtopił się w otoczenie. Włóczęga wspierający się na długim, mocnym kiju nie budził niczyich

podejrzeń, choć stary, postrzępiony płaszcz skrywał rękojeść Nefrytowego Fatum, a głęboki kaptur ocieniał jego czujne oczy. Wtem omal nie zderzył się z mijającą go postacią, która idąc pod prąd, w ostatnim momencie wyminęła wędrowca z zadziwiającą gracją. Ten incydent wyrwał go z chwilowej zadumy i umożliwił mu ucieczkę przed zbliżającym się patrolem strażników.

Podążając za garnącą ulicami gawiedzią, dotarł na rynek, pośrodku którego znajdowała się drewniana platforma przyozdobiona kwiatami i wstążkami. Już z oddali dostrzegł na niej cztery młode pary w odświeżonych strojach. Smukłe i delikatne dziewczęta stanowiły kwintesencję niewinności, a jedyną ich ozdobą były wianki z białych kwiatów.

„Prawdziwe piękno nie potrzebuje przepychu - uświadomił sobie. - Ujawnia się w skromności”.

W najważniejszym dniu swojego życia, stojąc pośród wiwatującego tłumu, budziły zachwyty. Dlaczego więc zamiast emanować szczęściem, rzucały niespokojne spojrzenia w kierunku twierdzy? Ceremonia zaślubin mogła stać się dla nich wybawieniem lub zgubą. Pierwszym dniem nowego życia albo ostatnim, jeśli Armand van der Zahr upomni się o należny mu haracz.

Wtem bramy zamku rozwarły się z hukiem i wymaszerował z nich oddział dwudziestu zbrojnych. Ich równy krok zadudnił ponuro na moście zwodzonym, gdy wkraczali do miasta i zaczęli brutalnie torować sobie drogę wśród stłoczonej na rynku ciżby.

- Rozstąpić się natychmiast! - rzucił hardo kapitan, lecz ludzie niechętnie schodzili im z drogi, gdyż wiedzieli, po co przyszli żołdacy diuka Bretanii.

Reynard w milczeniu obserwował, jak dowódca oddziału wspina się na podest i ruchem ręki nakazuje odprawiającemu ceremonię duchownemu zamilknąć.

- To święty obrządek! - oburzył się ksiądz. - Nie macie prawa!

- Milcz, klecho! - warknął żołnierz. - Jeśli nie chcesz jeszcze dziś stanąć przed swoim Bogiem!

- Nie odważysz się. - Duchowny zastąpił mu drogę, lecz dowódca brutalnie odepchnął go na bok.

- Z rozkazu Armanda van der Zahra - obwieścił donośnym głosem. - Cztery obecne tu panny zostaną zabrane do twierdzy, gdzie będą służyć nowej Pani -Violette de Montraine!

Tłum zafalował niczym wzburzone morze, a gdzieś w głębi rozległy się gniewne okrzyki:

- Nie jej będą służyły!

- Już my wiemy komu!

- To obraza boska!

Niezadowolenie wzmagало się z każdą chwilą, grożąc zarzewiem rebelii.

- Violette nową Panią na zamku? — powtórzył półgłosem Reynard.

Nagle w ścisku tuż obok niego rozległ się zgrzytliwy głos starca.

- O tak, znam ją dobrze... To siła nieczysta!

Wędrowiec odwrócił się i po swej prawej stronie zauważył żebraka, który trzęsącą się dłonią wspierał ciężar ciała na sękatym kiju. Upływ czasu przygiął jego postać do ziemi i bezlitośnie powykręcał stawy rąk i nóg, a jasne niegdyś oczy, tkwiące teraz w pooranej zmarszczkami twarzy, zasnuł bielmem czyniącym zeń ślepego.

- Bredzisz, starcze! - odparł. - Skąd możesz to wiedzieć?!

Dziad w odpowiedzi zarechotał skrzekliwie.

- Wiem, co mówię, wojowniku! Wiele lat służyłem na zamku hrabiego Christophera. Strzeż się jej, bo potrafi robić rzeczy tak straszliwe, że ci się o nich nawet nigdy nie śniło.

- O czym mówisz?

Nagle starzec chwycił go za ramię i pociągając na dół, wyszeptał do ucha:

- Gdy znów go założy, rozpęta się tu prawdziwe piekło!

Reynard wyszarpnął mu się ze zniecierpliwieniem.

- Odsuń się ode mnie! - zawołał. - Starość pomieszała ci zmysły!

- Tak sądzisz? - Bezzębne usta skrzywił złowieszczy uśmiech.

- Już raz to zrobiła. Dawno temu, gdy byłą jeszcze dzieckiem. Kamień na kamieniu się nie ostał, a teraz hrabia znów jej go dał. Sprowadzi zagładę na nas wszystkich, tak jak sprowadziła na swój własny ród!

Staruch wbił w niego na wpół obłąkane spojrzenie nie-widzących oczu, od którego ciarki przechodziły po plecach.

- Nie pozwól jej dotknąć krzyża, wojowniku! Niespodziewanie ostatnie słowo zaintrygowało wędrowca.

- Skąd wiesz, że jestem... wojownikiem? — zapytał w pustkę, gdyż dziwny ślepiec odszedł, wydając z siebie pozbawiony sensu, na wpół zdziecinniały chichot.

Powietrze nad rynkiem przesycone było wzbierającą niczym potężna fala nienawiścią motłochu, która aż dotąd skutecznie tłumiona była przez strach i terror. Od wielu

lat mieszkańcy podzamcza z ponurą rezygnacją godzili się na to, czego nie mogli zmienić. Lęk przed straszliwą zemstą Armanda van der Zahra powodował, że nawet nie próbowali się przeciwstawiać. Aż do dziś.

Jak długo pozwalali już sobą manipulować? - zastanawiali się nieraz. - Ile dziewcząt nigdy nie powróciło zza murów twierdzy?"

Taki stan nie mógł trwać w nieskończoność. To tylko kwestia czasu, gdy ich cierpliwość się wyczerpie, gdyż każdy tyran prędzej czy później zostanie obalony. Ten bunt nie zrodził się w nich nagle - dojrzywał latami, czekając na taki dzień jak dziś, kiedy do wybuchu brakowało już tylko iskry. Wtem dowódca chwycił za rękę jedną z dziewcząt. Opierała się, więc szarpnął mocniej i brutalnie wyrwał ją z ramion narzeczonego.

- Proszę, nie! - jęknęła rozpaczliwie, pamiętając, że jej starsza siostra nigdy stamtąd nie wróciła.

Obojętny na to kapitan bezlitośnie pchnął ją w ręce dwóch towarzyszących mu żołnierzy. Nagle stojący obok chłopak zerwał się z miejsca i krzyknął:

— Nie pozwolę jej tknąć!

W nagłym przypiływie głupiego, młodzieńczego heroizmu rzucił się wprost na dowódcę, lecz nim zdążył zadać pierwszy cios, ostrze błyskawicznie dobytego żołnierskiego miecza przebiło go na wylot. Poczłł chłód stali przenikającej na wskroś przez jego wnętrzości i upadł, a gdy zobaczył własną krew ściekającą na podest, jego oczy rozszerzyły się w wyrazie bezgranicznego zdumienia. Rozległ się przeraźliwy krzyk dziewczyny i w tym momencie pojał, że umiera. Wstrząsnęło nim lodowate zimno, jakiego nie czuł nigdy dotąd, a gęsta ciemność

przesłoniła świat. Konając w kałuży krwi, słyszał tylko jej krzyk, który odtąd towarzyszył mu będzie przez całą wieczność.

Reynard patrzył na to wzrokiem spokojnego obserwatora. Choć jego dłoń w pierwszym odruchu spoczęła na rękojeści miecza ukrytego pod płaszczem, powstrzymał się przed jakimkolwiek działaniem. Widział w swym życiu dość rozlewu krwi, by wiedzieć, że nie warto mieszać się w cudze porachunki.

„To ich problem i sami muszą go rozwiązać” - zdecydował.

On nie mógł zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi. Był zbyt blisko celu. Nagle wśród otaczającego go tłumu zaległa cisza przed burzą.

- Głupcy! - ryknął dowódca. - Nie rozumiecie, że opór jest bezcelowy?!

Odpowiedział mu groźny pomruk zgromadzonego motłochu, który stopniowo potężniał niczym zbliżająca się nawałnica.

- Tak ci się tylko wydaje! - rzucił wojowniczo kolejny z młodzieńców i zaciskając pięści, wysunął się do przodu.

Wtem powstrzymała go szczupła dziewczęca dłoń.

- Kapitan ma rację - rozległ się głos rozsądku. - Opór wobec van der Zahra nie ma sensu.

- Co ty mówisz, Blanchett?! - wykrzyknął zdumiony chłopak, gotów za wszelką cenę bronić swej narzeczonej.

- Spójrz na niego! - zawołała, wskazując na leżące obok martwe ciało. - Nie pozwolę, by spotkało cię to samo! Jeśli spróbujesz się im przeciwstawić, zginiesz, a ulice tego miasta spłyną krwią.

Ona jedna wiedziała, że wojsko van der Zahra jest w stanie stłumić każdą rebelię. Ten człowiek nie cofnie się przed niczym, a w odwecie za powstanie zburzy miasto i wymorduje jego mieszkańców. Zginą wszyscy — mężczyźni, kobiety i dzieci. Rozsądek podpowiadał jej, że życie czterech dziewcząt nie jest warte takiej ceny.

— Proszę czynić swoją powinność - zwróciła się do dowódcy.

— A ja uczynię swoją.

Oniemiały tłum z niedowierzaniem patrzył na dziewczynę, która poświęciła się dla nich bezinteresownie. Wypełniła swój obowiązek, a trzy pozostałe milcząco poszły w jej ślady. Gdy w eskorcie żołnierzy weszły na most wiodący do twierdzy, wzburzony motłoch powoli się uspokajał. Mieszkańcy podgrodzia będą to rozpamiętywać jeszcze przez kilka dni, a potem zapomną, tak jak czynili to zawsze, nie mając odwagi przyznać, że taki stan w gruncie rzeczy im odpowiada. Wszak mieli jeszcze wiele córek.

Zapadający zmrok pogrążył świat w szarej mozaice rozmytych konturów i niewyraźnych światłocieni, ale nim grube, żelazne łańcuchy po raz ostatni ze zgrzytem podniosły most zwodzony, leniwie wtoczyła się na niego fura wyładowana beczkami. Woźnica zatrzymał się w bramie, a dwaj wartownicy pobieżnie sprawdzili ładunek.

Dobrze wiedzieli, że ten, kto w pojedynkę usiłowałby zakraść się do twierdzy, byłby największym szaleńcem na ziemi. Nawet jeśli udałoby mu się dostać do środka, to z tak strzeżonej warowni nie wyszedłby już nigdy. Jej lochy pełne były ludzi, którzy oddaliby wszystko, aby się stamtąd wydostać. Nadaremnie, gdyż to miejsce opuścić można jedynie po śmierci. - Jechać! - krzyknął strażnik.

Woźnica strzelił z bata i ruszył, nieświadomy, że pomiędzy osiami kół wiezie nieproszonego gościa, który wbrew zdrowemu rozsądkowi, za wszelką cenę usiłował wejść prosto w paszczę lwa. Po chwili rozległ się szcęk opadającej kraty i ciężkie wrota zamku zawarły się za nim z nieodwołalną ostatecznością. Czyżby nie był świadom tego, że idealna twierdza jest nie tylko warownią od zewnątrz, ale i pułapką od wewnątrz?

VII

Wieża

Armand van der Zahr samotnie przemierzał spowite mrokiem zamkowe korytarze, a trzymany w ręku kaganek oświetlał mu drogę wśród labiryntu tajemnych przejść i ukrytych komnat, które znał już niemal na pamięć. W bezchmurne, księżycowe noce całymi godzinami przechadzał się po opustoszałych salach niczym upiór niemogący zaznać spokoju.

„Czyżby bezsenność była pokutą tyranów?” - zastanawiał się.

Przez te wszystkie lata zdążył do niej przywyknąć. Chorobliwa ambicja i obsesyjne pragnienie władzy każdej nocy spędzało mu sen z powiek. Ale dziś powód był inny - lubieżny i zakazany, jak żądza, która zrodziła się w nim i niespodziewanie zawładnęła jego umysłem, trawiąc go niczym paląca gorączka. Jak długo już pogrążony w swej samotnej egzystencji nie zaznał ciepła kobiecego ciała? Miesiąc? Rok? A może minęła już cała wieczność, skoro nie potrafił sobie nawet przypomnieć ich imion.

„Czemu niby miałbym je pamiętać? - myślał. - Wszystkie są takie same - przerażone, słabe i uległe. Nie mają w sobie nic fascynującego”.

Dlaczego więc odczuwał dziwny dreszcz na samo wspomnienie ametystowych oczu, patrzących na niego bez cienia strachu - z jawną pogardą i przenikliwością równą jego własnej? Czuł, że to spojrzenie kryje w sobie tajemnicę, a on nie spocznie, dopóki jej nie pozna.

Kroczącej wąskim korytarzem smukłej postaci Armanda van der Zahra towarzyszył przesuwany się po kamiennej ścianie cień. Czy należał do niego samego, czy też twierdza przebudziła się ze swego letargu i kierowała teraz jego krokami, złakniona ludzkiej krzywdy, bólu i cierpienia? Od wieków żywiła się tymi uczuciami, wchłaniając w swe mury negatywną energię i przenosząc ją na tych, którzy żyli w jej wnętrzu. Zmieniała ich w tyranów, zwyrodnialców i morderców, podsycając jedynie nieodłączny pierwiastek zła tkwiący w nich samych. Ludzie sądzili, że van der Zahr stworzył twierdzę, a tymczasem może to sama twierdza stworzyła Krwawego Armanda.

Jakkolwiek wyglądała prawda, diuk Bretanii podążał teraz przed siebie, pogrążony w na wpół świadomym transie, a gdy stanął u wejścia do północnej wieży, nie był już pewien, czy przywiodła go tu obca, tajemna siła, czy też własne przerażająco ludzkie pragnienie. Na progu dostrzegł dwóch zmorzonych snem wartowników i odniósł dziwne wrażenie, jakby coś celowo uśpiło ich czujność. Choć zwykle kazałby ich za to wychłostać, dziś ta opieszałość była mu na rękę.

„Ukarzę ich jutro dla przykładu” - postanowił.

Ostrożnie przekroczył znieruchomiłe ciała i zaczął bezszelestnie wspinać się po krętej spirali schodów wiodących na sam szczyt. Kierowany już tylko instynktem,

niecierpliwie przyśpieszał swój krok niczym wygłodniały pies. Miał w sobie dość pychy i bezczelności, by zawsze sięgać po to, czego pragnął, nawet jeśli oznaczałoby to złamanie wszystkich praw boskich i ludzkich. Bez mrugnięcia okiem lekceważył ład i porządek świata, nie bojąc się kary za popełnione czyny. Czy miał sumienie? Być może. Kiedyś. Teraz byłoby dla niego tylko zbędnym balastem.

Zdyszany, stanął u drzwi w górze wieży i oświetlając je kagankiem, pośpiesznie zdjął zasuwę. Rozległo się energiczne skrzypnięcie i Armand van der Zahr wkroczył do środka niczym do własnych komnat. Violette, siedząc na taborecie odwrócona tyłem do drzwi, drgnęła niespokojnie, gdy w zimnej tafli wysokiego lustra przed sobą dostrzegła ciemną postać. Spodziewała się go, od samego początku domyślając się, dlaczego umieścił ją w tej wieży. Nie było sensu się oszukiwać.

- To zbyt późna pora na odwiedziny - wyrzekła tonem ironii, nieświadoma, że jej chłód stał się dla niego wyzwaniem, które nieopatrznie sama mu rzuciła.

Wąskie usta władcy rozciągnęły się w półuśmiechu, gdy cicho i bez pośpiechu zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę w milczeniu obserwował, jak migotliwe światło świec dyskretnie wydobywa z mroku jej postać, kusząco podkreślając dziewczęce kształty ukryte pod miękką tkaniną nocnej koszuli. Powoli podszedł do arystokratki rozczesującej srebrnym grzebieniem długie pasma jasnych włosów i schwycił ją za przegub dłoni dość mocno, by wreszcie zwróciła na niego uwagę. Ich spojrzenia zetknęły się w gładkiej powierzchni zwierciadła, które bez fałszu ukazywało prawdziwe intencje i demaskowało wszystkie

pozory. Violette знаła już prawdziwy cel jego wizyty, a mimo to zapytała z wyniosłą obojętnością:

- Chcesz czegoś, Armandzie? Pochylił się nad nią i szepnął:
- To, czego chcę, biorę sobie sam.

Poczuła na szyi muśnięcie jego palącego oddechu, a gdy wsunął dłoń w zagłębienie jej dekoltu, przymknęła powieki, usiłując ze wszystkich sił stłumić narastające w niej obrzydzenie do człowieka, którego obciążała winą za śmierć swych bliskich.

- Cierpliwość nie jest twoją mocną stroną - stwierdziła, czując, że jej piersi mimowolnie twardnieją od dotyku szorstkich dłoni mężczyzny, a sutki zaczynają wyzywająco odznaczać się pod cienkim materiałem.

- Nigdy nią nie była. - Roześmiał się ze swobodą i delikatnie zsuwając z jej ramion nocną szatę, świętokradczo odsłonił ich nagość.

Violette podskoczyła jak oparzona i wyrywając mu się, stanęła twarzą w twarz z diukiem Bretanii.

- Jesteś dla mnie zagadką - powiedział. - Piękną i niebezpieczną.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo - syknęła, wbijając weń iskrzące złowieszczym blaskiem źrenice.

Ale Armand nie cofnął się nawet o krok. Bez słowa wpatrywał się w nie niczym zahipnotyzowany i w tym momencie Violette zrozumiała, że jej misterna gra pozorów zawiodła, a klęska jest nieunikniona. Chłód, dzięki któremu dotąd udawało jej się skutecznie trzymać mężczyzn na dystans, tym razem zadziałał jak magnes. Armand van der Zahr rozszyfrował ją bez trudu, tak jakby było mu to pisane.

- Co się ze mną stanie? - spytała z rezygnacją w głosie.

- To proste - odparł. — Zostaniesz nową panią na zamku Illion.

Na jej twarzy odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

- Chcesz się ze mną ożenić?!

Słyszając to, władca roześmiał się arogancko.

- Po co?! - zawołał. - Skoro mogę cię adoptować! Tym sposobem osierocona córka heretyka znajdzie nowego opiekuna, który w świetle prawa przejmie w posiadanie jej ziemie, a wydając ją odpowiednio za męża, znacznie poszerzy swe wpływy. Wszyscy zobaczą w tym gest miłosierdzia i stwierdzą, że taka była wola Boga.

- Twoja wola, Armandzie - poprawiła z naciskiem Violette, czując wzbierający w niej gniew.

Teraz wydawało jej się, że poznała już cały jego plan, obmyślony z szatańską przebiegłością. Nie wiedziała tylko, jakie miejsce zajmuje w nim druga z córek de Montraine'a.

- Co zamierzasz zrobić z moją siostrą?

- Ona nie jest mi potrzebna. Pozostanie tam, gdzie przebywa obecnie.

- To znaczy gdzie?

Armand uśmiechnął się tajemniczo.

- Bądź rozsądna, a się dowiesz. Może nawet pozwolę ci się z nią zobaczyć.

Violette, słyszając ten podły szantaż, podeszła do drzwi i energicznym ruchem otworzyła je na oścież.

- Wynoś się!

Pewnym krokiem podszedł do niej.

- Mogę wyjść, jeśli tego sobie życzysz - powiedział. -Ale wtedy sprawię, że twoja młodsza siostrzyczka jeszcze

tej nocy trafi do moich komnat i przekona się, czym jest prawdziwe cierpienie.

Violette zacisnęła dłonie, głęboko wbijając w nie paznokcie. Armand van der Zahr właśnie przełamał jej ostatnią linię oporu i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- A więc rób to, co masz robić - wyrzekła. - Zanim w oczach prawa staniesz się moim ojcem.

Powoli zamknął drzwi za jej plecami.

- To akurat niczego nie zmienia.

Gwałtownie przyparł ją do nich i bezwstydnie wsunął ręce pod brzeg jej sukni, przemieszczając je w górę cal po calu. Widziała, jak ciemne dłonie Armanda przesuwają się po białej skórze jej szczupłych ud coraz wyżej i coraz dalej - docierając w końcu tam, gdzie ich lubieżny dotyk sprawił, że poczuła rozkoszny dreszcz, a z jej gardła wyrwał się stłumiony jęk. Miała wrażenie, jakby już kiedyś widziała te dłonie - silne, szorstkie, zmysłowe.

Próbowała się bronić, lecz Armand ze straszliwą siłą przygwoździł ją do drzwi i chwytając mocno w pasie, uniósł w górę jak piórko, a potem błyskawicznie rozchylił jej uda i wszedł w nią niczym profanujący świątynię intruz, bezwzględny zdobywca dający upust swej mrocznej żądzy. Nie dbał o to, że sprawia jej ból, czując jedynie pulsujące w swych lędźwiach pragnienie, by posiąść ją na własność, całkowicie, bez reszty. Im mocniej mu się opierała, tym bardziej stawał się brutalny. W szale uniesienia zaczął zdzierać z niej nocną koszulę, a widok młodych, cudownie jędrnych piersi w jednej chwili odebrał mu panowanie nad sobą.

Violette szarpała się rozpaczliwie, bezsilnie tłukąc pięściami w twarde jak kamień tors Armanda, lecz on w ułamku

sekundy bezlitośnie wykręcił jej rękę, tak by nie była już w stanie wyrwać się z jego objęć. Do oczu cisnęły jej się łzy goryczy i upokorzenia, zacisnęła więc mocno powieki tak, żeby ich nie dostrzegł. Miała w sobie jeszcze na tyle godności, by nie dawać mu tej satysfakcji. W głębi ducha żałowała teraz swej decyzji, jednak było już za późno. Sama dokonała wyboru. Mogła być jedynie wdzięczna losowi za to, że Armand van der Zahr nie był jej pierwszym mężczyzną. Siedem lat wcześniej Jean odebrał jej niewinność, a ona oddała mu się z miłości, nie z przymusu.

Znienacka poczuła przenikający ją dreszcz i odkryła, że staje się on niemal przyjemny. Przymknęła oczy i odchylając w tył głowę, mimowolnie zatraciła się w uczuciu dzikiej rozkoszy, które zaczęło ogarniać jej nagie, drżące ciało, gdy diuk Bretanii bez opamiętania zagłębiał się w nie coraz mocniej, szybciej i głębiej. Nie chciała z tym walczyć. Tak było łatwiej.

Wtem przed jej oczami pojawił się obraz zupełnie innego mężczyzny i w pierwszym odruchu logiki sądziła, że to Jean, ale po chwili ze zdumieniem odkryła, że widzi w nim Reynarda. Pozwoliła, by ukryte pragnienia wzięły w niej górę, i z cichym westchnieniem przywarła do mężczyzny, w którym nie rozpoznawała już Armanda, a gdy oplótła długimi nogami jego biodra, van der Zahr był już pewien, że nigdy nie wyda jej za męża.

„Zostanie tutaj, ze mną. Na zawsze” — poprzysiągł sobie.

Ich ciała zespoliły się w odwiecznym akcie, a ciszę nocy przerywały zdyszane oddechy, które wraz z kolejnymi falami rozkoszy przerodziły się w głuche jęki. I kiedy dla Armanda nastąpiła chwila ostatecznego spełnienia,

kamienne mury wieży wypełnił nie tylko jego krzyk, ale i jej.

Armand van der Zahr nie był jedynym, który błąkał się tej nocy po mrocznych czeluściach twierdzy Illion. Chłodne światło księżyca sączyło się do jej wnętrza przez wysokie gotyckie okna, zalewając srebrzystym blaskiem marmurowe posadzki niezliczonych sal i korytarzy. Tajemna aura pełni księżyca od zawsze rozbudzała w ludziach ukryte pragnienia i tęsknotę za tym, co było dla nich nieosiągalne. Jego blada poświata wydobywała teraz z ciemności postać rycerza, który dawno temu zaprzedał własne człowieczeństwo, by przeżyć, a dziś ofiarnie służył temu, który uczynił zeń demona wojny i potwora równego sobie.

Dlaczego to robił? Z wdzięczności? Z poczucia obowiązku? A może wypełnianie bestialskich rozkazów i patrzenie na ludzką krzywdę sprawiało mu chorą, wynaturzoną satysfakcję. Nikt nie mógł wiedzieć, co kryło się za spojrzeniem jego martwych źrenic, ani co sprawiało, że z każdym dniem stawał się coraz bardziej okrutny, bezwzględny i niehumaniczny. Starcy powiadają, że miłość odmienia ludzi. Owszem. Ale on nie potrafił kochać jak inni. W jego mrocznym sercu wznosił się wichur namiętności, który sprawiał, że byłby zdolny zrównać z ziemią i obrócić w pył wszystko, co stanie mu na drodze do tej, która stała się ucieleśnieniem jego ideału. Violette była dla niego aniołem, zapomnianym przez Boga i straconym na ziemię. Nigdy dotąd nie spotkał kogoś takiego - istoty równie czystej, pięknej i doskonałej. Widział ją taką, jaką chciał widzieć, a nie taką, jaką była naprawdę.

Gdy minął ciała śpiących strażników i wkroczył do północnej wieży, nie spodziewał się, że ktoś go uprzedził. Pokonując ostatnie stopnie, zatrzymał się w pół kroku i ze zdumieniem patrzył na uchylone drzwi, obok których leżała odrzucona zasuwka. Z wnętrza komnaty sączył się przez wąską szparę nikły snop światła, a wraz z nim do uszu rycerza dobiegała nocna rozmowa, tocząca się między dwojgiem ludzi, których zetknięła ze sobą nienawiść i mroczna fascynacja.

Nagle drzwi z impetem otworzyły się na całą szerokość i Albin błyskawicznie cofnął się w mrok. Niezauważony, obserwował z ukrycia, jak Violette de Montraine lodowatym tonem każe wynosić się intruzowi, a Armand van der Zahr podchodzi do niej i szepcząc coś na ucho, powoli zamyka drzwi za jej plecami. Albin odruchowo wyciągnął rękę, by je zatrzymać, lecz zawahał się, i ta jedna chwila zaważyła na wszystkim. Drzwi zatrzasnęły się głucho i nieodwracalnie, a on został sam w otaczającej go ciemności, wypełnionej odgłosami cichego gwałtu.

Nie potrafił sprzeciwić się van der Zahrowi. Bezwolnie pozwolił więc, by ten odebrał mu jedyną, którą ośmielił się pokochać. Jego umysł pograżył się w otchłani wypełnionej niemym krzykiem i jękiem potępienia, a kolana ugięły się pod ciężarem bezsilności. Nie mógł pojąć, dlaczego się nie opierała, nie krzyczała, nie broniła? Czy to zmusiłoby go do działania?

„Może była zbyt dumna, a może zwyczajnie nie miała wyboru” - pomyślał w głębi ducha.

Nagle przestała być w jego oczach uosobieniem niewinności. Diuk Bretanii zmienił to raz na zawsze, obracając w pył wszystkie pragnienia rycerza, który przez lata na ślepo wypełniał każdy jego rozkaz. Z ledwością zdołał stłumić w piersi głucho

zwierzęce wycie, gdyż po raz pierwszy w życiu poczuł, że go nienawidzi.

Gdy tylko wóz wtoczył się do wnętrza stajni, wędrowiec zwinnie wysunął się spomiędzy osi kół i niepostrzeżenie odskoczył na bok. Czekał w ukryciu, aż woźnica zsiądzie z kozła i bez pośpiechu zajmie się wyładunkiem beczek, by móc dyskretnie przedostać się na dziedziniec. Tam pod osłoną nocy zaczął przemykać w kierunku mieszkalnej części zamku, starając się trzymać z daleka od świateł pochodni i czujnych oczu strażników.

Dochodziła północ, a wisząca wysoko na niebie blada tarcza księżycza zalewała jasną poświatą niemal całą połąć dziedzińca, znacznie utrudniając mu poruszanie. Kryjąc się w mroku, dostrzegł posepny zarys północnej wieży, sterczącej samotnie po przeciwnej stronie murów obronnych, a jego uwagę zwróciło migotliwe światło kaganka, pojawiające się kolejno w coraz wyższych oknach wieży. Reynard miał niejasne przeczucie, że właśnie tam powinien szukać Violette, i chyba domyślał się już, kto wspina się po krętej spirali schodów.

„Jeśli ją tkniesz, przysięgam, że cię zabiję” — warknął w myśli.

Przychodził mu na myśl tylko jeden sensowny powód, dla którego diuk Bretanii miałby zakradać się nocą do najwyższej komnaty wieży. Nagle płomień zgasł i Reynard zdał sobie sprawę, że musi się śpieszyć, inaczej będzie za późno. Zacisnął z wściekłości zęby i ruszył naprzód, czując, że ta przekłeta twierdza zastawia na niego pułapkę. Nawet jeśli wiedział już, gdzie szukać Violette,

to dotarcie tam bez konfrontacji ze strażnikami graniczyłoby z cudem. Niepostrzeżenie zbliżył się do wrót zamku i korzystając ze zmiany warty, zręcznie wślizgnął się do środka. Idąc przed siebie, coraz bardziej zagłębiał się labiryncie przejść i korytarzy, które wiodły go donikąd. Klucząc w gęstych ciemnościach, stracił orientację i po chwili zrozumiał, że zabłądził. Jakaś przemożna siła nie pozwalała mu się stąd wydostać i teraz wiedział już, co mieli na myśli mieszkańcy podgrodzia, kiedy mówili, że ludzie po prostu tu znikają. Wędrowiec zatrzymał się i zebrał myśli, usiłując ze wszystkich sił przypomnieć sobie, co należy zrobić w takiej sytuacji.

„Jeśli zabłądzisz w labiryncie, skracaj zawsze w tę samą stronę” — zacytował.

Będzie miał więc okazję sprawdzić, ile warte jest w praktyce stare chińskie przysłowie.

Przyśpieszył kroku i skręcił w prawo, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. Przemierzał w biegu kolejne korytarze i miał wrażenie, że wszystkie wyglądają tak samo. Znów odbił w prawo i nagle stanął na wprost schodów wiodących na piętro.

„Wyjście!” - pomyślał uradowany.

Rzucił się w górę i wypadając z nienacką na oświetlony płonącymi pochodniami korytarz, przypadkowo potracił ramieniem stojącą przy ścianie starą zbroję. Zachwiała się groźnie, by za moment runąć z hukiem na kamienną posadzkę, lecz w ostatniej chwili zdążył ją przytrzymać. Czując nagłą ulgę, powoli wypuścił powietrze z płuc. Wtem tuż przed nim z impetem otworzyły się drzwi i dwóch żołnierzy wymaszerowało przez nie, prowadząc dziewczynę zakutą w łańcuchy.

„Violette?!“ - Rozpoznał ją.

Reynard na chwilę zamarł w bezruchu, a potem odruchowo skrył się za metalowym pancerzem zbroi.

„Jak mogłem się pomylić?“ - zachodził w głowę.

Nie była w wieży. Trzymali ją tu pod strażą i w kajdanach, jakby się czegoś bali. Szła pomiędzy nimi w swojej zniszczonej wrzosowej sukni, a jasne pasma długich włosów wypływały spod zarzuconego na głowę płóciennego worka. Reynard nie miał pojęcia, dokąd ją prowadzą, i gnany złymi przeczuciami, podążył w ślad za eskortą. Ukradkiem wspiał się po kamiennych stopniach na szczyt masywnej, ośmiokątnej baszty i wszedł na jej płaski dach, okolony pod gołym niebem zębami niskiego muru. Tam dostrzegł czekającego już na nich kata z toporem w ręku, którego twarz zasłaniała skórzana maska. Dwaj żołnierze złożyli głowę Violette na kamiennym podwyższeniu, zbroczonym zaschniętą krwią ludzi, którzy stracili tu życie, i wtedy nagle dotarło do niego, że ta baszta jest miejscem straceń, a za chwilę odbędzie się kolejna egzekucja.

- Z rozkazu Armanda van der Zahra zostaniesz tej nocy stracona za zbrodnie, które popełniłaś - wygłosił kat i ruchem ręki kazał jednemu ze strażników ściągnąć z jej głowy szmaciany worek.

Opadające kosmyki włosów zasłoniły twarz Violette, gdy żołnierze skrepowali ją łańcuchami i przykuli do podestu.

- Ale nie lękaj się, dziecko - rzekł oprawca. - Bóg wybacza wszystkim.

Reynard patrzył, jak unosi w górę ciężki topór, i wiedział już, że nie może na to pozwolić. Musi ocalić ją jeszcze ten jeden raz.

- Stój! - krzyknął na cały głos i w tej samej chwili ostrze zawisło nieruchomo nad głową Violette.

Kat zawahał się, i to wystarczyło, by Reynard wyskakując z mroku, błyskawicznie powalił go i wytrącił z ręki oprawcy ciężki topór. Strażnicy chcieli rzucić się na intruza, ale obezwładnił ich, nim zdążyli sięgnąć po broń. Pochylił się nad leżącym na ziemi toporem i już zamierzał go podnieść, gdy nagle rozległ się cichy, niepokojący chichot. Wędrowiec rozejrzał się wokół i nagle zdał sobie sprawę, że ten dźwięk dochodzi od strony skrupowanej dziewczyny. Kołysała opuszczoną głową niczym obłąkana, a z jej piersi dobywał się zduszony śmiech.

- Violette?

Reynard zbliżył się do niej ostrożnie i odgarniając pasma długich włosów, odsłonił jej twarz. W tym samym momencie z jego piersi wyrwał się przeraźliwy krzyk odrazy i rozpacz, gdy zamiast pięknych, otoczonych wstęgą ametystowej tęczy żrenic ujrzał puste, płaczące krwią oczodoły, z których gorącym żelazem wyłupiono oczy. Nagle zabrakło mu tchu i bezsilnie opadł na kolana, odwracając wzrok.

- Dlaczego pozwoliłem ci wejść do tej przeklętej twierdzy?! - jęknął. - Teraz już wiem, że Armand van der Zahr nie jest człowiekiem, lecz potworem, skoro uczynił ci coś takiego.

- To nie Armand van der Zahr wyłupił mi oczy - zachichotała, aż skóra mu ścierpła. - Sama to sobie zrobiłam, żeby odpokutować za grzechy. Bóg wie, że nie chciałam jej udusić. On mi wybaczy.

Reynard podniósł oprzytomniały wzrok i spojrzał na nią uważnie.

- Kogo nie chciałaś udusić?

- Mojej córeczki - szepnęła. - Chciałam ją chronić, a to był jedyny sposób. Nie mogłam pozwolić, by trafiła do twierdzy.

- Jesteś obłąkana - wykrztusił z niedowierzaniem.

- Tak jak wszystkie, które stamtąd wróciły. - Zaśmiała się cicho.

Wtem dotarło do niego, że to nie Violette, a jedynie kobieta łudząco do niej podobna. Twierdza zastawiła na niego śmiertelną pułapkę, która właśnie się zatrzasnęła.

- Jeśli ty nie jesteś Violette, to gdzie ona jest?! - zawołał, zrywając się na równe nogi.

- Jest tutaj - rozległ się czyjś donośny głos. - Ze mną.

Reynard powoli odwrócił się, spojrział w górę i na wąskim balkonie sąsiedniej wieży dostrzegł postać obserwującego egzekucję Armanda van der Zahra, który w jednej dłoni trzymał płonąca pochodnię, a drugą przyciskał do siebie prawdziwą Violette de Montraine. Stała nieruchomo ze spuszczonego wzrokiem i Reynard wiedział już, że się spóźnił. Jej piękne, nagie ciało okryte było jedynie zwiewnym, lnianym prześcieradłem, a duma i utracona godność nie pozwalały jej podnieść oczu na wędrowca.

„Obyś był przeklęty, Armandzie van der Zahr! - złorzeczył mu w głębi serca.- Tak jak przeklęty jest dzień, w którym przeznaczenie na zawsze połączyło twój i mój los”.

Diuk Bretanii spojrział w pałające nienawistnym blaskiem oczy młodzieńca, którego widział po raz pierwszy w życiu, i nagle przeraził się, gdyż zdał sobie sprawę, że widzi w nich odbicie swoich własnych.

- Kim jesteś, że miałeś odwagę tu wtargnąć?! - zagrzemiał z wściekłością.

- Przemierzyłem pół świata, by odebrać ci to, co do ciebie nie należy, i sprawić, byś zapłacił za swe czyny!

Władca spojrział na niego z drwiną, która kryła czający się w jego oczach strach.

— Chyba nie zdajesz sobie sprawy z własnego położenia!

Odrzucił na bok pochodnię i wolną ręką chwycił za wiszący przy ścianie sznur. Pociągnął go energicznie i w całej twierdzy rozległ się dźwięk dzwonu bijącego na alarm. W mgnieniu oka zapłonęło dziesiątki pochodni, a uśpiona dotąd warownia ożyła tupotem żołnierskich butów. Oddział straży przybocznej błyskawicznie wtargnął na szczyt baszty i odciął intruza od wyjścia. Mury, blanki i wieże obsadzili wyborowi łucznicy, a już po chwili rozległ się dźwięk napinanych cięciw. Reynard wiedział, że wszystkie strzały mierzą prosto w jego pierś i zrozumiał, że nie wyjdzie stąd żywy. Przegrał. Chciał wyrwać Violette ze szponów van der Zahra, a dał się podejść jak dziecko.

„Głupcze! - powiedział do siebie w duchu. - Już jej nie uratujesz. Nie zdołasz nawet ocalić samego siebie”.

— Straże! - krzyknął van der Zahr. - Brać go! Żołnierze rzucili się w stronę Reynarda i natychmiast

otoczyli go półokręgiem. Stał pośród nich nieruchomo z przymkniętymi powiekami i niemal do złudzenia przypominał ich dowódcę. Zastygli w bezruchu, niepewni, czy pod maską spokoju nie kryje jakiegoś podstępu.

- Poddaj się! - rzucił kapitan straży. - Nie wydostaniesz się stąd!

Wiedział, że jeśli tylko spróbuje sięgnąć po broń, strzały łuczników natychmiast przebiją jego pierś na wylot.

A jednak żołnierze z jakiegoś powodu nie mieli odwagi go zaatakować. Ten impas nie mógł trwać wiecznie.

- Na co czekacie?! - zawołał zniecierpliwiony władca. - To rozkaz!

Strażnicy nagle oprzytomnieli i jak jeden mąż ruszyli wprost na niego. Błyskawicznie podjął decyzję. Nie miał już innej możliwości, a to była jego jedyna szansa. Po raz ostatni spojrzął na Violette i wyczytał z jej oczu wszystko.

- Wróć! — krzyknął i odwracając się na pięcie, desperacko rzucił się przed siebie.

Nim usłyszał za sobą cichy świst nadlatujących strzał, jednym susem wskoczył na mur i wybił się w powietrze, by w chwilę później runąć w dół. W tym samym momencie rozległ się przeraźliwy krzyk Violette, gdyż zobaczyła, jak na tle ogromnej tarczy księżycy dosięga go pierwsza zbłąkana strzała.

- Nie!

Wyrwała się z objęć Armanda i przechyliła przez kamienny mur, wyciągając szczupłą dłoń, ale ciało wędrowca, przeszyte nagłym spazmem bólu, wygięło się w łuk i bezwładnie runęło prosto w mroczną paszczę fosy. Spadając, słyszał czyjś krzyk i wydawało mu się, że ten upadek będzie trwał w nieskończoność.

„Wybacz mi, Shu-Lien” - błagał w myślach ukochaną. -Już do ciebie nie wrócę”.

Gdy w końcu uderzył o twardą powierzchnię wody, był już tylko w połowie świadomy tego, co się z nim dzieje. Czeluści zamkowej fosy pochłoneły go bezpowrotnie. Poczuł, że zagłębia się w otchłań niebytu, a jego ciałem zawładnął nieprzenikniony chłód. Widząc piękną kobietę o pustych oczach i białych jak śnieg włosach, spytał:

- Kim jesteś?

- Mam na imię Śmierć - odrzekła, a on uśmiechnął się błogo.

Dobrze pamiętał z dzieciństwa dotyk jej lodowatych dłoni i mroźny oddech.

- A więc znalazłaś mnie. Nareszcie.

Łagodnym ruchem martwych palców zamknęła jego powieki.

- Dam ci ukojenie, którego szukasz.

Jego gasnący umysł pogrążył się w mrocznych odmętach wspomnień i powrócił do czasów, gdy jako mały chłopiec po raz pierwszy spotkał tę, którą nazwał Panią Lodowej Krainy. Starzy ludzie powiadali, że tamtego roku zima była długa i sroga, a takiego śniegu i mrozu nie pamiętano od lat. Gruba warstwa białego puchu zakryła pola i doliny, lód skuł górskie jeziora, a wartkie nurty rzek zamarły. Ludzie tłoczyli się w ciasnych, przepełnionych chatach, ale wielu z nich pomarło z głodu, zimna i wycieńczenia. Najgorszy okres nastąpił pod koniec zimy, gdy wyczerpały się zapasy ryżu i drewna, a ludzie pozostawieni byli własnemu losowi.

W tym właśnie czasie w jednej z chińskich prowincji młoda kobieta imieniem Mei z synkiem na ręku usiłowała przedostać się z jednej wioski do drugiej. O zmroku zaskoczyła ją śnieżycą i straciwszy orientację, zabłądziła w górach. Przeczekała w lesie zawieruchę i gdy nad ranem wiatr ucichł, ruszyła w dalszą drogę, ale świeży śnieg zasypał jej drobne ślady i pokrył wszystko wokół. Nie wiedziała, skąd przyszła ani dokąd powinna się udać. Wiedziała tylko, że musi iść dalej.

Przemierzając zdradziecką górską kotlinę, starała się

stapać bardzo ostrożnie. Nagle usłyszała, jak cienka pokrywa lodu pęka, a w chwilę później śnieg rozstał się pod jej stopami i runęła z dzieckiem wprost do lodowej szczeliny. Spadając w przepastną, mroczną gardziel, myślała tylko o tym, by go chronić, i otoczywszy synka ramionami, uderzyła o skaliste dno czeluści. Rozległ się cichy trzask łamanych żeber i gruchotanych kości. Jęknęła głucho.

- Mamo, co ci się stało? - obudził ją przerażony dziecięcy głos.

- To nic, synku - skłamała, czując, jak bolesny kurcz przeszywa całe jej ciało.

Usiłowała się podnieść, lecz nie była w stanie zrobić tego o własnych siłach — złamana ręka dawała o sobie znać rwącym bólem. Mei powiodła wzrokiem wzdłuż pionowych ścian aż do samej góry, gdzie nikły snop światła sączył się przez wąską szczelinę do głębokiej na kilkadziesiąt stóp groty. W tym momencie dotarło do niej, że nie ma już żadnej nadziei.

Niemal nadludzkim wysiłkiem zdołała doczołgać się do masywnego, wyrastającego pośrodku jaskini głazu i oparła się o niego plecami. Była zupełnie sama - nie miała męża, rodziny ani nikogo, kto mógłby jej szukać. Dlatego wiedziała, że nikt nie przyjdzie jej z pomocą. Słabym ruchem ręki przywołała do siebie synka i przytuliła go, kryjąc łzy.

- Co teraz z nami będzie? — zapytał poważnym tonem siedmioletni chłopiec.

W głębi ducha czuła, że ich los jest już przesądzony, ale nie miała odwagi mu tego powiedzieć.

- Ktoś nas uratuje - odparła łagodnie i uśmiechnęła się. - Jestem tego pewna.

Kłamała tak, jak tylko matki potrafią to robić, gdy ich miłość przewyższa wszystko.

- A jeśli nas tu nie znajdą? - zmartwił się. Poruszyła się nieznacznie, ale jej twarz natychmiast wykrzywił grymas cierpienia.

- Znajdą - zapewniła.—Tylko pamiętaj, że musisz być silny, Reynardzie.

Z każdym kolejnym oddechem czuła w piersi coraz dotkliwsze ukłucia bólu, ale nie mogła wiedzieć, że pęknięte żebro przebiło jej płuco niczym ostrze sztyletu. Od zawsze miała słabe zdrowie. Była krucha, wątła i delikatna, a wszyscy wokół przepowiadali jej rychłą śmierć. Mimo to przetrwała i nauczyła się żyć z własną ułomnością. Dlatego teraz też nie mogło zabraknąć jej sił. Musiała chronić swoje dziecko za wszelką cenę. Tak długo, jak to możliwe.

Wiedziała, że skromne zapasy jedzenia i wody, które niosła ze sobą, nie wystarczą na długo, ale to było bez znaczenia. Nocny chłód zabije ich, zanim zdążą się wyczerpać. Wraz z nadchodzącym zmrokiem po raz ostatni objęła chłopca i ukołysała go do snu, gładząc czułą dłonią jego zmierzwione włosy. Dokoła robiło się coraz ciemniej i zimniej, a przez otwór w górze groty wpadały do środka pojedyncze płatki śniegu. Mei, drżąc z przejmującego chłodu i wyczerpania, obserwowała, jak napływające z zewnątrz mroźne powietrze zmienia jej ciepły oddech w biały opar. Czekwała.

Chłopiec zasnął wtulony ufnie w opiekuńcze ramiona matki, a po kilku godzinach obudził go nagły, przenikliwy chłód. W zalegającej dokoła ciszy słyszał tylko własny oddech. Drgnął niespokojnie, ale sztywne i skostniałe ramiona

matki krępowały jego ruchy. W tej samej chwili zaczęło świtać i do jaskini wsączył się promień dziennego światła. Podniósł wzrok, by zobaczyć jej twarz, i zamarł, a jego serce po raz pierwszy przestało bić. Po prostu zatrzymało się.

Wiedział, że nie zapomni tego widoku do końca życia. Patrzyła na niego przez martwe, upiornie szkliste źrenice, a jej posiniałe usta zdawały się jeszcze coś mówić. Chciał krzyknąć, lecz zabrakło mu tchu. Usiłował wyrwać się z tych makabrycznych objęć, ale nie miał dość sił, by rozewrzeć zamrożone ramiona, które oddały mu własne ciepło. Był przerażony.

Nie rozumiał, czym jest śmierć, ani dlaczego jego matka stała się nagle nieruchoma i tak obca, jakby w ogóle jej tu nie było. Wtem wyraźnie wyczuł czyjaś obecność, a na dnie jaskini zrobiło się wręcz lodowato. Przestrzeń wokół niego wypełniło mroźne tchnienie tej, która nadchodziła. Łzy w momencie zamarzły na końcach jego dziecięcych rzęs, zamieniając się w małe kryształki lodu, a gdy stanęła za jego plecami, włosy zjeżyły mu się na głowie. Nigdy dotąd nie czuł tak przeraźliwego chłodu. Nie miał odwagi, by odwrócić wzrok, ale w końcu znalazł ją w sobie i spojrzał prosto w puste, pozbawione źrenic oczy Śmierci, przypominającej wyglądem nieludzko piękną kobiecą postać.

- Chodź - odezwała się głosem łagodnego wiatru, który nie pochodził już z tego świata. — Zabiorę cię ze sobą.

Wyciągnęła do niego trupio bladą dłoń o niesamowicie długich, szczipłych palcach i poczuł, jak coś przyciąga go do niej z niepojętą siłą. Pierwotny lęk przed nieznanym ustępował w umyśle chłopca nienaturalnej fascynacji, gdy z wolna pograżał się w jej martwych, wszystko widzących

oczach. Jego opór słabł, oddech stawał się coraz wolniejszy, krew przestawała krążyć, a dłonie i stopy zaczynały zamarzać. Umierał, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Spojrzał na matkę raz jeszcze, rozpaczliwie szukając u niej pomocy.

— Już jej tu nie ma. To tylko pusta skorupa — wyrzekła Pani Lodowej Krainy, uśmiechając się. - Teraz jesteś mój.

Pochyliła się, by złożyć na jego ustach śmiertelny pocałunek, który zabierze ze sobą ostatni oddech chłopca. Wtem gdzieś u góry rozległy się ludzkie nawoływania, a w otworze lodowej szczeliny nad jego głową pojawiła się męska postać.

— Jeśli ktoś tam jest, niech się odezwie!

Chłopiec nagle drgnął i przypominając sobie słowa matki, ostatkiem sił wyrwał ze ściśniętego gardła krzyk, który odbił się echem od ścian jaskini.

— Słyszycie?! Tam na dole ktoś jeszcze żyje! Szybko, dajcie liny i pochodnie!

Nim się zorientował, biała mara zniknęła. Rozpłynęła się w powietrzu albo pierzchła w mrok, by czekać w ukryciu na właściwy moment. Mężczyźni z wioski, którzy szukali w górach młodej kobiety z dzieckiem, po krótkim czasie wydobyli z dna jaskini dwa wtulone w siebie ciała — matki i syna. Ona była już martwa, lecz ku ich zdumieniu dziecko wciąż żyło. By ich rozdzielić, musieli użyć siły, a w pamięć siedmioletniego chłopca na zawsze wrył się odgłos łamania kości jej rąk. Tego dnia Śmierć naznaczyła go swym piętnem i zrozumiał, że nie można uciec przed własnym losem, a dłoń przeznaczenia dosięgnie go prędzej czy później.

Tymczasem prawdziwa Violette de Montraine przemierzała zamkowy korytarz, eskortowana przez dwóch uzbrojonych strażników, którzy oświetlali jej drogę łuczywami. Była przeraźliwie blada, a drżącymi dłońmi kurczowo przyciskała do siebie lniany materiał prześcieradła, którym Armand van der Zahr w pośpiechu otulił jej nagie ciało, gdy do jego uszu dobiegły pierwsze odgłosy walki rozgrywającej się na szczycie sąsiedniej wieży. Chwycił ją za rękę i siłą wyciągnął na wąski, kamienny balkon, z którego rozciągał się widok na dziedziniec i basztę straceń. Tam właśnie dostrzegła Reynarda, który stał nieruchomo pośród otaczających go żołnierzy i patrzył na nią smutnym, pozbawionym złudzeń wzrokiem. Wiedział już, że tym razem nie zdołał jej ochronić.

Ale dlaczego aż tak bardzo mu na tym zależało? Czemu gotów był ryzykować własne życie, by ją ratować? Czy działał tylko pod wpływem impulsu? A może jego krokami kierowała już zupełnie inna siła — głęboka i niepohamowana, niczym tęsknota z wolna przeradzająca się w uczucie, do którego we własnych oczach nie miał prawa.

„To nie może być prawda” - oszukiwała samą siebie.

A jednak... Na tę myśl nogi same ugięły się pod Violette i omal nie upadła. Jeden z żołnierzy chciał ją podtrzymać, lecz syknęła tylko:

— Precz z łapami!

Wciąż odczuwała wstręt do mężczyzn, a każdego z nich podświadomie utożsamiała z diukiem Bretanii. Gdy dotarli w końcu przed drzwi jej komnaty, drugi ze strażników otworzył je i brutalnie wepchnął ją do środka.

- Dziwka! - mruknął tak, by usłyszała, i zatrzasnął drzwi.

Straciwszy równowagę, Violette z impetem runęła na zimną kamienną posadzkę, a po jej bladych policzkach spłynęły łzy. Podparła się drżącymi rękami i z całych sił zacisnęła powieki, by stłumić ogarniający ją szloch. Znajdowała się na granicy hysterii i wiedziała, że jeśli ją przekroczy, nie będzie już powrotu.

„Nie mogę tracić zimnej krwi - myślała. — Nie teraz”.

Więc kiedy?

„Kiedy można się poddać?” - Przypomniała sobie, jak dawno temu zadała to pytanie własnemu ojcu.

„Gdy stracisz wszystko, co ma dla ciebie jakąkolwiek wartość” - odrzekł wówczas.

I nagle zrozumiała, że nie ma już nic. Armand van der Zahr odebrał jej wszystko - spalił rodzinny gród, zagarnął ziemię, wymordował bliskich. Była ostatnią dziedziczką wygasłego rodu, a ludzie wierzyli, że to ona sprowadziła na niego zagładę. Na domiar złego znalazła się na łasce człowieka, którego obwiniała za wszystkie swe cierpienia. To on zamknął ją w wieży, która miała być dla niej złotą klatką, lecz stała się więzieniem.

Choć umysł Violette wciąż spowijała gęsta mgła, powoli docierało do niej, że tej nocy zginął jedyny człowiek, w którym mogła znaleźć oparcie - tajemniczy wędrowiec, który pojawił się znikąd, a mimo to w jakiś dziwny sposób potrafił wypełnić odwieczną pustkę wokół niej. Violette czuła ogarniającą ją rozpacz - czarną i bezdenną niczym czeluści fosy, która pochłonęła ciało wojownika. W jej mrocznych odmętach znalazł tę, której na próżno szukał w walce — Śmierć. Tylko ona mogła dać mu wytchnienie

i raz na zawsze uwolnić z okowów własnego ciała, które stało się dlań ciężarem.

„Zginął przeze mnie - uświadomiła sobie. - Najpierw Jean, a teraz on”.

Śmierć dotykała wszystkich wokół niej, jakby realizowała swój własny, tajemny plan - makabryczny schemat, według którego już zawsze skazana była na samotność.

Powoli podniosła się z podłogi i chwiejnym krokiem podeszła do wysokiego zwierciadła stojącego w rogu komnaty. Przeglądając się w nim, dostrzegła, że Violette de Montraine patrząca na nią ze szklanej tafli uśmiecha się ironicznie. I wtedy zrozumiała, kim tak naprawdę się stała.

„Dziwką” - powtórzyła w myśli pogardliwie określenie żołnierza.

Przyglądając się własnemu odbiciu, miała wrażenie, jakby była kimś zupełnie innym. Na wprost niej stała obca dziewczyna o zmierzwionych, jasnych włosach, otulona kawałkiem lnianej szmaty, która nie była w stanie ukryć wszystkich śladów, jakie dłonie Armanda pozostawiły na jej delikatnym ciele. Wciąż czuła w sobie piętno jego brutalnej obecności, lecz ból, który jej sprawił, był niczym wobec zranionej dumy.

„Czy tak wygląda ostateczne upokorzenie?” - pytała samej siebie.

Jej drżące z bezsilnej złości dłonie zacisnęły się w pięści. Wiedziała, że Armand van der Zahr nie poprzestanie na jednym razie. Będzie tu wracał każdej nocy, a ona już do końca życia pozostanie zabawką w jego rękach.

„Nie!” — coś w jej wnętrzu zbuntowało się na myśl o tym.

Z wściekłością uderzyła pięściami prosto w lustrzaną tafłę. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a sypiące się odłamki pokaleczyły jej dłonie.

„Nie stanę się bezwolną marionetką!” — zdecydowała.

Wciąż miała wybór. Mogła odejść z godnością, a wtedy diuk Bretanii już nigdy więcej jej nie tknie.

Oparła się o rzeźbioną ramę zwierciadła i czując ogarniającą ją słabość, osunęła się na kolana. Nie była już w stanie pohamować łez. Wiedziała, że nie można walczyć w nieskończoność i kiedyś trzeba się poddać. Dlaczego nie teraz? Jej udręczony umysł znajdował już tylko jedno wyjście z tej beznadziejnej sytuacji — proste, a zarazem ostateczne.

„To jedyny sposób” - utwierdziła się w postanowieniu. I po chwili namysłu podjęła decyzję.

„Kościół nie wybacza samobójcom, ale Bóg tak”. — Zignorowała religijny zakaz wszczepiony głęboko w podświadomość każdego chrześcijanina.

Drżącą ręką sięgnęła po długi, wąski odłamek lustra i przyłożyła go do wewnętrznej strony lewego nadgarstka. Wystarczy jeden ruch i wszystkie jej cierpienia skończą się raz na zawsze. A jednak nie potrafiła tego zrobić -po raz pierwszy w życiu zabrakło jej odwagi. Przesunęła szkło o kilka cali wyżej i na próbę przeciągnęła po skórze ostrą jak brzytwa krawędzią. Poczowała nagle, bolesne szarpnięcie i z rany natychmiast trysnęła krew, plamiąc szkarłatem białe prześcieradło. Zrobiła to jeszcze raz. A potem jeszcze raz. Coraz dalej, coraz głębiej, coraz bliżej przegubu. Przy czwartym nagle zawahała się. Pomyślała o Sophie i szkło zawisło nieruchomo w powietrzu tuż nad główną żyłą, rysującą się błękitną wstęgą pod bladą skórą jej ręki.

„Co się z nią stanie, jeśli mnie zabraknie?” - pomyślała nagle.

Kłęczała w kałuży ciepłej i obrzydliwie lepkiej krwi, przypatrując się z przerażeniem trzem równym, głębokim aż do żywej tkanki nacięciom na ręce. W jej umyśle zapanował straszliwy chaos. Tkwiła w martwym punkcie, gdzieś pomiędzy życiem i śmiercią - na granicy, z której nie ma już odwrotu. Kawałek szkła w jej dłoni załśnił po raz ostatni, a źrenice rozszerzyły się gwałtownie, gdy usłyszała w oddali głos nie z tego świata. Obcy, przerażający i tak niehumaniczny, że dreszcz przebiegł jej po plecach, a szkło wypadło z ręki i roztrzaskało się o kamienną posadzkę. Czy to był krzyk sokoła, który w ciemnościach nocy rozpaczliwie bił skrzydłami o żelazną kratę w oknie wieży? A może tylko kolejny wytwór jej chorej wyobraźni?

Nagle wszystko ucichło, a po chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi, zwiastujące pojawienie się kolejnego nieproszonego gościa. Violette drgnęła na ten dźwięk i w tej samej chwili drzwi otworzyły się z hukiem, a w progu stanął Albin trzymający pod ramieniem niewielki, zdobny kuferek. W milczeniu przeniósł go przez komnatę i postawił na stole, po czym zerknął w stronę Violette i jego wzrok natychmiast padł na leżące wokół niej odłamki szkła. Śmiertelnie blada kłęczała w przesiąkniętej krwią tkaninie i dostrzegł, jak dyskretnie wsuwa za siebie lewą rękę, ukrywając ją przed nim.

- Przypadkiem rozbiłam lustro — wyszeptała drżącym głosem, patrząc mu prosto w oczy, lecz była zbyt słaba, by przekonująco kłamać.

Albin zmarszczył brwi i przyjrzał jej się uważnie chłodnym, przenikliwym wzrokiem. Nie dał wiary ani jednemu z jej słów. Musiałby być ślepy, żeby nie zauważyć, co zamierzała zrobić, ale wiedział, że nigdy się do tego nie przyzna. Wtedy też dostrzegł w jej oczach coś, czego nie widział nigdy wcześniej — rozpaczliwy krzyk błagający o pomoc z głębi otchłani i wydało mu się, że niemal go słyszy. Była tak krucha i bezbronna, że wystarczyło tylko podejść, uklęknąć i zamknąć ją w ramionach. Ten jeden raz. Czuł, że podświadomie na to czekała, potrzebując kogoś, kto ukołby jej ból, dodał otuchy, przyniósł nadzieję. Być może wtedy odwzajemniłaby jego miłość. Ale Albin odwrócił się i w tym momencie utracił ją na zawsze. Nie potrafił okazywać uczuć — nikt go tego nie nauczył.

- Armand van der Zahr kazał ci to dostarczyć - rzucił, wskazując na zawartość skrzyni.

Violette patrzyła, jak podchodzi do stołu i podnosi rzeźbione wieko kufra. Ignorując ból i osłabienie, podniosła się z posadzki i zbliżyła niepewnie, ukrywając poranioną rękę w fałdach lnianej tkaniny. Gdy zajrzała do kufra, z jej piersi wyrwało się ciche westchnienie. Wewnątrz skrzyni znajdowała się wspaniała suknia, jaśniejąca przepychem i mieniąca się w blasku świec kolorami złota, srebra i błękitu.

- Należała niegdyś do mojej prababki - wyrzekła zdumiona. - Kobiety z rodu de Montraineow zakładały tę suknię w dzień swych zaślubin od pokoleń.

- Armand chce, byś wystąpiła w niej za tydzień podczas oficjalnej ceremonii adopcji.

Violette spuściła wzrok i zamyśliła się.

- *Zalóżę ją jako ostatnia, choć nigdy nie było mi to pisane.*
- *Dlaczego tak mówisz? Uśmiechnęła się bez cienia żalu.*
- *To przecież suknia ślubna, a ja poprzysięgłam sobie, że nigdy nie wyjdę za mąż.*

Sięgnęła do wnętrza kufra i wyjmując ją ostrożnie, dostrzegła, że na dnie błysnęło coś jeszcze.

- Sztylet?!

- Weź go - usłyszała za sobą głos Albina. - Jest zatruty. By zabić Armanda, wystarczy jedno draśnięcie.

Drzwi trzasnęły głucho i Violette została sama w pustej komnacie. Delikatnie ujęła w dłoń kunsztowną, pozłacaną rękojeść sztyletu i wysunęła go z oprawy. W jego zimnym, metalowym ostrzu odbiły się jej oczy, a bezdenna rozpacz w jej sercu ustąpiła miejsca nienawiści i rodzącemu się pragnieniu zemsty. Słowa Albina niespodziewanie nadały nowy sens jej istnieniu, a zabicie Armanda stało się celem, do którego dążyć będzie za wszelką cenę. Nawet jeśli za odebranie mu życia przyjdzie jej zapłacić swoim własnym.

VIII

Biskup

Gdy Reynard zakradał się do twierdzy, nie przypuszczał, że tej nocy z ukrycia obserwuje ją ktoś jeszcze. Serim siedział w gęstych zaroślach po zachodniej stronie murów i bezmyślnym wzrokiem wpatrywał się w ciemną toń fosy okalającej potężne zamczysko. Znalazł się tu z powodu córek de Montrainea i był wściekły jak diabli, bo wiedział, że tym razem spartolił robotę. Dał się wywieść w pole niczym głupiec i mógł winić za to tylko siebie. Złamał obietnicę daną hrabiemu, pozwalając, by Violette i Sophie wpadły w ręce Armanda van der Zahra. Teraz władca miał już wszystko, czego potrzebował - w zamku Ilion znalazły się ostatnie dziedziczki rodu, a przez lekkomyślność Serima także klejnot, którego miał strzec przed nim za wszelką cenę. Nie dotrzymał warunków umowy, za którą de Montraine zapłacił mu szczerym złotem. Zawiódł sromotnie i nie mógł zrobić już nic, by to zmienić. Choć z drugiej strony wszystko układało się wprost idealnie.

„Hrabia nie żyje i nie jest już w stanie odebrać mi zapłaty, nawet gdyby jego córki zgniły w lochach tej przeklętej twierdzy” - rozważał w duchu.

Za jednym razem pozbył się kłopotu i zachował złoto, a przewrotna natura podpowiadała mu, by wziąć je i jak najszybciej zniknąć. I jeszcze kilka lat temu tak właśnie by postąpił.

„Ale nie dziś” - odrzucił od siebie tę myśl.

To prawda, że był najemnikiem, łotrem i złodziejem, który przez większą część życia nie miał sumienia. Miał jednak coś innego - honor. I to właśnie on nie pozwalał mu stąd odejść.

„Choćbym miał tkwić tu do sądneho dnia, znajdę w końcu sposób, by uwolnić je z rąk van der Zahra!” — postanowił solennie.

Nagle jego uwagę zwróciły niewyraźne odgłosy potyczki dochodzące ze szczytu zachodniej baszty, a w chwilę później rozległ się przenikliwy alarm, który błyskawicznie postawił całą twierdzę w stan gotowości.

„Co jest, u licha?!” — zachodził w głowę.

Wtem do jego uszu dobiegł rozpaczliwy krzyk Violette. Spojrzał w górę i zobaczył skaczącego z wieży wędrowca.

- Przeklęty głupiec! - zawołał z niedowierzaniem. — Życie mu niemiłe?!

Po raz pierwszy w życiu widział tak szaleńczą odwagę i był pod wrażeniem. Nim spadające z ogromną szybkością ciało Reynarda uderzyło w twardą powierzchnię wody, Serim zerwał się z miejsca i chwytając leżący na ziemi kawałek pustej trzciny, dał nura prosto w mroczne odmęty fosy. Woda była tak lodowata, że wydawało mu się, jakby w każdy nerw jego ciała wbijało się tysiące maleńkich igiełek. Płynąc pod jej powierzchnią, otworzył oczy, ale wokół panowały egipskie ciemności.

Mimo tego musiał odnaleźć wędrowca, nim strażnicy wypatrzą ich z góry. Wynurzył się na chwilę i dostrzegł na powierzchni wody wydobywające się z głębin

pęcherzyki powietrza. Błyskawicznie rzucił się w tamtym kierunku i szukając po omacku, natrafił w końcu na ciało bezwładnie opadające na dno. Chwycił je i chciał się wynurzyć, ale w tym samym momencie ciśnięta z wieży włócznia wbiła się w wodę tuż obok nich. A potem kolejna i jeszcze jedna, jakby żołnierze Armanda van der Zahra chcieli mieć pewność, że fosa pochłonie intruza raz na zawsze. Powietrze w płucach najemnika zaczynało się kończyć, ale nie mógł ryzykować kolejnego wynurzenia.

Od brzegu dzieliła ich jeszcze spora odległość, więc oddychając przez pustą trzcinę, pokonał ją pod wodą, ciągnąc za sobą nieprzytomnego wędrowca.

Gdy dotarli do przybrzeżnych szuwarów, Serim pospiesznie wywlókł go na brzeg, kryjąc się w ich gąszczu przed wzrokiem strażników. Widział, że chłopak jest już tylko na wpół żywy, a strzała tkwi głęboko w jego piersi. Musiał działać szybko. Złamał strzałę i odrzucił ją w przybrzeżne zarośla, a potem wciągnął Reynarda na swe barki i wniósł go do lasu, nim strażnicy z pochodniami zaczęli przeczesywać brzeg fosy w poszukiwaniu martwego ciała.

Następnego dnia o świcie pogrążona w myślach Violette stała nieruchomo przy zakratowanym oknie wieży i opierając się łokciami o wąski parapet, patrzyła na ciemny zarys lasu rozciągający się aż po granice horyzontu. Gdy w ciszy rodzącego się dnia pierwsze promienie słoneczne oświetliły wierzchołki drzew, pojęła, jak niewiele brakowało, by nigdy nie ujrzała tego widoku. Wtem za progiem rozległo się nieśmiałe pukanie, które wyrwało ją z zadumy

i nieodwracalnie zniszczyło nastrój chwili. Drzwi skrzypnęły cicho i ktoś niepewnie przekroczył próg.

- Przepraszam, jeśli przeszkodziłam — usłyszała spokojny dziewczęcy głos. - Mam na imię Blanchett i będę pani usługiwać. Zniecierpliwiona, odprawiła ją ruchem ręki.

- Wynoś się.

Ale dziewczyna nie posłuchała jej.

- Przyniosłam ciepły posiłek - rzekła i postawiła tacę na stole. — Powinna pani coś zjeść.

Rozdrażniona Violette poczuła wzbierającą w sobie złość. Nie miała ochoty na jedzenie ani na rozmowę z kimkolwiek. Po prostu chciała być sama.

- Nie słyszałaś?! - krzyknęła z wściekłością, odwracając się w jej stronę. - Idź precz!

Dziewczyna struchlała na widok nienaturalnych, pałających straszliwym gniewem oczu Violette i cofnęła się odruchowo. Teraz wiedziała już, dlaczego okoliczni wieśniacy powiadali, że w murach zamku Illion zamieszkał zły duch, a żadna z dziewcząt sprowadzonych wczoraj z podgrodzia nie chciała jej służyć. Wierzyły, że już jedno spojrzenie dziedziczki sprowadza nieszczęście.

„Głupie gęsi!" - pomyślała Blanchett.

Tylko ona miała w sobie dość odwagi, by się tego podjąć. Nigdy nie pozwalała, by jej życiem kierowały ludzkie zabobony, dlatego zobaczyła człowieka tam, gdzie inni widzieli tylko siłę nieczystą. W świetle dnia dostrzegła wyraźnie sine ślady męskich dłoni odbite na delikatnej skórze Violette i porozrzucane wokół strzępy nocnej koszuli. Wtedy dotarło do niej, dlaczego jej pani ma na sobie tylko kawałek poplamionej krwią szmaty.

- Dostyc się już napatrzyłaś? - spytała chłodno Violette, kryjąc swe rozgoryczenie pod maską złośliwej ironii. -A teraz zejdz mi z oczu!

Blanchett odwróciła się posłusznie i podeszła do drzwi, lecz nim je otworzyła, wyrzekła półgłosem:

- Nie znaleziono jego ciała. -Co?

Wyraz twarzy Violette zmienił się diametralnie i dziewczyna zatrzymała się, słysząc w jej głosie pełne napięcia oczekiwanie.

- Strażnicy szukali przez całą noc - powtórzyła spokojnie. - Ciało nie wypłynęło.

Blanchett na własne oczy widziała, jak nieznajomy młodzieniec skoczył z baszty, i domyśliła się, że tych dwoje musiało coś łączyć.

- Fosa jest głęboka - stwierdziła ponuro Violette. -Może leżeć na dnie tygodniami.

- Lub już go tam nie ma.

Dziewczyna spojrzała na jej zakrwawioną rękę i zrozumiała, że te rany nie mogły być dziełem przypadku, a Violette de Montraine miała dość powodów, by próbować odebrać sobie życie. Ale czy jedna dobra wiadomość może to zmienić?

- Jak to? - spytała.

- Podobno na brzegu znaleziono zakrwawione drzewce strzały odłamanej od grotu.

Violette zamyśliła się przez chwilę. -To przecież niemożliwe, by sam się wydostał - wyrzekła z powątpiewaniem.

- Ale możliwe, że ktoś mu w tym pomógł.

Gdy w chłodny wiosenny poranek słońce zaczęło wschodzić nad lasem, Serim znajdował się już w bezpiecznej odległości od twierdzy. Wykorzystując swą nadludzką siłę, parł niewzruszenie przez siebie tylko znane leśne ostępy, niosąc na plecach bezwładne ciało wędrowca. Choć ciążyło mu niczym ołów, nie zatrzymał się ani na chwilę, póki nie upewnił się, że nikt nie podąża ich śladem. Wiedział, że musi jak najszybciej wydobyć strzałę i opatrzyć ranę, inaczej chłopak wykrwawi się na śmierć.

„Nie ma czasu do stracenia” - ponaglał siebie samego.

Gdy dotarł na niewielką, otoczoną gęstym lasem polanę, pośpiesznie złożył nieprzytomnego na trawie i usypując obok niewielką stertę suchych gałęzi i liści, rozpałił ognisko. Wyjął z zanadru sztylet i włożył jego ostrze pomiędzy płonące polana, a potem podszedł do rannego Reynarda i silnym szarpnięciem rozerwał mu koszulę. Z nagiej piersi chłopaka sterczało ułamane przez Serima drzewce strzały, która przeszła tuż obok serca. Jednak ten łut szczęścia nie zdał się na wiele, gdyż życie uchodziło z niego nieubłaganie, a każdy kolejny oddech mógł być tym ostatnim, który przeniesie go do krainy wiecznego niebytu.

Wtem uwagę najemnika przykuł dziwny naszyjnik, który wędrowiec nosił pod ubraniem. Na cienkim, mocnym rzemieniu zawieszane były dwie szklane kule wielkości sporego orzecha, a trzeciej brakowało. Serim pochylił się i z zaciekawieniem uniósł w palcach jedną z nich. Nagle szklana skorupka pękła i rozsypała się w pył, a z wnętrza kuli wystrzelił z sykiem zielonkawy opar, który otoczył wędrowca gęstym całunem i wdzierając

się w jego nozdrza, zwrócił mu dech życia. Ciało chłopaka wyprężyło się nienaturalnie i wygięło niczym struna, a w chwilę później opadło na ziemię wraz z głębokim wydechem. Serim zaniemówił ze zdumienia. Nie wiedział, czy ma do czynienia z gusłami, ludowym zielarstwem czy prastarą chińską magią, ale cokolwiek to było - działało. Z niedowierzaniem wpatrywał się w chłopaka, który jeszcze przed chwilą umierał, a teraz wydawało się, że zapadł po prostu w spokojny sen.

„Jakby wstąpiło w niego nowe życie” - spostrzegł, nie dając wiary własnym oczom.

Najemnik spojrzął na ostatnią szklaną kulę w naszyjniku wędrowca i w jego umyśle natychmiast zrodziła się myśl tak podła, jak jego prawdziwa natura. Sięgnął i chwytając za ramię, szarpnął mocno, chcąc zerwać go z szyi wędrowca, lecz Reynard nagle złapał go za rękę.

- Okradasz umierającego? - wyszeptał posiniałymi ustami.

Serim w jednej chwili odskoczył jak oparzony.

- A niech cię, ty cholerny... - nie dokończył i tłumiąc w sobie złość podszedł do ogniska, by wyciągnąć rozgrzany do czerwoności sztylet.

Po chwili wrócił do wędrowca i przyklękając przy nim, chwycił za złamany koniec strzały tkwiącej w jego ciele. Zdecydowanym ruchem pociągnął i zręcznie wydobył metalowy grot, a zaraz potem przyłożył do rany ostrze sztyletu, by zahamować krwotok. Rozległ się cichy syk i Reynard jęknął z bólu, a po chwili poczuł obrzydliwy swąd przypalanego ciała. Takim samym zapachem przesiąknięty był zamkowy dziedziniec, pośrodku którego spłonęli żywcem rodzice Violette. Ten makabryczny widok znów stanął mu przed oczami i nim się zorientował, stracił przytomność.

Gdy ją odzyskał, zobaczył siedzącego przy ognisku Serima, który przyglądał mu się badawczo, skubiąc w zamyśleniu krótko przyszczyżoną bródkę. Wciąż nie wiedział, czemu najemnik mu pomaga, ale był pewien, że musi mieć w tym swój cel.

- Właściwie nie obchodzi mnie, dlaczego to robisz — odezwał się Serim. — Ale jesteś naiwny, jeśli myślisz, że Violette de Montraine mogłaby z tobą zostać.

Błądą twarz wędrowca skrzywił drwiący uśmiech.

- Może jestem - stwierdził beczelnie. - A może mam inny powód, by wrócić do twierdzy.

Serim zastanowił się przez chwilę nad jego słowami, ale na myśl przychodziło mu tylko jedno logiczne wyjaśnienie. Zbyt niedorzeczne, by mogło być prawdziwe.

- Chyba nie jesteś na tyle głupi, by porywać się na samego Armanda van der Zahra?! - wykrzyknął z niedowierzaniem, marszcząc groźnie krzaczaste brwi.

Odpowiedziało mu jednak tylko ponure milczenie wędrowca.

- Zamek Illion to najlepiej strzeżona warownia w Bretanii! W pojedynkę nie masz szans się tam dostać!

- To się okaże.

Nikły uśmiešek błąkał się zagadkowo po jego wąskich ustach, a Serim musiał szybko podjąć decyzję.

- Mówiłeś, że masz swój powód, by wrócić do twierdzy. Ja też mam swój. Muszę uwolnić córki de Montraine'a, a gdy to zrobię, Armand van der Zahr będzie należał do ciebie.

- Dlaczego miałbym ci ufać? — spytał przenikliwie wędrowiec.

— Bo nie masz innego wyboru.

Słyszając to, Reynard zmrużył lekko powieki, gdyż odkąd sięgał pamięcią, zawsze działał samotnie. Dawno temu, kiedy Pani Lodowej Krainy zabrała mu matkę, obrał drogę wojownika i poświęcił się jej bez reszty. Szkojąc się przez wiele lat, posiadał szybkość wiatru, wytrzymałość kamienia i siłę rażenia gromu. Potrafił intuicyjnie przewidywać każdy ruch swego przeciwnika, dlatego już wkrótce żaden z uczniów mistrza Funga nie potrafił mu dorównać. Bali się go, zazdrościli mu lub starali się go ignorować. Z czasem przywykł do tego i zrozumiał sens starego chińskiego przysłowia:

„Potężny wojownik staje się samotnym człowiekiem”.

Teraz wiedział już, że to prawda, a podczas długiej wędrówki samotność stała się jego drugą naturą. Nigdy nie szukał towarzystwa ludzi i nie nawykł prosić nikogo o pomoc, polegając tylko na sobie i swych umiejętnościach. Ale w tej kwestii najemnik miał rację - jeden człowiek nie jest w stanie pokonać van der Zahra i wyrwać z jego rąk tych dwóch dziewcząt. Dlatego potrzebował silnego i przebiegłego sprzymierzeńca, którym zrządzenie losu niespodziewanie uczyniło właśnie Serima.

Sophie siedziała skulona w kącie lochu, do którego Hagen przyniósł ją na własnych rękach z mrocznych czeluści najgłębszych podziemi. W ostatnim momencie zdołał wydrzeć ją ze szponów tych, którzy zmienili się w wynaturzone bestie, ale służąc Armandowi, nie był w stanie zwrócić jej wolności. Mógł jedynie umieścić ją

tam, gdzie była względnie bezpieczna - w lochach górnego poziomu, z pospolitszymi przestępcami i bliżej posterunku strażników. Teraz odziana w łachmany, brudna i posiniaczona, niczym się od nich nie różniła. Otaczali ją bandyci, złodzieje, mordercy i zupełnie niewinni ludzie. Wszystkich ich dosięgła bezlitosna sprawiedliwość Armanda van der Zahra.

„Dlaczego się tu znalazłam?” - Wciąż zadawała sobie to pytanie i jak dotąd nie znalazła na nie odpowiedzi.

Nagle żelazna krata otworzyła się i strażnik wepchnął do środka drewniany wózek wyładowany czerstwym pieczywem. Więźniowie rzucili się w jego stronę i rozpychając się łokciami, zaczęli wydierać sobie kawałki chleba niczym wygłodniałe psy. Sophie nie jadła nic od kilku dni i jeszcze nigdy w życiu nie była tak głodna, ale nadal nie mogła chodzić i zanim zdołała doczołgać się do wózka, był już pusty. Tak było za każdym razem. Wtem dostrzegła leżący na ziemi niewielki kawałeczek chleba. Szybko przesunęła się w jego kierunku i wyciągnęła rękę, lecz nim zdążyła go zabrać, wielki, szary szczur uprzedził ją i chwytając okruch zębami, z cichym piskiem zniknął w ciemnościach. Sophie krzyknęła z odrazą. Nie miała dość sił, by walczyć o pożywienie nawet z nim.

- Masz - usłyszała nad sobą czyjś głos. - Wziąłem jeden dla ciebie.

W nikłym świetle pochodni płonących w korytarzu dostrzegła chłopca trzymającego w wyciągniętej ręce kawałek chleba. Sięgnęła niepewnie i po chwili przyjęła go z wdzięcznością.

- Co ci się stało? - spytał chłopiec, gdy łapczywie odgryzała pierwszy kęs i wskazał na jej bezwładne nogi.

- Są połamane — odparła. - Nie mogę chodzić.

- Czemu?

- Powóz, którym jechałam, stoczył się w przepaść i cudem nas uratowano.

- Nas? - powtórzył pytająco.

- Mnie i moją siostrę - wyjaśniła Sophie. - A ty nie masz rodzeństwa?

Chłopiec pokręcił głową.

- Gdzie jest twoja mama? - zapytała, widząc, że ma nie więcej niż dziesięć lat.

- Umarła.

- Więc skąd się tutaj wzięłeś?

Zmarszczył brwi, jakby nie zrozumiał jej pytania.

- Urodziłem się tu.

Dopiero teraz dotarło do niej, że ten chłopiec nigdy nie opuścił podziemi twierdzy Illion. Matka powiła go w tym lochu, a gdy zmarła, po prostu o nim zapomniano. Posępne, wilgotne podziemia stały się jego domem i nie wiedział, że istnieje inny, zewnętrzny świat. Nigdy nie widział słońca, nie słyszał szumu drzew i śpiewu ptaków, ani nie czuł na twarzy orzeźwiającego powiewu wiatru. Żył w wiecznym mroku i był szczęśliwy, ponieważ nie znał niczego innego. Gdy to zrozumiała, przyrzekła sobie, że już nigdy więcej nie będzie żalić się na swój los.

Violette stała przed lustrem w pięknej, olśniewającej przepychem sukni ślubnej, należącej niegdyś do jej prababki. Promienie słońca wpadające przez okno do wnętrza komnaty oświetlały jej postać i rzucały świetliste refleksy na wyhaftowane złotą i srebrną nicią aplikacje, tworzące na błękitnym atłasie subtelny wzór. Blanchett

upięła wysoko jej jasne włosy, pozostawiając z tyłu kilka luźnych loków, miękko opadających na kark i spływających w wycięcie dekoltu po linii, którą wyznaczała sztywna kryza stojącego pionowo kołnierza. Koronkowe mankiety rękawów zasłaniały dłonie Violette niemal do połowy, skrywając trzy poprzeczne nacięcia na przegubie lewej ręki. Idealnie wykrojone, kształtne usteczka odcinały się wyraźnym konturem od alabastrowej bieli jej cery, wymalowane pomadą z płatków dzikiej róży o upojnym zapachu. Wyglądała niczym anioł, który przed chwilą zstąpił z nieba na srebrzystobiałych skrzydłach. Ale czy tak piękna istota może mieć serce czarniejsze niż czeluść otchłani?

- Chcę zostać sama - oświadczyła, gdy Blanchett skończyła jej usługiwać, i dziewczyna posłusznie wyszła.

Minał już tydzień, odkąd Reynard skoczył w nurt fosy, i dziś w zamku Illion odbędzie się oficjalna ceremonia adopcji. Armand van der Zahr stanie się jej prawnym opiekunem i zarządcą wszystkich dóbr należących niegdyś do rodu de Montraineow. W ten sposób usankcjonuje bezprawne zagarnięcie ziem i na zawsze uczyni ją swoją własnością. Violette nie mogła mieć żadnej pewności, że Reynard nadal żyje, i choć wąła iskierka nadziei tliła się w niej nieprzerwanie, nie miało to już znaczenia. Ceną za zabicie diuka Bretanii będzie jej własne życie, ale była gotowa ją zapłacić.

„Zemsta zawsze wymaga ofiar” - twierdzili starożytni wodzowie.

Wtem usłyszała łopot rozłożystych ptasich skrzydeł i ujrzała Rankora przysiadającego po drugiej stronie okna. Drapieżnymi szponami wczepił się w żelazne

kraty i rozchyliwszy zakrzywiony dziób, przyglądał jej się przenikliwie. Violette podeszła do niego i przekładając szczupłą dłoń przez kraty, niepewnie pogładziła nastroszone pióra sokoła.

- Tamtej nocy, gdy rozbiłam lustro, to ty krzyczałeś, prawda? - przemówiła do niego łagodnie. - Uratowałeś mnie. Dlaczego?

- Bo nikt inny nie był w stanie - usłyszała w myśli jego głos i odskoczyła przestraszona, gdyż nie była pewna, czy to wytwór jej imaginacji czy rzeczywistość.

- Kim jesteś?

- W tej chwili jestem jedynie obserwatorem. - Ob serwujesz... mnie? - wyrzekła zdumiona.

- Tak - odparł. - Kryjesz w sobie odpowiedź na najważniejsze z pytań.

- Jakie?

- Gdy nadejdzie czas, sama zrozumiesz. Nagle w jej umyśle zaświtała złudna nadzieja.

- Proszę, zabierz mnie stąd!

- Nie mogę — odrzekł ze smutkiem. — Jeszcze nie teraz.

Niespodziewanie zerwał się i odleciał, zostawiając ją samą.

„Już niedługo będę równie wolna, jak ty” - pomyślała z nadzieją o śmierci, jakby miała się stać jej wyzwoleniem.

Spojrzała na zatrute ostrze sztyletu połyskujące złowrogo na dnie kufra. Pomści tych, którzy zginęli z rozkazu Armanda, a potem dołączy do swych bliskich.

„Nie ma innej drogi” - powtarzała w swoim sercu.

Chcąc zrealizować swój zbrodniczy zamiar, czekała na niego każdej nocy, lecz nie pojawił się już w wieży,

jakby nagle jego umysł zaabsorbowało coś zupełnie innego. Violette niewyraźnie przeczuwała, że ma to związek z pojawieniem się w twierdzy Reynarda. Odnosiła dziwne wrażenie, że coś ich ze sobą łączy— jakieś bliżej nieokreślone podobieństwo, które wyczuwała w brzemieniu głosu, spojrzeniu, a nawet dotyku.

„Czy to możliwe, że przemierzył pół świata tylko po to, by odnaleźć Armanda van der Zahra?” - Nie mogła pojąć kierujących nim pobudek.

Dlaczego tak bardzo mu na tym zależało, że gotów był poświęcić wszystko? Jeśli zginął, Violette nigdy się tego nie dowie, a on zabrał ze sobą do grobu tajemnicę, która sprawiła, że w oczach Krwawego Armanda po raz pierwszy od bardzo dawna zagościł strach.

Na kilka dni ponura, milcząca twierdza Illion ożyła gwarem ludzkich rozmów, a na jej dziedzińcu rozbrzmiewały dźwięki lutni i śpiewy minstrelów. Armand van der Zahr nie przeoczył żadnego szczegółu i skwapliwie zadbał, by pozornie radosny nastrój odciągnął uwagę ludzi od prawdziwej wymowy tej uroczystości. Postronnym obserwatorom jawił się jako światły władca, szczodry gospodarz i szlachetny mistrz ceremonii. Widzieli go takim, jakim chciał się ukazać. Ten doskonały manipulator potrafił skłonić ludzi, by uwierzyli w każde kłamstwo, a niektórzy z nich zdążyli się już przekonać, jak niebezpiecznie jest wątpić w jego słowa.

Dziś od samego rana najznamienitsi goście zjeżdżali się do zamku Illion na jego zaproszenie. Nikt nie śmiał odmówić tak potężnej i wpływowej osobistości. Wystawne powozy arystokratów, możnowładców i kościelnych

dostojników przetaczały się kolejno po zwodzonym moście, wiodącym do wnętrza twierdzy. Nikogo nie zdziwił więc widok zajeżdżającej z impetem na dziedziniec czarnej karety, zaprzężonej w cztery ręce konie. Gdy tylko opadł kurz, chudy pacholek w czapce z lisa zeskoczył z tylnej ławki i podbiegając do opatrzonych złotym herbem de Vezów drzwi, prędko otworzył je swemu panu. Z wnętrza powozu wyłonił się postawny, bogato odziany mężczyzna o wspaniałej prezencji i nazbyt śmiałym jak na arystokratę spojrzeniu. Zwracał na siebie powszechną uwagę pospółstwa i innych szlachetnie urodzonych, ale swą arogancką postawą dawał do zrozumienia, że nie dba o to. Gdzieś pośród tłumu rozległy się ciche westchnienia niewiast, gdy w zuchwałym uśmiechu obnażył lśniące, białe zęby, kontrastujące ze śniadym kolorytem jego twarzy. Za nim z karety wyszły dwie młode damy w strojnych sukniach i rubasznie wzięły go pod ręce z obydwu stron.

- Syn barona de Vez wraz z towarzyszkami! - obwieścił herold doniosłym głosem, przedstawiając nowo przybyłych.

Mężczyzna ruszył przed siebie pewnym krokiem, a gawiedź rozstępowała się na boki, czując słuszny respekt przed jego postawą. Jednak dwie prowadzone przez niego kobiety sprawiały swym wyglądem dość osobliwe wrażenie. Obie reprezentowały egzotyczny typ urody o bliskowschodnich korzeniach, ale pierwsza z nich była nieprzeciętnie wysoka i postawna, a jej ostre, zbyt kanciaste rysy twarzy dawały się zauważyć nawet spod cienkiej wo-alki, będącej częścią fantazyjnego nakrycia głowy. Druga wydawała się niższa i wyraźnie ładniejsza, o smukłej

budowie ciała i długich, ciemnych włosach rozpuszczonych na ramiona. Właśnie ta strzelała wokół siebie zalotnymi spojrzzeniami i chichocząc, raz po raz szeptała coś do ucha barona. Gdy przekroczyli wrota zamku, mężczyzna rzucił półgłosem do dwóch towarzyszących mu dam:

- Wiecie, co macie robić. Spotkamy się na dziedzińcu.

Skinęły głowami i niepostrzeżenie rozdzielili się w tłumie. Kobiety ruszyły w kierunku najwyższej wieży obserwacyjnej, wyrastającej samotnie po zachodniej stronie murów. Był to najtrudniej dostępny punkt w całej fortyfikacji, a zarazem najslabiej strzeżony. Nikt z zewnątrz nie byłby w stanie wdrzeć się do twierdzy od tej strony. Chyba że miałby pomoc z wewnątrz.

O tej porze wszyscy mieszkańcy zamku i większość służby zgromadziła się już w głównej sali, gdzie miała odbywać się dzisiejsza uroczystość. Na swych posterunkach trwali jedynie strażnicy, których obowiązkiem było pełnić zmiany warty dniem i nocą. Dwie kobiety, podstępnie wprowadzone przez barona, oddaliły się od reszty gości i niezauważone przez nikogo, zniknęły w mrocznym labiryncie korytarzy wiodących do mniej uczęszczanych partii zamku. Wspinając się po schodach na kolejne kondygnacje, dotarły w końcu do najbardziej odludnej i najwyżej położonej części twierdzy, skąd prowadziło strome wyjście na sam szczyt zachodniej wieży. Niespodziewanie natknęły się przed nim na dwóch uzbrojonych wartowników. Ładniejsza z nich wysunęła się na przód i nie tracąc zimnej krwi, śmiało zagadnęła żołnierzy:

— Jaka szkoda, że tacy przystojni mężczyźni muszą pełnić tu wartę, gdy na dole odbywa się biesiada przy śpiewie i tańcach!

- Taka służba, panienko - odparł jeden z nich, szczerząc zęby na widok urodziwej młodej damy.

- Czy mogłybyśmy razem z siostrą wyjść na wieżę, by zaczerpnąć nieco świeżego powietrza? - spytała na pozór niewinnie i wdzięcznie zatrzepotała długimi rękami. - Ponoć to najwyższa wieża w całej okolicy, a widok który się z niej roztacza jest urzekający.

Żołnierze wymienili między sobą znaczące spojrzenia.

- Jak ci na imię, ślicznotko?

Zachichotała niczym płocze dziewczę i rumieniąc się, nieśmiało spuściła wzrok.

- Jestem Tari... sha.

W tym momencie rozległ się cichy śmiech, który druga z kobiet natychmiast zdusiła, czując na sobie gromiący wzrok siostry.

- Przykro mi, ale nikt nie może tam wejść — odrzekł strażnik i wzruszył ramionami. - Rozkaz samego Armanda.

Młoda dama, słysząc to, uśmiechnęła się zalotnie i zawołał z przekorą:

- Nie boicie się chyba, że odfruniemy ze szczytu tej wieży?!

Mężczyźni roześmiali się w głos.

- Ty może i jesteś aniołem, pani! - odparł jeden i przyjrzał się uważniej drugiej z nich. — Ale twoja siostra jest na to zbyt szkaradna!

„Dość tego!” - pomyślał Ablaj, ukrywający się pod postacią drugiej z kobiet i poczuł, że przebrała się miara jego dzisiejszego upokorzenia.

Zaciśnięta z wściekłości pięść błyskawicznie poszybowała w powietrzu i szybciej niż dostrzegłoby to ludzkie

oko, znokautowała strażnika. Wraz z tym ciosem zsunęło się fantazyjne nakrycie głowy, ukazując prawdziwą tożsamość najemnika.

- Ja ci dam szkaradę! - syknął.

Nim drugi z wartowników zdążył zareagować, Tarik ogłuszył go jednym uderzeniem i spojrzał z jawną dezaprobatą na swego brata.

- Wiesz, że przemoc nie zawsze jest najlepszą metodą? — spytał w nagłym przypiływie moralizatorstwa. — Jeszcze chwila, a sami by nas wpuścili.

- Jeszcze chwila, a któryś z nich poprosiłby cię o rękę - odciął się kąśliwie Ablaj. - Lepiej się pośpiesz, Tarisha.

Szybko przekroczyli nieruchome ciała strażników i wbiegli po schodach na szczyt.

Reynard czekał już ukryty w krzakach na skrawku suchego łądu u podnóża zachodniej wieży. Na krótko przed świtem przepłynął fosę i kryjąc się pod powierzchnią wody przed czujnymi spojrzeniami strażników, przemycił ze sobą dość spore zawiniątko obwiązane starannie płótnem. Teraz usłyszał nad głową cichy gwizd i rozpoznając w nim umówiony wcześniej sygnał, wyszedł z gęstych zarośli. Po chwili ze szczytu budowli spuściła się lina i Reynard pośpiesznie przywiązał do niej pakunek, który został ostrożnie wciągnięty na górę. Gdy linę zrzucono po raz drugi, wędrowiec schwycił ją oburącz i zaczął zwinnie niczym pajak wspinać się po gładkiej, pionowej ścianie. Gdy dotarł na szczyt wieży, nie zastał już nikogo. Ablaj i Tarik ulotnili się niczym mgła, zostawiając mu otwartą drogę do wnętrza twierdzy.

Serim pod postacią syna barona de Vez, jako oficjalny gość Armanda van der Zahra, pewnym krokiem przemierzał zamkowe korytarze. Choć Ablaj i Tarik zastanawiali się, jakim sposobem udało mu się zdobyć zaprzężoną w cztery konie karete, należącą do jednego z najzamożniejszych rodów w Bretanii, wszystkie ich pytania zbył zagadkowym milczeniem. Może ją ukradł. Może pożyczył. A może, jak powiadali ludzie, był nieślubnym bękartem samego barona de Vez, który słynął niegdyś ze swych miłosnych podbojów. To pozostanie tajemnicą Serima, dopóki stary de Vez żyje, a jego trzech prawowici synowie nie są świadomi, że pewnego dnia będą musieli podzielić się majątkiem z kimś czwartym. Ludzie potrafią oddać wiele w zamian za spokojną starość, a inni umieją z tego korzystać.

„Niektóre sekrety są dość opłacalne, by mogły pozostać sekretami”. - Najemnik doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Kiedyś nadejdzie czas, by upomniał się o swoje.

„Ale jeszcze nie teraz” - myślał przebiegle, planując swe przyszłe posunięcia.

Ablaj i Tarik wybuchnęli śmiechem, gdy po raz pierwszy ujrzeli go w stroju arystokraty, ale rychło zrzędy im miny, gdy wydobył z kufra dwie kobiece suknie i kazał im je założyć.

„Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni!”- zatryumfował w duchu z lekką nutką złośliwości.

Serim wiedział, że jeśli mają dostać się do twierdzy, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, to już samo ich pojawienie się musi wyrzucić takie wrażenie, by nikt nie ośmielił się wątpić w jego tożsamość. Buta, arogancja i wrodzone poczucie wyższości sprawiają, że ludzie z pospólstwa będą

trwożnie ustępować im z drogi, a inni szlachetnie urodzeni podświadomie rozpoznają w nich przedstawicieli własnej, uprzywilejowanej kasty.

W poszukiwaniu młodszej córki hrabiego de Montrai-ne'a Serim skierował się wprost do podziemi, rozciągających się pod zamkiem siecią tajemnych przejść, tuneli i korytarzy. Ale skąd miał pewność, że właśnie tam należy szukać Sophie? To proste. Wczoraj wieczorem przysiadł się w karczmie na podgrodziu do dwóch wartowników po służbie. Pił z nimi na umór przez pół nocy, a że miał mocną głowę, był bardziej trzeźwy, niż mogłoby się wydawać. Gdy pod wpływem wina strażnikom rozwiązały się języki, sprytnie wy dobył od nich wszystko, co chciał wiedzieć. Teraz pozostało mu już tylko zrealizować plan do końca.

Nagle zza zakrętu korytarza wyłoniła się wysoka męska sylwetka i najemnik w ułamku sekundy rozpoznał Hagen. Pograżony w myślach wiking zbliżał się do niego szybkim krokiem i Serim zaklął cicho, bo nie miał już możliwości, by zejść mu z drogi i uniknąć niefortunnej konfrontacji, która mogła nieodwracalnie pokrzyżować mu szyki. Pochylił nieco głowę i przybrał obojętny wyraz twarzy, licząc na to, że Hagen nie rozpozna go w słabym świetle pochodni. I tak by się stało, gdyby nie zdradził go pewien szczegół.

W chwili, gdy się mijali, nord dostrzegł kątem oka, jak ciemne usta Serima rozciągają się w przebiegłym uśmiechu, i tknięty nagłym impulsem, zatrzymał się. Mógłby przysiąc, że widział już gdzieś ten chytry, łotrowski uśmieszek, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. I nagle go olśniło.

- To ty! - ryknął Hagen, rozpoznając w nim przywódcę hordy najemników.

Zły na samego siebie Serim przystanął i odwrócił się powoli, śmiało podnosząc wzrok na wojownika Północy.

- Znów się spotykamy, nordzie!

Teraz wiedział już, że cały jego plan diabli wzięli, a sprawy przybrały fatalny obrót.

- Poprzysiągłem wtedy, że cię zabiję! — krzyknął Hagen. — I dziś bogowie wydali cię w moją rękę!

- Nie boję się twoich bogów! — zawołał najemnik i sięgnął po miecz. - A tym bardziej ciebie!

Błękitne niczym lodowiec oczy wikinga rozgorzały niepohamowaną żądzą krwawego odwetu. Ten człowiek odebrał mu wszystko — towarzyszy broni, honor, a nawet ludzki szacunek. Wedle starego nordyckiego zwyczaju dowódca pokonanych ginie ostatni, a on darował mu życie jak psu, odmawiając prawa do godnej śmierci. Dlatego dziś Hagen wypełni złożoną na krew praojców obietnicę, a potem powróci samotnie do mroźnej krainy fiordów, by stoczyć bratobójczą walkę z tymi, którzy niegdyś wygnali go z ojczyzny. Jeśli wołają bogów jest, by poniósł śmierć z ich ręki - niech tak będzie.

Chwycił za broń i runęli wprost na siebie niczym dwa przeciwstawne, kipiące nienawiścią żywioły. W mrocznych czeluściach korytarza rozległ się metaliczny szczęk oręza, gdy ze straszliwą siłą skrzyżowali ze sobą ostrza, stając się śmiertelnymi wrogami. Hagen zaatakował z szybkością rozwścieczonej bestii, a długi, ciężki miecz obracał się w jego wprawnych dłoniach z zastraszającą precyzją. Należał niegdyś do jego ojca, który podczas

walki na polu bitwy potrafił odrąbać nim tyle ludzkich głów, że o świcie usypywano z nich stosy.

Jednak wąskie ściany korytarza znacznie ograniczały jego możliwości, działając na korzyść Serima. Mimo to najemnik czuł, że nord z wolna zyskuje nad nim przewagę. Nie mógł mu na to pozwolić. Jeśli przegra pojedynek i zginie, nikt już nie uratuje Sophie. Broniąc się zaciekle, odparł kolejne natarcie Hagena i wtedy nagle zaświtała mu w głowie genialna myśl. Sprężył się niczym dzikie zwierzę i blokując cios wikinga, rzucił się na niego. Wykorzystując swą nadludzką siłę, przygwoździł go do muru, jednocześnie odsłaniając się na pchnięcie i w tej samej chwili poczuł, jak długa klinga nordyckiego miecza zagłębia się w jego boku, przebijając go na wylot. Serim jęknął, a z rany trysnęła krew.

- Już po tobie! - krzyknął wiking.

Najemnik, ignorując ból, spojrział na tkwiące pomiędzy swoimi żebrami ostrze i uśmiechnął się, gdyż wszystko szło dokładnie po jego myśli.

- Jesteś tego pewien, nordzie?!

Wtem rozległ się cichy trzask metalowej zapadki i Hagen zorientował się, że dał się przechytrzyć. Serim, przypierając go do ściany, niepostrzeżenie wsunął jego rękę w otwarte okowy, a potem sprytnie je zatrzasnął. Zwinnie odskoczył od niego, a lewy nadgarstek norda uwięziony został w żelaznych kajdanach, przytwierdzonych do muru grubym łańcuchem. Wtedy Hagen zdał sobie sprawę, że popełnił jeden niewybaczalny błąd - zapomniał, z kim walczy. Serim był najemnikiem i nie musiał stosować się do zasad kodeksu wojowników. Uczciwa

walka nigdy nie leżała w jego naturze, a wiking był po prostu kolejną przeszkodą na jego drodze, którą musiał usunąć.

- Wracaj tu i walcz, tchórzliwy psie! - zakrzyknął Ha gen, szarpiąc się w bezsilnej wściekłości niczym dzikie zwierzę na uwięzi.

Serim zamierzał już odejść, ale słysząc jego obelgi, zatrzymał się w pół kroku i nim nord zdążył zareagować, niespodziewanie wymierzył mu pięścią potężny cios, którym z łatwością mógłby zabić człowieka. Hagen osunął się na kolana, lecz przykute łańcuchem ramię nie pozwoliło mu upaść. Najemnik patrzył spokojnie, jak spluwa krwią, a ciężki oręż wypada z jego bezwładnej dłoni i z brzękiem uderza o posadzkę.

- Dobrze ci radzę, nordzie - przestrzegł go. - Jeśli chcesz nadal żyć, nie wchodź mi w drogę.

Z tym słowami odszedł, przyciskając ręką broczący krwią bok, a jego postawna sylwetka rozmyła się w gęstych mrokach korytarza.

Przebrani za kobiety najemnicy pośpiesznie przemykali opustoszałymi korytarzami w kierunku reprezentacyjnej części zamku. Mieli nadzieję, że zdążą dotrzeć tam i wmieszać się w tłum, nim ogłuszeni strażnicy odzyskają przytomność lub ktoś zauważy ich ciała leżące przy wejściu do zachodniej wieży. Wtem rozległ się przenikliwy dźwięk alarmu, a w chwilę później usłyszeli w oddali tupot żołnierskich butów i wiedzieli już, że będą kłopoty.

Posterunki wartowników w górnych partiach twierdzy postawiono w stan pełnej gotowości, a odbijające się od

nagich kamiennych ścian echo niosło ze sobą wykrzykiwane podniesionym głosem rozkazy. Zapanowało nagle poruszenie, a wiadomość o pojawieniu się intruzów sprawiła, że we wszystkich przejściach dosłownie zaroilo się od uzbrojonych strażników. Podzieleni na niewielkie grupy, zaczęli kolejno przeszukiwać korytarze, chcąc jak najszybciej odnaleźć i schwytać tych, którzy odważyli się wtargnąć do wnętrza twierdzy. Ablaj i Tarik, usłyszawszy zbliżające się z przeciwnych stron oddziały, zdążyli skryć się za węglem dosłownie w ostatniej chwili, zanim nadbiegający żołnierze wpadli na siebie w miejscu rozwidlenia korytarzy.

- Kogo właściwie szukamy, kapitanie?! - zawołał podkomendny.

- Dwóch kobiet, z których jedna jest podobno szkaradna!

Na dźwięk tych słów Ablaj zacisnął zęby z wściekłości i już zamierzał wyskoczyć z ukrycia, by wcisnąć je żołdakowi z powrotem do gardła, lecz w ostatniej chwili powstrzymał się. Nie mógł ryzykować otwartej walki z oddziałem żołnierzy, więc opanował emocje i dalej przysłuchiwał się rozmowie.

- Gdzie widziano je po raz ostatni?

- Przy wejściu do zachodniej wieży.

- A zatem rozdzielamy się!

Oddziały w jednej chwili rozłączyły się i ruszyły w przeciwnych kierunkach, a Ablaj i Tarik zerwali się do ucieczki, złorzecząc w duchu Serimowi, gdyż długie suknie krępowały ich ruchy. Zbliżający się żołnierze byli tuż za nimi i dwaj najemnicy błyskawicznie skręcili w boczny korytarz, który okazał się ślepym zaułkiem.

„Niech to szlag!” - zaklęli w duchu niemal jednomyślnie.

Wtem dostrzegli drzwi na jego końcu i w ostatnim akcie desperacji rzucili się do nich. Tarik pierwszy przypadł do klamki i pociągnął.

„Otwarte!” - ucieszył się, jak dziecko.

Jednym susem wskoczyli do środka i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, oparli się o nie z ulgą.

— Kim jesteście i co tu robicie? — usłyszeli za plecami spokojny dziewczęcy głos.

Odwrócili się i w tym momencie oniemieli. Nigdy dotąd nie widzieli tylu pięknych kobiet w jednym miejscu. Wydawało im się, że to sen, w którym przypadkiem trafili do haremu jakiegoś wschodniego władcy. W kilku połączonych ze sobą i urządzonych ze zbytkiem komnatach znajdowało się co najmniej kilkadziesiąt młodych dziewcząt, a jedna z nich, najwyraźniej sprawująca pieczę nad pozostałymi, stała przed nimi, oczekując odpowiedzi na swe pytanie.

- Mam na imię Tarisha, a to jest moja siostra - wykrztusił zmieszany najemnik. - Zgubiłyśmy się i...

Zamilkł, bo nie dostrzegł w jej ciemnych oczach nawet cienia wiary. Spojrzał na Ablaja i wtedy wszystko stało się jasne — fantazyjne nakrycie spadło z jego głowy, gdy uderzył strażnika, i zostało przy wejściu do wieży.

— Darujcie sobie te łgarstwa — wyrzekła dziewczyna. — Żołnierze szukają dwóch kobiet, w tym jednej szkaradnej.

Tutaj urwała i znacząco skierowała wzrok na Ablaja, który westchnął litościwie, wznosząc oczy ku niebu.

- Błagam, ukryj nas! - wydusił Tarik. - Ty jedna możesz nas uratować.

Nagle w korytarzu rozległy się kroki, ale dziewczyna nadal stała nieruchomo i przyglądała im się badawczo, rozważając w myśli decyzję, która mogła kosztować ją bardzo wiele. Dwaj najemnicy wpatrywali się w nią z napięciem, wiedząc, że jeśli ich wyda, zginą. Nagle odgłos zbliżających się kroków zamilkł i wyczuli, że ktoś stanął za drzwiami.

- Chodźcie szybko!

Chwyciła ich za ręce i wciągnęła w głąb komnaty, ukrywając między swymi towarzyszkami.

- Załóż to! - szepnęła do Ablaja i jednym ruchem zarzuciła mu chustkę na głowę.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się na oścież i do środka wszedł biskup Hereford.

- Witajcie, moje gołąbeczki! - zawołał zgrzytliwym głosem od samego progu, lecz żadna z nich mu nie odpowiedziała.

Teraz dwaj najemnicy wiedzieli już, do kogo należy ten harem. Starzec wkroczył pomiędzy młode dziewczęta niczym drapieżnik upatrujący swej zdobyczy i zaczął bez pośpiechu przechadzać się pomiędzy nimi. Przyglądał się każdej z osobna, kontemplując piękno i oceniając walory wzrokiem wyrafinowanego estety. Ale pod maską nieszkodliwego starca czaiło się zło w najczystszej postaci.

- Jak ci na imię, złotko? - spytał, zatrzymując się nagle przy Tariku, i w lubieżnym uśmiechu ukazał poczerńiałe zęby. - Nie widziałem cię tu wcześniej.

Młody najemnik zamarł. Wiedział, że jeśli się odezwie lub choćby podniesie wzrok, będą zgubieni. Pozostałe kobiety milcząco wpatrywały się w niego, jakby pytanie o imię oznaczało w tym haremie wyrok. Wtem

ciemnowłosa dziewczyna niespodziewanie przyszła mu z pomocą.

-To niemowa, eminencjo — rzekła tonem łagodnego wyjaśnienia. - Dziś rano sprowadzono ją z podzamcza.

Biskup zamyślił się i powiódł dokoła zbyt bystrym jak na starca wzrokiem.

- A więc, która z was będzie mi dziś towarzyszyć przy obiedzie?

W jednej chwili padł na nie blady strach, niemający nic wspólnego z płochym wstydem czy obawą przed zbliżeniem z mężczyzną. Ten lęk tkwił głęboko w ich podświadomości i napawał je odrazą przed czymś potwornym, zakazanym i wynaturzonym. Pytanie biskupa zawisło w powietrzu niczym złowieszcza zapowiedź straszliwego losu, który spotka wybraną przez niego kobietę. Dlatego żadna z nich nie miała odwagi na niego spojrzeć. Prócz jednej.

- Ja pójdę, panie.

Tarik obserwował w zdumieniu, jak dziewczyna, która ocaliła ich przed strażnikami, podchodzi do biskupa.

- Wybornie — rzekł ukontentowany. - Jak ci na imię?

- Blanchett — odparła, patrząc mu prosto w oczy, i pozwoliła, by dotknął pomarszczonymi palcami jej policzka i szyi.

- Jeszcze nigdy nie widziałem tak aksamitnej skóry. Wpatrywał się w nią ze zwierzęcym błyskiem w oku,

a jego fascynacja stopniowo przeradzała się w dzikie, wynaturzone pragnienie. Pożądał jej młodego, pięknego ciała, lecz nie po to, by je posiadać i zaspokoić cielesną żądzę, która dawno już w nim wygasła. Chciał nasycić prawdziwy głód.

- A zatem chodź ze mną.

Biskup odwrócił się i skierował do drzwi, a Blanchett posłusznie podążyła za nim. Uratowała tego chłopaka, poświęcając siebie, ale nie potrafiła inaczej.

„Istnieje los gorszy od śmierci” - szepnęła w myśli.

Już się z tym pogodziła i wychodząc, spojrzała na niego po raz ostatni, a w jej ciemnych, głębokich oczach objął się spokój, który na zawsze zapadnie mu w pamięć.

- Dokąd on ją prowadzi?! - zawołał Tarik, gdy drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Odpowiedziała mu grobowa cisza, a kobiety wymieniły ze sobą ponure spojrzenia.

- Czy ona wróci?! - dopytywał się.

Wtedy jedna z nich przemówiła ściszym głosem:

- Niektóre nigdy nie wracają.

A potem dołączyły do niej następne, które odważyły się przełamać złą złą milczenia:

- Nawet jeśli wróci, nie będzie już taka jak wcześniej.

- On zabierze jej to, na co będzie miał smak.

- Tak jak zabrał nam wszystkim.

Dopiero wtedy zauważył, że niektóre z nich zasłaniały chustkami potwornie oszpecone twarze, a piękne ubrania skrywały okaleczone, pozbawione kończyn ciała.

- Biskup Hereford to potwór w ludzkiej skórze. Żywi się nami, kawałek po kawałek.

Tarik zamarł i nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Teraz wiedział już, że to nie sen, lecz najprawdziwszy koszmar, a nieznajoma dziewczyna, która mu pomogła, wkrótce stanie się kolejną ofiarą demonicznego kapłana. Gdy to sobie uświadomił, zerwał się z miejsca i rzucił w kierunku drzwi, ale silne ramię brata przygwoździło go do podłogi.

— Jeśli stąd wyjdiesz, zginiemy obaj!

— Nie dbam o to! — krzyknął Tarik, usiłując mu się wyrwać.

— Nie pozwolę, by ją skrzywdził!

Słyszając to, Ablaj błyskawicznie podjął decyzję i z całych sił uderzył jego głową o kamienną posadzkę tak, by stracił przytomność.

— Nie dałeś mi wyboru, braciszku.

Gdy tylko Serim zniknął za zakrętem korytarza, wydał z siebie bolesny jęk i ciężko oparł się ramieniem o kamienną ścianę. Był sam i przed nikim nie musiał już udawać niezwyciężonego mocarza. Rana od miecza była głęboka, a sącząca się z niej krew kapiała na posadzkę. Wiedział, że szybko opadnie z sił, jeśli natychmiast nie zatamuje krwotoku. Odpiął ze swych bioder szeroki skórzany pas i zacisnął go mocno wokół żeber dokładnie na tej wysokości, gdzie ugodziło go ostrze norda. Dotkliwy ból promieniował z tego miejsca na całą klatkę piersiową, lecz zdołał zwalczyć w sobie osłabienie i ruszyć naprzód. Choć każdy krok kosztował go wiele wysiłku, pospiesznie zbiegł do lochów i nie tracąc czasu, zaczął przeszukiwać kolejne pomieszczenia.

Był pewien, że Sophie przetrzymywana jest gdzieś na górnym poziomie, lecz mimo to musiał zagłębić się w pajęczynę niekończących się podziemi. Zaglądał kolejno do każdego z nich i wołając jej imię, nasłuchiwał, czy odpowie mu znajomy głos. Jak dotąd nie napotkał na swej drodze strażników i w duchu był zadowolony z tego, że dziś większość z nich oddelegowana została na dziedziniec, a lochy były strzeżone znacznie słabiej niż zwykle.

Dyskretnie przemknął obok posterunku wartowników, którzy nie zauważyli go, pochłonięci grą w kości, i zdołał ujść jeszcze kawałek. Nagle jak spod ziemi wyrosło za nim dwóch uzbrojonych strażników wykonujących obchód. Spostrzegłszy intruza, natychmiast rzucili się na niego z mieczami, nie czekając, aż zdąży się odwrócić.

- Uważaj! - rozległ się przenikliwy głos Sophie dobiegający z głębi lochu i Serim wiedział już, że odnalazł swą zgubę.

Odruchowo uchylił się przed ich natarciem i chwytając żołnierzy za karki, strzasnął ze sobą ich głowy, aż zadzwoniły blaszane hełmy. Zamroczeni strażnicy osunęli się na ziemię, a najemnik podbiegł do krat lochu, z którego wcześniej usłyszał krzyk dziewczyny.

- Sophie?! - zawołał, usiłując dostrzec ją w mroku.

- Co tu robisz?! - odkrzyknęła.

- Przyszedłem cię uwolnić!

Spojrzał na masywne, wykute z żelaza kraty, które broniły mu dostępu do córki de Montraine'a i w ułamku sekundy podjął decyzję. Nie miał czasu, by szukać kluczy lub próbować otworzyć zamek w inny sposób, więc wykorzystując swą nadludzką siłę, złapał za żelazne pręty i unosząc w górę kratę, po prostu wystawił ją z zawiasów. Wraz z tym wysiłkiem poczuł gwałtowne ukłucie bólu w żebrach, a skórzany pas zsunął się z rany, która znów zaczęła broczyć krwią. Serim zacisnął zęby i nie bacząc na to, energicznym kopnięciem wyłamał kraty, które runęły z hukiem na ziemię. Przyświecając sobie pochodnią, wkroczył do wnętrza lochu i stąpając pomiędzy skazańcami, rozglądał się dokoła w poszukiwaniu Sophie.

-Jestem tutaj! - zawołała i Serim dostrzegł w kącie w jej drobną postać.

- Nie bój się, zabiorę cię stąd.

Ostrożnie wziął dziewczynę na ręce i przechodząc nad ciałami więźniów, wyniósł ją na zewnątrz, a potem zniknął w ciemnościach.

IX

Ceremonia

Ogromna sala reprezentacyjna zamku Illion po brzegi wypełniona była najznamienitszymi osobistościami ze świata polityki i religii, których zaproszono tu specjalnie na ceremonię adopcji córki de Montraine'a. Wewnątrz panował tłok i gwar, a suto zastawione stoły uginały się pod ciężarem jedzenia i napitku. Wysocy rangą duchowni, arystokraci i możnowładcy wiedli ze sobą ożywione dysputy, przy wesołym akompaniamencie muzyki, z niecierpliwością oczekując na chwilę rozpoczęcia uroczystości. Wszyscy chcieli ujrzeć słynną córkę heretyka, by przekonać się, ile prawdy kryją w sobie krążące o jej urodzie legendy, a także gminne pogłoski o tym, że jest czarownicą.

Violette de Montraine stała na zapleczu przylegającym z boku do sali i nerwowo poprawiała suknię, w fałdach której ukryła zatruty sztylet. Czekwała. Wtem fanfary zadęły donośnie i na ten dźwięk drzwi otworzyły się przed nią, a ostatnia dziedziczka wygasłego rodu wkroczyła bocznym wejściem z dumnie uniesioną głową i spuściła powieki, posługując się dziecinną sztuczką, której nauczyła ją matka. Jak przystało na pannę z dobrego rodu, sprawiała wrażenie czystej i niewinnej, a jednocześnie

mogła obserwować wszystko zza firany długich rzęs. Ale to nie był jedyny powód, dla którego Violette de Montraine nie miała odwagi spojrzeć w oczy mijanym gościom. Choć jej niezwykle, olśniewające piękno budziło w nich podziw, nie mogła przewidzieć, jak zareagują na widok ametystowej barwy jej oczu.

„Czasem tylko jeden krok oddziela ludzkie uwielbienie od fanatycznej nienawiści” - pomyślała.

Violette już nie jeden raz zdążyła się o tym przekonać, a teraz otoczona zachwyconym tłumem, z wdziękiem przemierzała podłużny gmach sali, na końcu którego wzniesiono wspaniały podest. Światło dzienne przenikające przez różnobarwne szyby znajdującego się tuż za podwyższeniem witraża padało na pełną dostojności postać diuka Bretanii, a czerwony dywan rozpościerający się u stóp Violette wiódł ją wprost do piedestału, na którym znajdował się Armand van der Zahr. Gdy zbliżała się do przybranego w odświętny strój i złoty naszyjnik władcy, jej serce zabiło szybko i niespokojnie, a palce kurczowo zacisnęły się na rękojeści sztyletu. Wszyscy patrzyli, jak z godnością wstępuje po trzech wyściełanych stopniach i przyklęka na ostatnim z nich, oddając Armandowi pełen szacunku pokłon.

- Szlachetnie urodzeni - przemówił doniosłym głosem władca. — Stoi dziś przed wami córka Christophera de Montraine'a — człowieka, który okrył siebie wieczną hańbą zdrajcy i heretyka. Sprzeciwił się on państwu oraz świętym naukom Kościoła, za co z wyroku sądu poniósł zasłużoną śmierć, czyniąc ze swej niewinnej córki sierotę.

Słyszając te oszczerstwa, Violette poczuła wzbierające pod powiekami łzy bezsilnej wściekłości. Chciała wstać i wykrzyczeć przed nimi wszystkimi, jak podłym kłamcą jest Armand, ale wiedziała, że to nie zda się na nic.

„Oni muszą mu wierzyć - stwierdziła z rezygnacją. -Nie mają innego wyboru”.

- Ale w oczach Boga i moich to biedne dziewczę nie ponosi odpowiedzialności za czyny swego ojca - kontynuował. - Dlatego, okazując łaskę i miłosierdzie, przygarnąłem ją do siebie i otoczyłem opieką, by już nigdy więcej nie spotkała jej żadna krzywda. A ponieważ nie mam własnego potomstwa, zamierzam adoptować Violette de Montraine i uczynić z niej swą prawną córkę i jedyną dziedziczkę moich włości.

Pod wysokim gotyckim sklepieniem sali rozległ się cichy i pełen uznania pomruk zebranych, wyrażający aprobatę dla tego wspaniałomyślnego przejawu niezasłużonej życzliwości.

- Biorąc was dziś na świadków, uroczyście przyrzekam roztoczyć pieczę nad nią i całym majątkiem de Montraineow, dopóki nie znajdzie się człowiek godny ubiegać się o jej rękę. A w dowód mej dobrej woli pragnę zwrócić jej rodową relikwię, którą odzyskałem po tym, jak została podstępnie skradziona.

Wraz z tymi słowami na podest wkroczył biskup Hereford, niosący zdobną szkatułę i dumnie stanął obok swego protektora. Władca ostrożnie podniósł inkrustowane srebrem wieko i wydobywając z wnętrza klejnot, uniósł go wysoko w górę.

- Oto owiany legendą krzyż de Montraineow!

Relikwia rozbliła w świetle tajemniczymi refleksami, wywołując wśród zebranych niezwykle poruszenie, a wtedy diuk Bretanii podszedł do Violette i wyrzekł donośnym głosem:

- Powstań, moje dziecko! Od dziś będziesz się nazywać Violette van der Zahr!

Pochylił się, by zawiesić złoty krzyż na jej szyi, lecz nie przypuszczał, że właśnie popełnia największy błąd swego życia. Piękne usta dziedziczki rozciągnęły się w złowieszczym uśmiechu, a jej oczy zaśniły mistycznym blaskiem niczym zapowiedź nadciągającej zagłady. Nie miała już nic do stracenia i nawet w najśmielszych snach nie spodziewała się takiego obrotu sprawy.

„Przeklęty głupcze, nie wiesz, co czynisz” — zachichotała w myśli.

Nikt spośród zebranych nie zwrócił uwagi na dwa czarne rottweilery obserwujące z ukrycia ceremonię i sokola, który niepostrzeżenie przysiadł na belce podtrzymującej gotyckie sklepienie sali. Zwierzęta z uwagą śledziły rozwój wypadków i oczekiwały na chwilę, w której przebudzi się w Violette moc Pradawnych, ostatecznie potwierdzając ich domysły. Teraz wystarczy tylko, by dotknęła krzyża, a uwolniona zostanie niszczycielska, tele-kinetyczna energia, nad którą już nikt nie będzie w stanie zapanować. Wzbierające w niej poczucie krzywdy, gniew i nienawiść były dość silne, by obrócić w pył tę salę i unicestwić wszystkich, którzy się w niej znajdują, począwszy od Armanda van der Zahra.

Niepokojące odgłosy rozlegające się na końcu długiego, ciemnego korytarza przykuły uwagę dwóch uzbrojonych

w halabardy wartowników, pilnujących głównego wejścia do sali. Usłyszeli niewyraźny rumor zwalających się na ziemię bezwładnych ciał strażników, ogłuszonych przez kogoś, a po chwili dostrzegli zarys wyłaniającej się z mroku postaci. Długie drzewce halabard natychmiast skrzyżowały się, zagradzając intruzowi drogę do drzwi.

- Kto idzie?! - zawołał jeden z żołnierzy.

- Przyjaciel - odparł nieznajomy mężczyzna odziany w długi płaszcz i kaptur, który nie pozwalał dostrzec jego twarzy.

Zbliżając się do ich spokojnym, miarowym krokiem, wydobył z zanadru mały, kulisty przedmiot i pochylając się, delikatnie wypuścił go z ręki.

- Ale nie wasz - mruknął do siebie półgłosem. Zdziwieni żołnierze wpatrywali się w kulę wielkości

ludzkiej pięści, która tocząc się środkiem korytarza, minęła ich i docierając do zamkniętych drzwi, stuknęła w nie głucho. Mężczyźni roześmiali się z ulgą, nie mając pojęcia, z czym mają do czynienia. Wtem kula nieznacznie odbiła się od wysokich, dwuskrzydłowych drzwi i ujrzeli w jej wnętrzu niewielki, żarzący się punkcik. Uśmiech zniknął z ich twarzy w ułamku sekundy. Spojrzeli na siebie z przerażeniem i w tym samym momencie zrozumieli, że to ostania chwila ich życia. Gdy podpalony wcześniej lont zniknął w środku wypełnionej prochem kuli, potężny wybuch rozerwał ich ciała na strzępy, wysadzając jednocześnie masywne drzwi wejściowe. Główna sala twierdzy Illion stanęła otworem przed człowiekiem, który posiadał najpilniej strzeżony sekret chińskich alchemików. Wykraść im tajemnicę prochu.

Ogłuszająca eksplozja nastąpiła dokładnie w chwili, gdy Armand van der Zahr zamierzał przekazać złoty krzyż Violette. Wśród przeraźliwego huku potężne dębowe drzwi rozleciały się w drzazgi, pozostawiając w murze ziejący kłębamii czarnego dymu wyłom. Wewnątrz zapanowała beładna panika, a Armand odruchowo cofnął rękę z krzyżem i odwróciwszy się, przezornie wrzucił go z powrotem na dno szkatuły. Gdy Violette usłyszała cichy trzask zamykanego przez biskupa Hereforda wieka, pojęła, że właśnie straciła ostatnią szansę, by zemścić się na swym prześladowcy.

„Czyżby?” - przemknęło w jej umyśle.

Znajdowała się tylko o krok od Armanda i nagle przypomniała sobie, że wciąż ściska w dłoni rękojeść zatrutego sztyletu. Bez zastanowienia wydobyła go z fałdów sukni i jednym ruchem zadała zdradziecki cios, usiłując z całych sił wbić ostrze między żebra władcy. Ale diuk Bretanii zareagował błyskawicznie, a ręka szybsza niż oko zdradziła, że był niegdyś wojownikiem. Szkarłatny, obsyty futrem z gronostaja płaszcz zafalował na jego szerokich barkach, gdy wykonując zręczny unik, schwycił ją za nadgarstek. Przez jedną krótką chwilę dostrzegła w jego oczach błysk uznania, a potem wykręcił jej ramię i odbierając broń, brutalnie zepchnął z wyściełanego czerwonym kobiercem podestu. Violette stoczyła się po schodach i upadła na ziemię, a Armand z rozmachem wbił sztylet prosto w rzeźbioną poręcz stojącego obok krzesła. W ogólnym zamęciu nikt nie zauważył nawet, że przed chwilą miał miejsce zamach na życie władcy.

Spostrzegł to tylko jeden człowiek - ten, który spokojnie wszedł do sali przez nieistniejące już drzwi i pewnym

krokiem zmierzał wprost do podwyższenia, na którym stał Armand van der Zahr. Przerażony i zdezorientowany tłum rozstępował się przed nim niczym Morze Czerwone, a histeryczne krzyki kobiet milkły, gdy przechodził obok. Długi, postrzępiony płaszcz i kaptur skrywały tożsamość tego, który dźwigając na barkach przekłety oręż, szedł na spotkanie ze swym przeznaczeniem. Gdy Armand zauważył zbliżającą się do niego postać, w pierwszej chwili nie uwierzył własnym oczom.

„On nie mógł tego przeżyć” - pomyślał, rozważając w pośpiechu taką ewentualność.

A potem ujrzał rękojeść Nefrytowego Fatum wystającą znad barku przybysza i wszystko stało się jasne. Violette jak oniemiała wpatrywała się w dziwnie znajomą sylwetkę mężczyzny, który do złudzenia przypominał jej kogoś, kogo śmierć widziała przecież na własne oczy. Powoli wyłaniał się ze spowijających salę kłębow ciemnego, duszącego dymu i bez zbędnego pośpiechu kroczył środkiem czerwonego dywanu niczym ponury zwiastun wyroku ciężącego na władcy tego zamku.

- Kim jesteś?! - zakrzyknął Armand, gdy obcy zatrzymał się w odległości kilku kroków od niego.

- Nie poznajesz mnie? - odparł tajemniczy przybysz i jednym ruchem zrzucił z głowy obszerny kaptur.

- Przyjrzyj się dobrze, Armandzie van der Zahr! Jestem twoim synem - owocem twej pychy i zuchwałości! Jeśli masz dość odwagi, spójrz mi w oczy, a zobaczysz odbicie własnej zuchwałości!

W tym samym momencie z piersi Violette wyrwał się zdławiony okrzyk, gdyż klęcząc na ziemi pomiędzy nimi, zdała sobie sprawę, że opatrność po raz kolejny okrutnie

z niej zadrwiła. Diuk Bretanii przenikliwym wzrokiem wpatrywał się w Reynarda, lecz wyraz jego twarzy pozostał nieodgadniony.

- Kłamiesz! - oświadczył w końcu donośnym głosem. - Ja nie mam syna!

Nagle do sali wdarł się uzbrojony oddział straży przybocznej i władca jednym tchem rzucił do swych najgroźniejszych siepaczy:

- Zabić go!

Rozkaz władcy nie zaskoczył wędrowca, wręcz przeciwnie - spodziewał się tego. Znał swego przeciwnika o wiele lepiej, niż by chciał. Dlatego bez trudu przejrzał jego sposób myślenia i potrafił przewidzieć każde posunięcie. Wiedział, że Armand van der Zahr posłuży się żołnierzami, by zyskać na czasie, ale to już na nic się nie zda. Więzy krwi, które sprawiły, że byli do siebie tak podobni, stały się jego przekleństwem, i istniał tylko jeden sposób, by zerwać je raz na zawsze.

„Armand van der Zahr musi zginąć!” - wydał w sercu wyrok na własnego ojca.

Wędrowiec miał naprzeciw siebie doborowy oddział złożony z doskonale wyćwiczonych żołnierzy, gotowych z błyskiem ślepej nienawiści w oczach wypełnić każde polecenie swego władcy. Oto najlepsi z najlepszych - waleczni, okrutni i bezwzględnie posłuszni, tak jak dowódca, który ich wyszkolił. Diuk Bretanii darzył ich bezgranicznym zaufaniem. Wiedział, że wypełnią swój obowiązek do końca i poświęcą własne życie w jego obronie. Dlatego bez chwili wahania posłał ich na pewną śmierć z ręki młodzieńca, który posiadał Nefrytowe Fatum, gdyż prócz niego samego tylko Armand znał legendarną tajemnicę

miecza, który czynił niepokonanym tego, kto dzierżył go w swej dłoni. Uzbrojeni siepacze w jednej chwili otoczyli go i zaatakowali. Było ich trzydziestu, ale równie dobrze mogło być trzystu. To nie sprawiało mu już najmniejszej różnicy. Nie cofnął się, nie odskoczył, nie zrobił żadnego uniku. Tym razem nie musiał. Spokojnie położył dłoń na rękojeści przekłętego ostrza i przymknął powieki. „Już czas!” - zdecydował.

Nim nadbiegający kapitan straży zdążył zadać pierwszy cios, Reynard błyskawicznym ruchem dobył miecza i ich klingi skrzyżowały się z ogromnym impetem. Rozległ się metaliczny szcęk i na twarzy żołnierza odmalowało się bezgraniczne zdumienie, gdy ujrzał, jak głownia jego własnego oręża pęka pod naporem miecza przeciwnika i z brzękiem uderza o kamienną posadzkę.

„Jak to możliwe?!” - niedowierzał.

Przez ułamek sekundy wpatrywał się z tępym wzrokiem w odłamaną ostrze miecza i pojął, że nie mają z nim szans. Zapomniana przez wieki legenda znów ożyła, a oni poznali prawdziwą moc Nefrytowego Fatum — miecza, który jest w stanie skruszyć każde ostrze, z jakim się skrzyżuje. Piękna klinga ze świstem błysnęła w powietrzu i z zadziwiającą łatwością przebiła metalowy pancerz zbroi, zatapiając się w piersi żołnierza aż po rękojeść. Ciepła krew trysnęła na twarz wojownika i Violette dostrzegła, jak jego usta rozciągają się w złowieszczym uśmiechu. A potem rozpętało się piekło...

Reynard wydał z siebie dziki okrzyk i bez zastanowienia rzucił się prosto w wir walki z nacierającym oddziałem. Niczym pogrążony w transie odcinał głowy, ręce

i nogi, a złaknione ludzkiej krwi ostrze prowadziło jego dłoń bezbłędnie. Jego przeciwnicy nigdy dotąd nie widzieli tak płynnych ruchów miecza, z których jeden przechodził w następny, a każdy trafiał w cel ze śmiertelnością precyzją. Odbierał życie wszystkim, którzy stanęli na jego drodze i nic nie było w stanie go powstrzymać.

Violette bezsilnie patrzyła, jak gasną w nim wszelkie ludzkie emocje - przestawał widzieć, słyszeć i czuć, a w jego zasnutych mgłą krwawego amoku oczach nie odbijało się już nic prócz upiornej pustki. Tkwiące w nim pierwotne siły natury rozbudziły się, wybuchając odwieczną, prymitywną agresją. Było w nim coś nieludzko przerażającego - granicząca z obłędem brutalna furia, szaleństwo, nad którym nie potrafił zapanować. Kierował nim na wpół zwierzęcy, morderczy instynkt, który odbierając mu świadomość, sprawił, że bezpowrotnie pogrążył się w otchłań chaosu, siejąc wokół siebie jedynie śmierć i zniszczenie. Nie był już sobą. Pradawne zło czające się w ostrzu przeklętego miecza przejęło nad nim kontrolę, a Violette po raz pierwszy w życiu poczuła, że się go boi.

Gdy na oczach przerażonych arystokratów poległ ostatni z walczących żołdaków, stało się jasne, że Armand van der Zahr przestał panować nad sytuacją. Został zupełnie sam. W przeciągu kilku chwil stracił oddział swych najlepszych żołnierzy, a człowiek, który tego dokonał, stał spokojnie wśród stosów martwych ciał i mierząc ostrzem w jego kierunku, patrzył prosto w oczy władcy, jakby zapowiadał mu rychłą i nieuchronną śmierć.

- Czego chcesz?! - zakrzyknął gniewnie Armand.

— Odebrać ci to, co wiele lat temu bezprawnie zrabowałeś ze Świątyni Czterech Wichrów!

Władca w zamyśleniu przyglądał się tajemniczemu przybyszowi, skrywając wszystkie swe odczucia za kamienną maską srogiego oblicza.

„A więc przyszedłeś mnie zabić” — znał już prawdę.

- Nie zmieniłeś się od tamtego czasu, Armandzie van der Zahr - wyrzekł wędrowiec, kierując wzrok na Violette. - Wciąż sięgasz po to, do czego nie masz prawa...

To jedno spojrzenie zdradziło wszystko. Armand uchwycił je okiem bystrego obserwatora i w tym momencie dotarło do niego, dlaczego ten chłopak tak bardzo pragnie go zgładzić.

„Przekleństwa ojców stają się dziedzictwem ich synów” - pomyślał władca.

Jedyną obsesją Armanda było odwieczne pragnienie sięgnięcia po to, co nigdy mu się nie należało. Uporczywie zdobywał więc władzę, zaszczyty i bogactwo, ale kilka dni temu zdał sobie sprawę, że pożąda czegoś jeszcze -zakazanego owocu grzesznej rozkoszy, jaką mogła dać mu jedynie własna córka. Violette de Montraine, niczym bezwolna i nieujarzmiona siła natury, samoistnie rozbudzała w mężczyznach mroczną fascynację, której nie sposób było się oprzeć. Kwestią czasu było, kiedy obydwaj jej ulegną.

- Jak śmiesz snuć tak podłe insynuacje?! - wykrzyknął oburzony Armand, odgrywając mistrzowskie przedstawienie na oczach swych gości. - Nie wiem, kim jesteś, i nie obchodzi mnie to! Musiałeś postradać zmysły, zjawiając się tutaj, ale zapłacisz mi za tę zniewagę, i to szybciej niż myślisz!

Jak na zawołanie boczne drzwi rozwarły się z hukiem i do sali wpadły dwa oddziały uzbrojonych po zęby

żołnierzy, którzy w mgnieniu oka otoczyli intruza zwartym pierścieniem. Reynard rozejrzał się wokół siebie i dostrzegł kątem oka, jak wąskie usta władcy rozciągają się w przebiegłym uśmiechu. Zrozumiał, że po raz kolejny dał się podejść.

„Tym razem już ostatni” - obiecał sobie.

Armand rozegrał to bardzo sprytnie - wciągając przeciwnika w bezcelową wymianę zdań, zyskał dokładnie tyle czasu, ile potrzeba do przybycia posiłków. Teraz postąpił o krok do przodu i chłodnym, pozbawionym emocji głosem stratega wydał tylko jeden rozkaz:

- Do ataku!

Oczekujący w pogotowiu żołdacy już mieli rzucić się do natarcia, gdy wtem usłyszeli donośną komendę:

- Stać!

Zatrzymali się w jednej chwili, nieomylnie rozpoznając głos swego dowódcy i w milczeniu patrzyli, jak wysoka sylwetka rycerza powoli wyłania się spomiędzy tłumu. Kierowało nimi bezwzględne, oparte na panicznym lęku posłuszeństwo, przewyższające nawet powinność wobec władcy. Dopiero teraz Armand van der Zahr ostatecznie przekonał się, komu naprawdę wierna jest jego armia. Lecz zrozumiał to zbyt późno. Albin de Vessel, krocząc środkiem czerwonego kobierca, zbliżał się do podestu władcy, mijając trwożnie rozstępujących się przed nim żołnierzy.

- Za pozwoleniem, panie! - zawołał. - Mam z tym człowiekiem własne rachunki do wyrównania!

Kłaniając się Armandowi, nieznacznie odsłonił lewy policzek, oszpecony długą, cienką blizną. Diuk Bretanii w milczeniu skinął głową i uniósł dłoń w geście przyzwolenia, starając się choć zachować pozory suwerenności, gdyż wiedział, że w tej sytuacji nie pozostało mu już nic innego. Nienawistne spojrzenia dwóch

wojowników skrzyżowały się ze sobą i obaj zdali sobie sprawę, że ta walka dla jednego z nich okaże się ostatnią.

- Jeśli szukasz śmierci, przybyszu — krzyknął rycerz -to właśnie ją znalazłeś!

- Znalazłem jedynie głupca, który nie wie, z kim się mierzy.

- Już raz cię pokonałem i mogę zrobić to znowu!

- Wtedy nie chciałem cię zabić, ale nie popełnię więcej tego samego błędu.

Znajdowali się w odległości kilkunastu kroków od siebie, gdy Albin zręcznie dobył broni i z bojowym okrzykiem na ustach ruszył do ataku. Biegając z szybkością błyskawicy nie widział już w swym przeciwniku człowieka, a jedynie cel, który musi unicestwić za wszelką cenę.

„Teraz albo nigdy!” - postanowił.

Ostrze jego miecza samoistnie mierzyło prosto w pierś wędrowca, który stojąc nieruchomo, z dziwnym spokojem oczekiwał na pierwsze uderzenie. I nagle stało się coś niespodziewanego... Wyciągnięta dłoń Reynarda zadrżała, a Nefrytowe Fatum wysunęło się z niej i z metalicznym brzękiem uderzyło o podłogę. Jego przepelnione krwawym amokiem źrenice rozszerzyły się gwałtownie, a klatkę piersiową przeszył bolesny spazm, który w jednej chwili powalił go na kolana.

„Nie! Tylko nie teraz!” - błagał w myśli.

Usiłował zwalczyć w sobie atak straszliwego bólu, lecz nie był w stanie. Przegrał. Mógł już tylko bezsilnie spoglądać w przeraźliwie puste oczy Śmierci zbliżającej się

do niego na lotnych skrzydłach tuż za odzianym w biel rycerzem. Pokonany przez własne, ułomne ciało, które odmawiało mu posłuszeństwa w najmniej oczekiwanych momentach, stał się ofiarą losu i igrzysk bogów. Niezwyciężony wojownik, we władaniu którego znalazła się potęga Nefrytowego Fatum, był w istocie człowiekiem godnym pożałowania, nieodwracalnie skazanym na klęskę w walce z ludzką słabością.

Szarżujący z wściekłością Albin dostrzegł w zachowaniu przeciwnika jedynie nieudolną próbę wzbudzenia litości lub zastosowania podstępnego fortelu. Tylko Violette zdawała sobie sprawę z tego, co naprawdę się dzieje, i nim ostrze miecza dosięgło wędrowca, w mgnieniu oka zerwała się z ziemi i rzuciła w jego kierunku. Błękitna suknia zafalowała i nim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, zasłoniła Reynarda własnym ciałem, krzycząc:

- Weź moje życie!

Jedynie ułamki sekund dzieliły ją od nieuchronnej śmierci, gdy Albin cudem zdołał zatrzymać sztych miecza o cal od jej gardła. Na sali rozległy się przerażone głosy kobiet, a Violette poczuła, że miękną jej kolana i wszystko wokół zaczyna wirować. Albin zastygł w bezruchu, trzymając ostrze miecza na wysokości jej szyi i z niedowierzaniem wpatrywał się w chłodną determinację przebijającą z oczu dziewczynki. Wokół zaległa cisza. Wszyscy w napięciu oczekiwali na dalszy rozwój wypadków, gdy wtem pod kopułą gotyckiego sklepienia rozległ się przepełniony gorczą śmiech Albina.

- To prawdziwa ironia losu, że dziewczyna, którą kocham, staje w obronie mojego największego wroga! - zawołał i opuścił miecz.

Ostatnie słowa rycerza zaparły jej dech w piersiach i zaskoczona tym nagłym wyznaniem, spuściła wzrok. Spodziewałaby się po nim wszystkiego - z wyjątkiem tej jednej rzeczy.

- Twój wybór, Violette de Montraine - rzucił jej lodowatym tonem i odwróciwszy się na pięcie, odszedł.

Armand van der Zahr nie posiadał się ze zdumienia.

- Dokąd idziesz?! - wykrzyknął. - Natychmiast wracaj i walcz! To rozkaz!

Ale tym razem gniewne krzyki władcy nie zdołały już przywrócić go do porządku. Spokojnym, pewnym krokiem opuścił salę i nikt nie śmiał go zatrzymać. Po raz pierwszy w życiu nie wypełnił polecenia swego władcy i nareszcie poczuł się wolny.

Po tym jak Serim wyniósł z lochu córkę de Montraine'a i zniknął w czeluściach korytarza, wśród skazańców zapanowała cisza. Choć wyłamana krata leżała na ziemi, a droga do wolności wydawała się stać otworem, to żaden z nich nawet się nie poruszył. Długie lata spędzone w zamknięciu i izolacji sprawiły, że ludzie ci zapomnieli wole walki i chęć życia. Żyli w mrocznych podziemiach twierdzy Illion niczym zwierzęta w klatkach — wychudzone, brudne i cuchnące.

Kierowali się jedynie instynktem, wyrywając sobie ochłapy jedzenia i brutalnie zaspokajając swe plugawe żądze jedni na drugich. Wiedzieli, że prędzej czy później zgniją na dnie tego lochu i nic poza tym nie miało znaczenia. Zapomnieli, jak to jest być wolnym człowiekiem - mieć własny dom i rodzinę, którą się kocha. Trwali w letargu, zatraciwszy sens istnienia, a każdy kolejny

dzień był przedłużającą się agonią, wegetacją bez celu i nadziei. Właściwie nie byli już ludźmi, tylko żywymi trupami świadomymi swej egzystencji, lecz pogrążonymi w marazmie i zniechęceniu. Nie mieli sił i motywacji, by walczyć o swój byt lub godną śmierć.

„Jeśli nie można niczego zmienić, to po co próbować?” - mawiali.

Atmosfera tych murów była tak posepna i przytłaczająca, że spowodowała całkowitą apatię i zobojętnienie, objawiające się utratą ludzkich uczuć i odruchów. Dla nich twierdza była jednym wielkim więzieniem, z którego nie można się wydostać, a każdy, kto raz tu trafił, już nigdy nie opuszczał tego miejsca. To była jedyna znana im prawda, dlatego nawet nie próbowali uciekać.

W przeciwieństwie do nich mały chłopiec, który oddał Sophie kawałek własnego chleba, wpatrywał się jak zahipnotyzowany w pusty otwór wejściowy. Po raz pierwszy coś uległo zmianie, zakłóciło rytm i porządek tego miejsca, a on sam zyskał możliwość, której dotąd nie miał. Gdy jego matka trafiła do tego lochu, była jeszcze młodą dziewczyną. Miała w domu młodsze rodzeństwo i kradła, by je wyżywić. Przyłapana na targu przez jednego z handlarzy, została oddana w ręce żołnierzy i osadzona w więzieniu na długie lata. Jej koszmar zaczął się tuż po przybyciu, gdy w wyniku brutalnego i odrażającego gwałtu zaszła w ciążę. Napastników było tak wielu, że nigdy nie dowiedziała się, który z nich był ojcem jej dziecka. Urodziła syna w bólach na oczach współwięźniów i wykarmiła chudym mlekiem własnych piersi, choć inni podpowiadali jej, by udusiła bachora. Tak byłoby łatwiej...

Pozornie nie miał żadnych szans na przeżycie, ale ona zdecydowała inaczej. Ten malec był jedyną rzeczą, którą mogła mieć tutaj na własność, a zarazem częścią niej samej. Dlatego starała się go chronić tak długo, jak było to możliwe. W końcu pewnej nocy, gdy chłopiec miał zaledwie dwa lata, chory na wściekliczną szczur pogryzł jego matkę, a ona zapadła na śmiertelną gorączkę i w parę dni później odeszła z tego świata, zostawiając go samego na dnie ciemnego lochu.

Z czasem miał stać się taki sam jak oni wszyscy — obojętny na ludzką krzywdę, ból i cierpienie. Prócz matki nikt nigdy nie okazał mu nawet odrobiny serca, ale jej miłość wystarczyła, by dowiedział się, że istnieje dobro. Choć nigdy nie popełnił żadnego przestępstwa, spędził w tym lochu kilka kolejnych lat, tak jakby nigdy nie istniał. Ani razu nie zażył kąpieli, nie najadł się do syta i nie zasnął w ciepłym łóżku. Zapomniany przez wszystkich, zdołał przetrwać, przystosowując się do otoczenia, w którym żył.

Wszystko zmieniło się dopiero w chwili, gdy zobaczył Sophie. Była niewiele starsza od niego i pochodziła ze świata zewnętrznego. Nieraz słyszał, jak inni więźniowie opowiadali o tym, co jest za murami twierdzy, lecz było to dla niego zupełną abstrakcją - czymś nieosiągalnym, czego nie potrafił sobie nawet wyobrazić. Ale dziś zrzędzeniem losu brama do tamtego świata została otwarta, a on mógł stąd wyjść. Czując neodpartą potrzebę opuszczenia tego miejsca, wstał i mijając w ciszy pozostałych skazańców, jako jedyny przekroczył próg lochu i odważył się sięgnąć po wolność.

Gdy znalazł się na pustym korytarzu, odetchnął głęboko i rozglądając się na boki, ruszył przed siebie. Idąc

wąskim, słabo oświetlonym przejściem, zapuszczał się coraz głębiej w sieć podziemnych przejść, a strach przed nieznanym mieszał się w nim z dziecinną ciekawością, która popychała go wciąż naprzód. Nie oglądał się za siebie. Po raz pierwszy w życiu podążał w jakimś kierunku i miał cel, do którego zmierzał. Nie żałował swojej decyzji i wiedział, że nawet gdyby miał zostać schwytany przez wartowników i zabity, było warto zaryzykować.

Przemierzając szeroki korytarz, oświetlony w kilku miejscach płonącymi pochodniami, dostrzegł przykutego do ściany Hagen, który klęczał ze zwieszoną głową, a jego długie, jasne włosy niemal dotykały końcami podłogi. Cios wymierzony przez Serima był tak potężny, że zwałiłby go z nóg, gdyby łańcuch nie podtrzymał upadającego ciała, które zawisło na jednej ręce. Chłopiec rozpoznał w nim wikinga, który przyniósł do lochu Sophie i widząc, że jest w połowie przytomny, zamierzał wykorzystać ten fakt i przemknąć obok niego niepostrzeżenie.

Ruszył ostrożnie w stronę norda i zbliżając się bezszelestnie, usiłował minąć go jak najszybciej, lecz w tej samej chwili potracił bosą stopą leżący na ziemi miecz. Żelazna głownia zaszczekała metalicznie o kamienną podłogę, a zamroczony Hagen wydał z siebie cichy, przeciągły jęk, świadczący o tym, że wraca mu świadomość. Mały uciekinier zatrzymał się i struchlał ze strachu, stojąc na wprost unieruchomionego wojownika. Miał nadzieję, że pozostanie niezauważony, lecz w tym momencie wiking podniósł swój mętny wzrok i spojrzał na niego. Żaden z nich nie wyrzekł ani słowa, ale nić porozumienia nawiązała się błyskawicznie między więzionym całe życie

chłopcem i przykutym do muru wikingiem. Mały wiedział już, co musi zrobić.

Schylił się i chwycił za rękojeść nordyckiego miecza, który leżał obok niego. Uniósł go z trudem dwoma rękami i zachwiał się na nogach pod ciężarem oręża. Wziął szeroki zamach i z całych sił uderzył ostrzem w żelazny łańcuch, który przytwierdzał kajdany do muru. Sypnęły się iskry i już po chwili Hagen był wolny. Podparł się drugą ręką i spoglądając na niego ze zdumieniem, spróbował wstać.

„Jak to możliwe, że zdołał unieść tak ciężki miecz?”
-zastanawiał się.

Wiedział, że chłopiec mógł chybić i przez przypadek odrąbać mu rękę, ale i tak był pod wrażeniem. Przyjrzał się uważnie jego brudnej twarzy, wychudzonej sylwetce, podartym łachmanom, i wiedział już, z kim ma do czynienia. Ten wygląd mówił wszystko, lecz w jego oczach dostrzegał niespotykaną hardość i siłę charakteru.

- Uciekłeś z lochu? - spytał, choć dobrze znał odpowiedź.

Chłopiec spuścił wzrok i w milczeniu zacisnął zęby. Nagle w korytarzu rozległy się kroki nadbiegających strażników i Hagen zdawał sobie sprawę, że powinien oddać dzieciaka w ich ręce. Ale zamiast tego chwycił go za kark i wciągnął za siebie, a potem wstał i prostując się, ukrył zbiega za swoimi plecami. Pozwolił, by wartownicy minęli ich w nieświadomości, a gdy zniknęli za zakrętem korytarza, odezwał się do chłopca:

- Jak cię zwa?

- Arne - odrzekł bez przekonania. Młody wiking zamyślił się przez chwilę.

- Więc od dziś będziesz mi służył, Arne - zdecydował. Mały spuścił głowę na znak posłuszeństwa, lecz czujne spojrzenie jego ciemnych oczu wciąż utkwione było w postawnym nordzie.

- A teraz oddaj mój miecz - wyrzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu i wyciągnął rękę po swą broń.

- Tak, panie.

Zafascynowany bronią chłopiec niechętnie wykonał rozkaz swego nowego protektora i Hagen przypomniał sobie, jak będąc w jego wieku, sam próbował stanąć do walki z przeciwnikami silniejszymi od siebie, choć z trudem był w stanie utrzymać w dłoniach ojcowski oręż.

Zdyszany Serim niosący na rękach Sophie wybiegł z podziemi prosto na opustoszały dziedziniec zamkowy i gorączkowo rozglądał się w poszukiwaniu Ablaja i Tarika. Mieli się tu z nim spotkać, lecz po najemnikach nie było nawet śladu.

„Do diaska! - wściekał się. - Gdzie się podziali ci gamonie?!”

Jeśli nie liczyć kilku koni w bogatych uprzężach, to podwórzec twierdzy był prawie pusty. Głównej bramy wjazdowej strzegło jedynie dwóch wartowników, gdyż pozostałych w trybie natychmiastowym oddelegowano do sali reprezentacyjnej. Dochodzące stamtąd odgłosy potyczki świadczyły o tym, że Reynard rozpoczął już to, co zamierzył, i nic nie mogło przeszkodzić mu w wyrównaniu rachunków z Armandem van der Zahrem. Niespodziewane pojawienie się intruza w czasie uroczystej ceremonii spowodowało takie zamieszanie, że nikomu nie przyszło na myśl, by wzmocnić ochronę

dziedzińca. A to z kolei było Serimowi na rękę. Jak dotąd ich wspólny plan działał bez zarzutu. Najemnicy wykonali swoją część zadania, a reszta zależała już tylko od wędrowca. Serim niepostrzeżenie podkradł się do jednego z uwiązanych przy żłobie wierzchowców i umieściwszy w siodle Sophie, zaczął pospiesznie rozsupływać lejce.

— Hej, ty! - krzyknął ostrzegawczo wartownik. - Zostaw tego konia!

Najemnik łypnął okiem w kierunku dwóch zbliżających się od strony bramy żołnierzy.

— Nie słyszysz, co się do ciebie mówi?!

Smagłą twarz Serima skrzywił łotrowski uśmiech. Nie musiał już stosować wymyślnych forteli, by odciągnąć ich od posterunku. Sami pchali mu się w ręce.

„Niech im będzie" — stwierdził.

Spokojnie zaczekał, aż podejda wystarczająco blisko, i odwróciwszy się gwałtownie, przybrał wyniosły wyraz twarzy, po czym z beczelną arogancją zawołał:

— Jak śmiecie, pataluchy, zwracać się do mnie w ten sposób?! Jestem synem barona de Vez, a ten koń jest moją własnością!

Zdezorientowani wartownicy spojrzeli na siebie z niedowierzaniem i w tym samym momencie rozległ się cichy łomot, gdy Serim ogłuszył ich metalowym drągiem znalezionym obok poidła. Błyskawicznie odrzucił go od siebie i skrepowawszy zamoczonych strażników powrozem, wciągnął ich pomiędzy końskie kopyta. Rozejrzał się bacznie dokoła i nabrawszy pewności, że nikt go nie widział, chwycił za uzdę wierzchowca, na którym siedziała Sophie, i prowadząc go za sobą, ruszył w kierunku bramy.

Wiedział, że postawienie twierdzy w stan gotowości obronnej oznaczało zamknięcie wszystkich wyjść i podniesienie mostu zwodzonego, który stanowił jedyne połączenie ze światem. Do ponownego opuszczenia kładki i uniesienia masywnej, żelaznej kraty broniącej dostępu do wnętrza warowni, potrzeba było czterech krzepkich mężczyzn. Ale Serim mógł liczyć tylko na siebie.

„Jak zawsze wszystko muszę robić sam” - uzalał się poirytowany.

Doprowadziwszy Sophie pod bramę, zostawił ją, a sam zniknął w ciasnej wartowni. Wewnątrz panował nieznośny zaduch, a cierpka woń stęchłej oliwy mieszała się z ostrym zapachem ludzkiego potu. Po chwili Serim dostrzegł w półmroku niezliczone dźwignie, kołowrotki i przekładnie, uruchamiające mechanizmy obronne twierdzy. Na samym środku pomieszczenia znajdował się okazałej wielkości kierat, za pomocą którego zwodzono ruchomy most. Cztery drewniane ramiona przymocowane do kołowrotu niezaprzeczalnie wskazywały, że potrzeba czterech ludzi, by wprawić maszynę w ruch. Serim podszedł do jednej z belek i zapierając się mocno nogami, usiłował pchnąć ciężki kierat, ale bezskutecznie.

„Nawet nie drgnął” - zauważył z niechęcią.

Ciągły wpływ krwi z rany w boku stopniowo pozbawiał go nadludzkiej siły i najemnik z każdą chwilą stawał się coraz słabszy.

„Nie mogę teraz się poddać!” - uporczywie przekonywał sam siebie.

Zawzięty i uparty jak tur, na przekór samemu sobie spróbował jeszcze raz. Niczym prawdziwy mocarz zacisnął z bólu zęby i wyęzając wszystkie siły, zaczął cał

po calu obracać kamiennymi kołami kieratu. Pot ściekał strużkami po jego czole, a ciepła krew kapiała na ziemię, znacząc ślady najemnika. Gdzieś w górze zazgrzytały zębate tryby nienaoliwionych przekładni, a zaraz potem rozległ się cichy chrzęst grubych łańcuchów, gdy zawieszony na nich most zaczął z jękiem opuszczać się na dół. Kiedy szerokie przęsło ocieźzale wsparło się na przeciwległym brzegu, kierat stanął w miejscu, a znajdujący się u kresu wytrzymałości Serim odetchnął z ulgą. Teraz wystarczy tylko unieść żelazną kratę w bramie i będą wolni.

„Ale którą dźwignią?” - zastanawiał się w pośpiechu.

Jego bystry wzrok natychmiast padł na mocno wysłużoną korbę umocowaną na ścianie przy wejściu do wartowni.

„To ta!” - odgadł.

Bez chwili wahania chwycił za tłustą, drewnianą rączkę i kręcąc nią, usłyszał szcęk podnoszącej się w górę zapory. Wychylił się przez otwarte drzwi i spostrzegł na drugim końcu dziedzińca dwie kobiety, a raczej przebranych w damskie stroje najemników, z których jeden niósł na ramieniu nieprzytomnego brata. Gdy Ablaj ujrzał opuszczony most i czekającą przy nim Sophie, podbiegł do stojących wolno wierzchowców i wciągnąwszy ciało Tarika na grzbiet jednego z nich, szybko dołączył do Serima.

- Co mu się stało? — spytał najemnik, zerkając podejrzliwie na młodszego z braci.

- Lepiej nie pytaj — odparł Ablaj i nie zdążył powiedzieć już nic więcej, gdyż właśnie w tym momencie na dziedzińcu wypadli uzbrojeni strażnicy.

Krata została podniesiona jedynie do połowy wysokości, ale Serim wiedział, że to wystarczy, by zdołali wydostać się z twierdzy. Najemnik wybiegł z wartowni i łapiąc za lejce, gwałtownie pociągnął wierzchowca w stronę bramy. Zwierzę zarżało i na widok zbliżających się żołnierzy przyspieszyło kroku.

- Schyl się! - rzucił najemnik do Sophie, gdy przejeżdżała pod metalowymi zębami opuszczonej nisko zapory.

Kiedy tylko znaleźli się za bramą, Serim i Ablaj zwinnie wskoczyli na konie i puścili się pędem przez most, a potem przecinając galopem puste przedpole twierdzy, zniknęli w leśnej gęstwinie.

Armand van der Zahr niczym osłupiały patrzył w ślad za oddalającym się dowódcą swej niezwyciężonej armii, który na oczach zgromadzonych w tej sali dostojników, możnowładców i żołnierzy jawnie wypowiedział mu posłuszeństwo. Ci, którzy stali się świadkami całego zajścia, byli pod ogromnym wrażeniem odwagi i desperacji, z jaką córka de Montrainea usiłowała ocalić życie tajemniczemu przybyszowi. Jednak najbardziej zdumiony ze wszystkich był sam Reynard. Nigdy nie przypuszczałby, że Violette zasłoni go przed śmiertelnym ciosem własną pierś. Dlaczego ryzykowała swoje życie, by go chronić? Czyżby nie miała już nic do stracenia? A może zobaczyła w nim ostatnią szansę na uwolnienie się z tej przeklętej twierdzy.

„Nie, to nic z tych rzeczy - pomyślał. - Musiał istnieć jeszcze inny powód”.

Kłęcząc za plecami Violette, wędrowiec poczuł, że bolesne skurcze w klatce piersiowej zaczynają ustępować równie nagle i niespodziewanie, jak się pojawiły,

a w jego znużone ciało na nowo wstępuje życiodajna energia. Niepojętym zrządzeniem losu zdołał odzyskać siły i niepostrzeżenie sięgnął po leżący obok miecz, by cicho wsunąć go w zawieszoną na plecach oprawę.

„Spotkamy się innym razem, Armandzie van der Zahr!” - rzucił mu w myślach.

Napięte mięśnie nerwowo drgnęły pod jego ubraniem, gdy przygotowany do skoku, gwałtownie zerwał się z ziemi i wykorzystując chwilę nieuwagi żołnierzy, chwycił w pasie zdezorientowaną Violette. Biorąc ją na ręce, wykonał nagły zwrot w kierunku van der Zahra i wbiegając na podwyższenie, minął zaskoczonego władcę. Nim ten zdążył zareagować, Reynard wybił się mocno ze szczytu podestu i trzymając w ramionach dziewczynę, dał susa prosto w okrągłe okno witrażowe. Delikatna konstrukcja z brzękiem rozleciała się na kawałki i wędrowiec usłyszał za sobą pełen wściekłości krzyk diuka Bretanii, gdy deszcz kolorowych odłamków szkła posypał się do wnętrza sali. Choć ostre krawędzie dotkliwie pokaleczyły mu ręce i skroń, myślał tylko o tym, by ochronić przed nimi Violette. Gdy zdołał bezpiecznie wylądować na jednym z wewnętrznych dziedzińców zamku, szybko postawił oszołomioną dziewczynę na ziemi i łapiąc ją za rękę, pociągnął w stronę zachodniej wieży.

- Tędy! - zawołał. Nagle wyrwała mu się.

- Oszalałeś?! Tam jest wejście na wieżę! Musimy uciekać schodami w dół!

Wiedział, że nie ma czasu na wyjaśnienia, gdyż w oddali słychać już było kroki nadbiegających żołnierzy.

- Zaufaj mi - powiedział ze spokojem. - Ten jeden raz.

Niewzruszona pewność siebie i przebijające z jego oczu zdecydowanie sprawiły, że Violette uwierzyła słowom wędrowca i bezwiednie pozwoliła mu się prowadzić. Ale nim zdążyli dotrzeć do wieży, na dziedzińcu pojawili się uzbrojeni strażnicy i spostrzegłszy dwójkę uciekinierów, rzucili się za nimi w pogoń. Reynard błyskawicznie sięgnął w zanadrze i wy dobył stamtąd trzy niewielkie, wypełnione prochem kulki. Podpalając je o zatknięte przy wejściu do wieży łuczywo, zwinnie odwrócił się w biegu i cisnął dwie z nich za siebie, by odstraszyć żołnierzy. Niemal natychmiast rozległy się dwa wybuchy, a gęsta zasłona z kłębów czarnego, gryzącego dymu zatrzymała na chwilę strażników.

To wystarczyło, by Reynard i Violette zdążyli schronić się we wnętrzu wieży. Wbiegając na półpiętro, wędrowiec rzucił w dół ostatnią kulkę, której eksplozja doszczętnie zawałiła wejście grubą stertą kamiennego gruzu, odcinając zachodnią wieżę od reszty twierdzy. Reynard zaczął pospiesznie wspinać się do góry po krętej spirali schodów, bezlitośnie ciągnąc za sobą Violette. Gdy w końcu dotarli na sam szczyt, oczom dziewczyny ukazał się najbardziej zdumiewający ze wszystkich widoków w jej życiu. Oto na płaskim dachu wieży stała prymitywna lotnia. Violette nie mogąc wykrztusić z siebie słowa, patrzyła w osłupieniu, jak wędrowiec podbiega do drewnianej konstrukcji i zaczyna szybko rozciągać płócienne płachty skrzydeł na jej szkielecie.

— Chcesz tym polecieć?! - wykrzyknęła. — To czyste szaleństwo! Oboje zginiemy!

- Możliwe - odparł beznamiętnie. - Ale ty wciąż masz wybór, możesz wrócić do swojej wieży.

Na samo jej wspomnienie Violette poczuła uścisk w gardle i nerwowo zacisnęła dłonie.

- Nigdy tam nie wrócę - wyrzekła tonem, który sprawił, że Reynard oderwał wzrok od mocowania poszycia i spojrzał na nią.

Teraz był już pewien, że wolałaby umrzeć, niż żyć na łasce van der Zahra.

- Więc na co czekasz?! Pomóż mi!

Wtem gwałtowny podmuch wiatru poderwał lotnię w górę i obydwójce z trudem utrzymali ją na miejscu.

- Próbowales tego kiedyś?! - spytała, usiłując przekrzyczeć wzmagające się wietrzysko.

- Raz - odrzekł. - Dawno temu. -Ico?

- Człowiek najlepiej uczy się na własnych błędach. Dostrzegła niewyraźny uśmiech na jego twarzy.

- Zatem jest nadzieja, że wyjdziemy z tego cało!

- Nikła - stwierdził bez entuzjazmu. - Nie zdążyłem jeszcze dopracować kilku szczegółów!

Pęd wiatru z każdą chwilą przybierał na sile i Reynard zdawał sobie sprawę, że muszą się spieszyć. Gdy weszli pod rozpostarte skrzydła lotni, zręcznie umocował pod kilem prowizoryczną uprząż z grubych lin i starannie obwiązał nią w pasie Violette, a potem siebie. Chwytał za poprzeczny drążek sterownicy i na własnych barkach wniósł konstrukcję na mur otaczający blankami najwyższą wieżę twierdzy Illion. Violette stanęła wraz z nim na skraju przepaści i jak zahipnotyzowana chłonęła roztańczający się wokół niej widok. Bezkresny ogrom niczym nieograniczonej przestrzeni napawał ją lękiem, a zarazem budził fascynację.

Wzmagający się wicher z przekorną lubością rozwiewał jej jasne włosy i sprawiał, że coraz więcej niesfornych

kosmyków zaczynało wymykać się spod starannego upięcia. Przymknęła powieki i nagle poczuła, jak lotnia odrywa się od kamiennego muru tylko po to, by w chwilę później runąć prosto w otwierającą się pod nimi przepaść. Dla Violette czas zatrzymał się w miejscu, gdy spadając w dół z zawrotną prędkością, słyszała w oddali tylko swój własny krzyk.

Ale nim zdążyli roztrzaskać się o powierzchnię ziemi, Reynard przyciągnął energicznie zaczepione na końcach skrzydeł liny i lotnia niespodziewanie wzbija się w powietrze. Zataczając głęboki łuk paraboli, zaczęła wznosić się ku górze i porwana gwałtownym podmuchem wiatru, minęła o włos wierzchołki pierwszych drzew, przelatując tuż nad brzegiem lasu. Wędrowiec, zręcznie balansując własnym ciałem, zdołał w kilka sekund wyrównać trajektorię lotu i wykorzystując pomyślny prąd powietrza, poszybował w przestworza niczym ptak.

Gdy Violette otworzyła oczy, ujrzała przed sobą już tylko błękitny nieboskłon i iluzoryczną linię horyzontu, która od wieków oddzielała domenę boską od ludzkiej. Początkowe przerażenie z wolna ustępowało miejsca prawdziwej euforii, gdy czując na twarzy orzeźwiający powiew wiatru, uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie było jej dane zasmakować wolności tak bezwzględnej, wszechogarniającej i absolutnej. Od zawsze pragnęła bowiem wyswobodzić się z kępujących ją więzów i uciec jak najdalej od obowiązujących norm społecznych, powinności i zakazów. Dobrze wiedziała, że to marzenie nie może się spełnić, ale dzięki tajemniczemu wędrowcowi choć przez kilka chwil mogła oglądać świat oczyma anioła, któremu ktoś podarował skrzydła.

Otchłań

Niesiona chłodnym prądem powietrza lotnia szybowiała majestatycznie w przestworzach, a jej rozłożyste skrzydła rzucały podłużne cienie na ciemnozielone korony drzew, tworzących w dole gęsty las. Reynard zmrużył powieki od oślepiających promieni słonecznych i oglądając się za siebie, dostrzegł w oddali maleńki punkcik, stanowiący zarys potężnej twierdzy. Im większa odległość dzieliła go od zamku Illion, tym wyraźniejszą odczuwał ulgę. Chociaż nie udało mu się wyrównać rachunków z Armandem van der Zahrem, to jednak jakimś cudem zdołał wyrwać z jego szponów Violette i sprawić, że znów była bezpieczna.

Nie mógł zapominać o tym, że wciąż znajdowali się kilkaset stóp nad ziemią, a silne podmuchy porywistego wiatru nieubłaganie spychały ich coraz bardziej na zachód. Reynard starał się temu przeciwdziałać, wprawnie sterując lotnią i równoważąc jej środek ciężkości, ale w głębi ducha zdawał sobie sprawę, że nie zdoła już długo utrzymać obranego kursu. Znaleźli się na łasce jednego z czterech żywiołów, a wzmagający się z każdą chwilą wichur przypominał im, że są niczym wobec potęgi natury.

- Jak zamierzasz rym wylądować? - usłyszał obok zaniepokojony głos Violette.

- Jeszcze nie wiem - odparł zgodnie z prawdą.

- Czyżby to był jeden z tych szczegółów, których nie zdażyłeś dopracować?! - wykrzyknęła.

Wtedy zauważył pomiędzy drzewami skrzącą się w blasku słońca gładką toń jeziora i nagle w jego głowie zrodziła się myśl tak szalona, że wręcz genialna. Walcząc z podmuchami bocznego wiatru, zatoczył pętlę i zaczął stopniowo obniżać pułap lotu, aż do momentu, gdy wydawało się, że końce skrzydeł niemal muskają powierzchnię wody.

- Skacz! - zawołał niespodziewanie do Violette i sięgając po miecz, błyskawicznym ruchem przeciął liny podtrzymującej ich uprzęży.

- Co?!

Zaskoczona dziewczyna nie zdażyła nawet zaczerpnąć tchu, gdy runęła prosto w dół z okrzykiem przerażenia na ustach i uderzając o błękitne lustro wody, pogrążyła się w zimnych odmętach leśnego jeziora. Reynard uchwyciwszy się jedną ręką poprzecznego drążka sterownicy, zawisł w powietrzu i lecąc tuż nad powierzchnią wody, zdażył jeszcze wsunąć Nefrytowe Fatum w zawieszoną na plecach oprawę. Na widok zbliżającej się z ogromną prędkością ściany lasu puścił poprzeczkę na chwilę przed tym, jak lotnia z impetem roztrzaskała się o grube pnie przybrzeżnych drzew. Wędrowiec poszedł w wodę jak kamień i docierając do dna, energicznie odbił się od niego. Wypływając na powierzchnię, łapczywie wciągnął w płuca haust powietrza i rozejrzał się w poszukiwaniu Violette, ale nigdzie jej nie było.

Wtem dostrzegł wydobywające się spod wody pęcherzyki i bez zastanowienia rzucił się w tamtym kierunku. Dał głębokiego nura i po chwili wynurzył się wraz z dziewczyną, której ruchy krępowały kolejne warstwy przemokniętej, atłasowej sukni. Gdy wydostali się na brzeg, Violette opadła wycieńczona na zieloną trawę porastającą łagodną pochyłość wiodącej do jeziora skarpy. Zdyszany Reynard usiadł obok niej i poczuł, że ma dość wrażeń jak na jeden dzień. Nieopodal, pod koronami rozłożystych drzew leżały szczątki rozbitej lotni. Patrząc na nie, Violette uświadomiła sobie, jak niewiele dzieliło ich od śmierci.

- Czasem nie wiem, czy jesteś geniuszem, czy po prostu szaleńcem - wyrzekła cicho, spoglądając na połamane skrzydła.

- Sama zdecyduj - odrzekł z nikłym półuśmiechem.

Dwaj najemnicy galopowali co tchu miękkim leśnym duktem, mając za plecami nadciągającą ze straszliwą szybkością pogoń. Nerwowo popędzali wierzchowce, ale zmęczone zwierzęta, obciążone podwójnym ciężarem, nie były już w stanie wytrzymać morderczego tępa ucieczki. Serim wyraźnie słyszał w oddali tętent końskich kopyt i czuł, że oddział zbrojnych niezmordowanie ścigający ich od samych bram twierdzy Illion niemalże depte mu po piętach. Z każdą chwilą tracili swoją wcześniejszą przewagę i najemnik wiedział, że nie zdołają ujść daleko. Nie zamartwiał się tym jednak, gdyż obmyślony w najdrobniejszych szczegółach plan od początku zakładał taką ewentualność.

W umówionym miejscu, tuż za ostatnim zakretem

drogi czekał na nich Phil i gdy tylko spostrzegł zbliżających się najemników, natychmiast pociągnął z całych sił za ukrytą w gęstych zaroślach linę. W tym samym momencie spleciona z cienkich pędów leszczyny i zamaskowana listowiem krata uniosła się w górę i na krótką chwilę odsłoniła ukryte wejście do znajdującej się pod powierzchnią ziemi groty. Najemnicy bez zatrzymywania się wjechali do wnętrza pieczary, a lekka zasłona z gałęzi opadła tuż za nimi, ponownie maskując kryjówkę. Phil nie zdążył już schronić się przed nadciągającym oddziałem zbrojnych, więc usiadł na przydrożnym pniaku i przybrawszy znudzony wyraz twarzy, spokojnie obserwował nadjeżdżających żołnierzy. Nagle zatrzymali się tuż przed nim i dowódca straży rzucił doń z wysokości siodła:

- Hej, pachółku! Widziałeś dwóch jeźdźców?! Przestraszony chłopak spojrział na niego i wskazując kierunek, wyjąkał:

- P-po-pojechali tam.

Żołnierz przyjrzał się uważnie wyrostkowi w futrzanej czapce i zmarszczył brwi, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

- Wydaje mi się, że dziś już cię widziałem - stwierdził podejrzliwie.

Phil wytarł nos kawałkiem brudnego rękawa i czując, że serce podchodzi mu do gardła, odparł:

- T-to niemożliwe, panie. Szedłem tą drogą cały dzień. Kapitan zamyślił się przez chwilę, a potem najzwyczajniej w świecie machnął ręką.

- Ruszamy! - zawołał do swoich ludzi. Żołnierze odjechali, pozostawiając za sobą tumany

kurzu, a Phil odetchnął z ulgą. Wiedział, że minie trochę

czasu, zanim dowódca oddziału przypomni sobie, kto otwierał dziś na dziedzińcu drzwi powozu barona de Vez. Ale wtedy najemnicy będą się już znajdować daleko stąd.

Złota tarcza słoneczna coraz bardziej chyliła się ku zachodowi, malując bezkresny nieboskłon w barwy ognia i szkarłatu. Reynard i Violette już od dłuższego czasu niestrudzenie przemierzali dziewicze ostępy leśnej kniei, która istniała tu od zarania dziejów. Silne korzenie starych drzew wrosły mocno w tę ziemię jeszcze na długo przed tym, nim dotknęła jej ludzka stopa. Celtyckie plemiona zamieszkujące w przeszłości te tereny wierzyły, że las jest żywą istotą pełną duchów, bóstw i demonów. Był jedną z nieśmiertelnych potęg natury, która wciąż odradza się na nowo wraz z cyklem pór roku i kalendarzem księżyca. Dla druidów las stanowił najwyższe sanktuarium, godne składania ofiar zarówno ze zwierząt, jak i z ludzi.

„Ale chrześcijańscy zdobywcy uczynili zeń terytorium” - pomyślała Violette, przechodząc przez niego w ciszy.

Mimo to prymitywna, animistyczna wiara przetrwała w sercach okolicznych wieśniaków. Na przestrzeni wieków nie zdołali jej wytrzebić ani rzymscy najeźdźcy, ani katoliccy kapłani, gdyż to, z czym przyszło im się mierzyć, tkwiło głęboko w mrokach ludzkiej podświadomości i było znacznie starsze od wszystkich nauk Kościoła.

Nadchodzący zmierzch sprawiał, że cienie na ich drodze stawały się coraz dłuższe, a Violette nie mogła oprzeć się wrażeniu, że kiedyś już wędrowała przez tę niezwykłą krainę drzew o ciemnej, spękanej korze i powykręcanych

przez wiatr konarach. Przystanąła na chwilę wśród potężnych, wielowiekowych dębów, by wsłuchać się w kojący szelest poruszanego wiatrem listowia. Powoli cofnęła się pamięcią do czasów swego dzieciństwa i niespodziewanie rozpoznała to miejsce. Cienisty, dębowy zagajnik niejednokrotnie służył jej za schronienie przed fanatycznym motłochem tych, którzy nienawidzili jej tylko dlatego, że była inna. Ludzie nienawidzą tego, czego się boją. Wiedziała o tym aż nazbyt dobrze.

Ale zabobonni wieśniacy nie mieli odwagi, by wkroczyć do świętego miejsca druidów. Dlatego to, co stanowiło dla nich zakazaną enklawę, stało się dla niej bezpiecznym azylem. Teraz sędziwe drzewa znów zaszumiały na jej powitanie, a Violette zdała sobie sprawę, jak niewielka odległość dzieli ją od rodzinnego Vox. Natychmiast zerwała się z miejsca i odnajdując w gęstych zaroślach sobie tylko znaną ścieżkę, rzuciła się w kierunku zamku.

— Dokąd idziesz?! - krzyknął Reynard. - Zaczekaj!

Lecz Violette szybko zniknęła mu z oczu, zagłębiając się w gąszczu leszczyny porastającej łagodnie wzniesienie pagórka. Czowała, że musi po raz ostatni zobaczyć swój ukochany gród. Ta potrzeba była silniejsza niż wszystko inne, dlatego biegła coraz szybciej, mimo że głos rozsądku podpowiadał jej, że nie ma już do czego wracać. Dotarła na szczyt wzgórza dokładnie w chwili, gdy ostanie promienie zachodzącego słońca padały na ruiny zamku de Montraineow, oświetlając jego poczerniałe mury płomienną łuną. Ten obraz sprawił, że Violette zastygła w bezruchu i nie mogąc oderwać wzroku od roztaczającego się w dole widoku, wydała z siebie rozdzierający, pełen goryczy jęk. Pod wpływem nagłego impulsu ruszyła

przed siebie i zaczęła biec w dół zbocza, a napływające jej do oczu łzy sprawiały, że mijała kolejne drzewa niemal na oślep. W końcu stanęła u bram Vox i zatrzymując się, powoli przekroczyła jego progi. Zapadający zmierzch stopniowo spowijał mrokiem pograżoną w upiornej ciszy budowlę, nasycając powietrze aurą grozy i tajemniczości. Stojąc samotnie pośród dziesiątek świeżych, bezimiennych mogił, Violette pojęła, że stała się panią wymarłego grodu.

Mieszkańcy pobliskich wiosek wypełnili swą świętą powinność i pogrzebali zabitych, zamieniając dziedziniec w olbrzymie cmentarzysko usiane lasem prostych, drewnianych krzyży. I wtedy dostrzegła, że dwa groby leżące dokładnie pośrodku placu różnią się od pozostałych. Wysokie, obłożone kamieniami kopce pozbawione były chrześcijańskich symboli, gdyż wykonała je ręka obcego przybysza - innowiercy czczącego bóstwa nieznane w tym świecie. Violette domyśliła się, czyje to mogiły.

- Dziękuję, że ich pochowałeś - wyrzekła do Reynarda, który stanął kilka kroków za nią, i w tym samym momencie jej wzrok padł na zwęglony stos usypany wokół wbitego w ziemię pala.

Nagle poczuła chłód, przenikliwy i dławiący niczym zaciskająca się na szyi pętla. Nie musiała pytać wędrowca, jaką śmiercią zginęli jej rodzice, gdyż знаła odpowiedź. Miała przed oczami miejsce ich straszliwej kaźni, gdzie w niewypowiedzianych męczarniach dokonali swego żywota. To nie było morderstwo, lecz egzekucja. Spłonęli żywcem, stając się przestroga dla tych, którzy ośmieliliby się sprzeciwić diukowi Bretanii. Ich przeraźliwe krzyki wciąż niosły się echem po opustoszałych komnatach

zamku i odbijały od wysokich ścian dziedzińca, a Violette mogłaby niemal przysiąc, że je słyszy. Próbowwała zakryć dłońmi uszy, ale niecichnące głosy przyzywały ją do siebie i pojęła, że musi raz jeszcze ujrzeć swoich rodziców. Owładnięta tą myślą, rzuciła się w ich kierunku i padając na kolana przy mogiłach, zaczęła z obłąkańczą desperacją odrzucać na bok kamienie i rozgrzebywać gołymi rękami wilgotny, świeżo usypany grunt. Nim zdążyła odkryć spoczywające wewnątrz grobu zwłoki, Reynard podbiegł do niej i siłą odciągnął szlochającą dziewczynę.

- Puść mnie! - krzyknęła, wrywając mu się z maniakałnym uporem. - Muszę zobaczyć ich twarze ostatni raz!

Rozpacz w jej oczach graniczyła z obłędem i Reynard wiedział, że makabryczny widok zwęglonych ludzkich szczątków może nieodwracalnie przechylić tę szalę na stronę szaleństwa.

- Nie! - zawołał i brutalnie chwycił ją za rękę, krzyżując ramiona. — Nie pozwolę ci!

Wtem podczas szarpaniny syknęła z bólu, a mankiet lewego rękawa jej sukni zaplamił się krwią. To sprawiło, że nagle oprzytomniała, a Reynard odruchowo wypuścił ją z objęć i widząc, że odzyskała panowanie nad sobą, powoli odsłonił koronki zakrywające nadgarstek. Na wewnętrznej stronie przegubu widniały trzy poprzeczne, ledwie zabliźnione szramy, z których ostatnia rozerwała się, ukazując głęboką ranę ciętą. Wędrowiec ze zdumieniem wpatrywał się w to, co nie mogło być dziełem przypadku i w przeciągu kilku chwil pojął, że właśnie odkrył mroczny sekret Violette, który miał na zawsze pozostać jej tajemnicą.

- Dlaczego chciałaś to zrobić? - spytał, choć nie spodziewał się usłyszeć odpowiedzi.

Wiedział, że duma nigdy nie pozwoli jej przyznać się do własnej słabości przed kimś obcym. Ale tym razem pomylił się, gdyż nie był już dla niej „kimś obcym”.

- Tamtej nocy umarłeś - wyrzekła półgłosem. - A ja stałam się kolejną zdobyczą Armanda van der Zahra. Nic innego mi nie pozostało. Sam mówiłeś, że trzeba umieć pogodzić się z losem.

- Ale nie tak! - wybuchnął gniewem. - Nie w ten sposób! Śmierć zawsze jest najłatwiejszym wyjściem, ale trzeba mieć odwagę, by żyć dalej! Zanim cię spotkałem, też chciałem umrzeć, ale teraz...

Nagle zamilkł, gdyż uświadomił sobie, że powiedział o wiele więcej, niż zamierzał. Pośpiesznie wytargał z zanadru pasek lnianej tkaniny i przewiązał rękę Violette, chcąc odwrócić uwagę od własnego zmieszania. Ale wtedy poczuł na sobie głębokie spojrzenie jej ametystowych oczu i podnosząc wzrok, zrozumiał, że nie potrafi go już oderwać. Czaiło się w niej mroczne, tajemne piękno, któremu nie był w stanie się oprzeć.

Choć drżała z zimna, klęcząc na ziemi w mokrej, zabłoconej sukni, a jej potargane przez wiatr włosy opadały bezładnie na ramiona, odbijając złocistymi refleksami ostatnie promienie gasnącego słońca, to wciąż widział w niej boginię, która nigdy nie wydawała mu się piękniejsza niż w tej chwili. Pochylił się i opuszkami palców delikatnie starł odrobinę różowej pomadki, która podczas szamotaniny rozmazała się, wykraczając nieznacznie poza idealny kontur dziewczęcych ust. Dłoń Reynarda omiotło ciepłe tchnienie jej oddechu, a zbliżając się, wyczuł w powietrzu słodką woń dzikiej róży, która przyciągała go do Violette z siłą czystego opium. Nim zdążył

pojąć, co się z nim dzieje, znalazł się tak blisko niej, że jedynie ułamek sekundy dzielił ich od pocałunku. Lecz wtem postać Shu-Lien przemknęła mu przed oczami niczym senna zjawa i Reynard odruchowo cofnął rękę, odsuwając się od Violette. Dziewczyna dostrzegła to i spuściła wzrok. Nie musiał niczego tłumaczyć. Sama domyśliła się prawdy.

- Zrozumiem, jeśli z powodu Armanda już nigdy więcej mnie nie tkniesz - wyrzekła ze smutną rezygnacją w głosie.

- Nie, ty niczego nie rozumiesz... - zaczął, lecz nie pozwoliła mu dokończyć.

- To moja wina. Sama dokonałam wyboru. Inaczej on wyrządziłby krzywdę Sophie.

Jej słowa spadły na wędrowca niczym cios żelaznego obucha. Mimo to musiał się upewnić.

- Czy on cię... zniewolił? - spytał, nie mając odwagi nazwać rzeczy po imieniu.

- Tylko raz — wyznała cicho łamiącym się głosem i jej ramionami wstrząsnął nagły szloch.

Powinna była skłamać, a jednak nie zrobiła tego i teraz mogła już tylko patrzeć, jak Reynard wstaje i w milczeniu odchodzi. Zrozumiała, że popełniła niewybaczalny błąd, lecz było za późno. Została sama.

Wędrowiec dotarł do wysokiego muru otaczającego dziedziniec i przystanął, opierając się o niego ramieniem, a potem w głębokiej ciszy umierającego dnia zaciśnięta nerwowo pięść zatoczyła w powietrzu łuk i z ogromną siłą uderzyła w kamienną ścianę, dając upust jego wściekłości. Odłamki muru posypały się dokoła, a Violette drgnęła niespokojnie na ten dźwięk i szybko podniosła się z ziemi.

Krwawy ślad w płytkim wyłomie ściany świadczył o tym, że musiał dotkliwie uszkodzić rękę, ale nie zwrócił na to uwagi. Ignorując ból, powziął w swym sercu nieodwołalne postanowienie:

- Zabiję go!.-wydyszał nienawistnie,gdy Violette stanęła obok. - Przysięgam ci tu i teraz, że zabiję Armanda van der Zahra, a ty będziesz na to patrzeć.

Rankiem następnego dnia Albin de Vessel szybkim krokiem przemierzał zewnętrzny dziedziniec twierdzy Illion. Przechodząc obok rozłożystego różanego krzewu, tknięty nagłym impulsem, zatrzymał się, by po raz ostatni móc podziwiać jego piękno. Wiotkie, kolczaste pędy wspinały się po kamiennym murze, obsypując jego szarą powierzchnię kaskadami pachnącego kwiecia, którego delikatne, białe płatki pokrywały skrzące się w słońcu krople rosy. Albin wyciągnął dłoń i nie bacząc na ostre kolce, zerwał najpiękniejszy z kwiatów. A potem odszedł, zostawiając różę samą pośród zimnych i posepnych murów twierdzy.

Przed wejściem do zamku zagwizdał cicho, przywołując kołującego nad opustoszałym dziedzińcem sokoła, i gdy ten posłusznie usiadł mu na przedramieniu, przekroczył próg korytarza prowadzącego do mieszkalnej części pomieszczeń. Minąwszy kwatery żołnierzy, skierował się do swoich komnat, które zajmował jako dowódca armii. Otworzył kluczem drzwi i wszedł do środka, niosąc na ręku drapieżnego ptaka, który niespokojnie zatrzepotał skrzydłami na widok mocnej, metalowej klatki. Albin podniósł jej zasuwę i umieścił Rankora w zamkniętym wnętrzu.

- Bądź zdrow, przyjacielu.

Mówiąc to, zatrzasnął klatkę i odwrócił się, by sięgnąć po starą, pięknie rzeźbioną kuszę. Podjął już decyzję i nic nie było w stanie jej zmienić. Każdy twór sprzeciwia się w końcu swemu twórcy, a jego czas właśnie nadszedł. Ruszył w stronę wyjścia i nie oglądając się za siebie, opuścił pokój dowódcy, trzymając w ręku najbardziej śmiertelnoścą ze znanych mu broni. Idąc wzdłuż krętego korytarza, dotarł do schodów i pokonawszy kilkanaście stopni, znalazł się na półpiętrze, skąd osobnym przejściem dostał się do pomieszczeń, w których rezydował Armand van der Zahr. Rycerz stanął przed wysokimi drzwiami i zapukał trzykrotnie, a potem nie czekając na pozwolenie, wszedł do środka. Zastał swego władcę zasiadającego właśnie do posiłku i ostentacyjnie rzucił mu kuszę na stół.

- Nie będę ci dłużej służył - oświadczył krótko. - Odchodzę.

Armand spodziewał się, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym dowódca jego niezwyciężonej armii zapragnie pójść własną drogą. Nic nie trwa wiecznie, a jego bezwzględne oddanie i ślepe posłuszeństwo miały swoją cenę. Jej ostatnią kartą przetargową była wdzięczność.

- Już zapomniałeś o tym, co zrobiłem dla ciebie i twojej siostry?

- Przez te wszystkie lata spłaciłem swój dług - odrzekł spokojnie rycerz i skierował się do wyjścia.

- Głupcze! - krzyknął rozwścieczony władca. - Nigdy go nie spłacisz! I nigdy nie opuścisz żywo murów tego zamku!

Siepacz, który zaczął samodzielnie myśleć i odczuwać, nie jest już przydatny. Staje się groźny niczym dzikie

zwierzę spuszczone z łańcucha. Ale ta sytuacja była dla Armanda podwójnie niebezpieczna. Podczas wczorajszej uroczystości przyszło mu boleśnie przekonać się o tym, komu naprawdę wierni są jego żołnierze. Pozostało już tylko kwestią czasu, kiedy Albin stanie na czele zbrojnego buntu i zabijając swego protektora, sam sięgnie po władzę. Diuk Bretanii nie mógł do tego dopuścić, lecz patrząc na oddalającą się sylwetkę rycerza, pojął również, że nie może pozwolić mu odejść.

W nagłym przypiływie emocji chwycił leżącą na stole broń i wybiegł na balkon. Zobaczył, jak niezatrzymywany przez nikogo Albin zdecydowanym krokiem przecina dziedziniec, wsiada na swego wierzchowca i odjeżdża w kierunku bramy. Władca bez chwili namysłu napiął cięciwę kuszy, wymierzył w plecy rycerza i strzelił. Albin zachwiał się, gdy grot wypuszczonego ze świstem bełtu przeszył jego ciało, lecz zdołał utrzymać się w siodle i opuścić ponure mury twierdzy. Teraz wiedział już, że jedyną zapłatą, jakiej mógł oczekiwać po latach wiernej służby, był zdradziecki cios zadany ręką tego samego chlebobdawcy, który niegdyś ocalił go od śmierci.

Wczesne przedpołudnie zastało Violette samą nad brzegiem rzeki przecinającej leśną polanę nieopodal chaty Valgirusa. Znużona całonocną wędrówką dziewczyna prała w wartkim nurcie tę samą błękitną suknię, którą miała na sobie podczas wczorajszej ceremonii. Wtem usłyszała, że ktoś się zbliża, i podniósłszy wzrok, ujrzała przed sobą cień jadącej konno postaci. Zmrużyła powieki przed oślepiającymi promieniami słonecznymi i po chwili ze zdziwieniem rozpoznała Albina.

- Nie służę już van der Zahrowi - wyrzekł, zatrzymując się i zsiadając z konia. - Jestem teraz wolnym człowiekiem.

Violette podniosła się i stanęła na wprost rycerza, przyglądając mu się przenikliwie.

- Dlaczego mi to mówisz? - spytała, usiłując skrycie rozszyfrować jego zamiary.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś w nim samym uległo zmianie. Jakaś wewnętrzna częśćka jego osobowości nagle przebudziła się i sprawiła, że spojrzenie bezlitosnego demona wojny stało się na powrót ludzkie.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że nigdy nie wyjdiesz za mąż - odparł spokojnie. - A mimo to jestem tu, by prosić cię o rękę. Armand chce mnie zabić, i dlatego muszę uciekać. Jedź ze mną, Violette.

Na dźwięk tych słów ogarnęło ją bezbrzeżne zdumienie, a gdy pierwszy szok minął, zdołała wykrztusić:

- Dokąd?

- Czy to ważne? Byle dalej stąd!

- Chyba oszalałeś - stwierdziła, cofając się o krok. - Nie mogę zostawić siostry.

„Żałosna wymówka” — pomyślał.

Dostrzegł, jak nieznacznie odsuwa się od niego, i poczuł w głębi serca bolesne ukłucie. Wiedział, że już za późno i ona nigdy go nie pokocha. Ale miłość to nieuleczalna choroba. Tym silniejsza, im bardziej nieodwzajemniona.

- Wybacz mi, Violette - powiedział i nim zdążyła się spostrzec, wymierzył jej silny cios w brzuch.

Kiedy tracąc oddech, zgięła się w pół, ręka Albina opadła ciężko na jej kark i dokończyła dzieła. Zamroczona

dziewczyna osunęła się na ziemię, lecz rycerz delikatnie podtrzymał ją i nie pozwolił upaść. Pochylił się nad kamienistym brzegiem strumienia i wyłowił z niego drogocenną suknię, a potem umieścił ją wraz z Violette na grzbiecie wierzchowca. Gdy tylko znalazł się z powrotem na siodle, mocno dźgnął konia ostrogami i wykonując gwałtowny zwrot, pognał jak burza w kierunku południowych wzgórz.

Gdy Albin de Vessel zjawiał się w tej okolicy, by uprowadzić Violette, nie domyślał się nawet, że ktoś mógłby zobaczyć jego haniebnny postępek. Tymczasem Genn w pobliskim zagajniku zbierała suche gałęzie na opał i na widok nadjeżdżającego rycerza przezornie skryła się w gęstych zaroślach. Niezauważona przez nikogo, mogła bez przeszkód obserwować tych dwoje, stając się przypadkowym świadkiem całego zajścia. Kiedy tylko oddalający się galopem Albin zniknął jej z pola widzenia, rzuciła chrust na ziemię i pobięła co tchu do chaty pustelnika, by przekazać pozostałym straszliwą wieść. Na podwórzu Serim, Ablaj i Tarik kłócili się o dwa skradzione z twierdzy rumaki i głośno dochodząc swych racji, nawet nie spostrzegli, gdy Genn z impetem wpadła do zagrody.

— Rycerz w białym płaszczu porwał Violette! - wykrzyczała zdyszana. - Widziałam, jak odjechał z nią na południe!

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, Reynard zerwał się z ziemi i zwinnym susem wskoczył na grzbiet jednego z wierzchowców. Gwałtownie szarpnął za lejce i przestraszone zwierzę stanęło dęba, a potem ruszyło na wprost

i wyłamując kopytami belki ogrodzenia, pognało jak oszalałe leśnym duktem.

Reynard już od dłuższego czasu niestrudzenie podążał śladami rycerza i kierując się wciąż na południe, przebył usianą lesistymi pagórkami dolinę, nad którą górował monumentalny płaskowyż. W pewnym momencie przystanął jednak, czując się przez kogoś bacznie obserwowanym. Rozejrzał się po otaczających go zaroślach i nagle dostrzegł świeżo złamaną gałązkę, na której liście nie zdążyły jeszcze zwiędnąć. Prowadzący pod nią trop został umiejętnie zatarty i wędrowiec szybko zorientował się, że Albin próbował zmylić ewentualny pościg, kierując go fałszywym śladem.

Wiodące na górę podejście stawało się coraz bardziej strome, aż w końcu zmusiło wędrowca do zejścia z siodła. Prowadząc konia za uzdę, wspiał się na szczyt masywu, gdzie jego oczom ukazała się ogromna pustynna równina, sięgająca aż po horyzont. Sucha, smagana porywistymi wiatrami i niemal całkowicie pozbawiona szaty roślinnej okolica sprawiała wrażenie dzikiej i nieprzystępnej. Pospępny krajobraz spieczonego słońcem pustkowi urozmaicały jedynie wyrastające miejscami formacje skalne, które z biegiem czasu przybrały różnorodne formy i kształty. Trudno byłoby sobie wyobrazić miejsce bardziej jałowe i niegościnne, a jednak to tutaj właśnie przywiódł go trop rycerza.

Reynard potoczył wzrokiem dokoła, lecz nie dostrzegł nawet cienia żywej duszy. Zewsząd otaczała go pustka i martwa cisza, której nie mącił żaden odgłos. Lejący się z nieba żar sprawił, że majaczące w oddali bloki skalne

drgały w rozgrzanym powietrzu niczym pustynna fatamorgana. Wędrowiec lekko ocienił dłonią oczy i kierując się odbitymi na piasku końskimi kopytami, ruszył w stronę piętrzących się wysoko głazów. Wkraczając pomiędzy skały, niemal natychmiast zauważył uwięzane przy nich wierzchowca, a na jego drodze wyrosły dwa nagie, krzyżujące się ze sobą miecze, wbite w twarde, kamienisty grunt, niczym zapowiedź nieuchronnego pojedynku. Reynard wiedział, do kogo należą, i postanowił przyjąć rzucone mu wyzwanie.

- Albinie de Vessel! - krzyknął na całe gardło, a jego donośny głos odbił się echem w ciszy bezludnego pustkowia. - Przybyłem, by się z tobą zmierzyć!

W chłodnym wnętrzu ukrytej wysoko wśród skał grotę spoczywała nieprzytomna Violette. Wyglądała niczym pogrążona we śnie pogańska bogini, gdy odziana w zwiewną, błękitną suknię leżała nieruchomo na zbudowanym z płaskich kamieni katafalku, trzymając w splecionych dłoniach kwiat białej róży. Dla tego, który ją tu przyniósł, była uosobieniem najczystszej piękna, kwintesencją rozkoszy oraz przedmiotem zakazanego kultu. Darzył ją uwielbieniem tak bezgranicznym, że gotów był poświęcić wszystko, byle tylko zatrzymać ją przy sobie, nawet wbrew jej własnej woli.

- Śpij słodko, mój aniele - wyszeptał rycerz. - Przysięgam, że odtąd już zawsze będę cię chronił.

Pochylił się i z niemal nabożną czcią złożył na jej ustach pierwszy i ostatni pocałunek, a potem usłyszał własne imię wykrzykiwane na zewnątrz i zrozumiał, że przybył ten, na którego czekał. Choć wprowadzając ze sobą Violette,

zdołał to, czego pragnął, to wciąż nie mógł opuścić tej krainy bez odpowiedzi na jedno nurtujące go pytanie: „Który z nas jest silniejszy?”.

Nadszedł czas, by dokończyć pojedynek, który rozpoczęli niegdyś na gruzach Vox. I tym razem już nic im nie przeszkodzi.

- Czekałem na ciebie - rzekł Albin, wyłaniając się spomiędzy skał.

Reynard zmrużył oczy i rozpoznając go, zawołał:

- Gdzie jest Violette?!

- W bezpiecznym miejscu — odparł spokojnie rycerz i stanął na wprost tkwiących w ziemi mieczy.

- Wypuść ją!

Albin przyjrzał mu się uważnie i dostrzegł w jego oczach coś, czego skrycie się obawiał.

- Tak bardzo ci na niej zależy? — rzucił ironicznie. Ale Reynard nic mu na to nie odrzekł.

- Zapewne nie powiedziała ci jeszcze o tym, co zrobił z nią Armand.

- To niczego nie zmienia — wycedził przez zęby wędrowiec.

I nagle poczuł, jak wzbiera w nim nieposkromiony gniew, gdyż zdał sobie sprawę, że cała prawda wyglądała zgoła inaczej, niż mogłoby się wydawać.

- Ty przeklęty tchórze! - krzyknął. - Wiedziałeś o tym i nie pomogłeś jej! Pozwoliłeś, żeby ten potwór ją skrzywdził, bo nie miałeś dość odwagi, by mu się sprzeciwić!

Zimne niczym lód oczy Albina rozszerzyły się gwałtownie i zaiskrzył w nich ogień nienawiści.

- Milcz - syknął złowrogo i w jednej chwili obydwaj chwycili za obnażoną broń.

Stanęli naprzeciw siebie niczym dwie potężne niszczycielskie siły - antagoniści tak odmienni, a zarazem tak podobni. Osieroceni w dzieciństwie, kroczyli przez życie drogą miecza, stając się symbolami dwóch odwiecznie przeciwstawnych kultur - wojownikiem wschodu i rycerzem zachodu. Oto przeciwnicy godni siebie, którzy być może narodzili się tylko po to, by stoczyć tę jedną decydującą bitwę. Zębate tryby obracające się we wnętrzu wielkiej maszyny przeznaczenia jęknęły głucho i zatrzymały się.

Ich starcie było nieuniknione, a porwanie Violette dostarczyło jedynie pretekstu. Gorące powietrze zastygło w bezruchu wokół dwóch mierzących się wzrokiem przeciwników i wydawało się, jakby czas stanął w miejscu. A potem niemal jednocześnie ruszyli do natarcia i zwarli się w śmiertelnym uścisku. Zaszczękało żelazo, a iskry posypały się dokoła, gdy główne ich mieczy zderzyły się ze sobą z nieprawdopodobną wprost siłą, uwalniając całą drżącą w nich agresję.

W tym samym czasie ukryta w górnej jaskini Violette odzyskała przytomność i niepewnie usiadła na kamiennym katafalku. Spróbowała wstać, lecz potworny ból głowy sprawił, że znów pociemniało jej przed oczami.

„Jak się tu znalazłam?” - zadawała sobie to pytanie.

Zamroczone, nie potrafiła niczego sobie przypomnieć i rozglądając się po obcym miejscu, zauważyła leżący obok niej kwiat białej róży.

„Albin!” - Nagły błysk skojarzenia przeleciał przez jej umysł z szybkością gromu i w tym samym momencie odzyskała pamięć.

Szybko zerwała się z miejsca i wpinając różę we włosy, ruszyła do wyjścia, choć z trudem utrzymywała się na

nogach. To była jej ostatnia szansa. Wiedziała, że musi zdążyć wydostać się stąd, nim wróci rycerz, inaczej utraci wolność na zawsze.

Gdy tylko znalazła się na zewnątrz, potoczyła wzrokiem po otaczającej ją bezkresnej pustyni i dostrzegła w dole uwiązanego przy skałach rumaka. Przeskakując po kolejnych kamiennych występach, zaczęła niepostrzeżenie schodzić coraz niżej, aż w końcu dotarła do podnóża góry. Wtem pośród martwej ciszy odludzia usłyszała niewyraźne odgłosy zbrojnej potyczki i zaintrygowana ruszyła w ich kierunku. Gdy tylko wydostała się na otwartą przestrzeń, ujrzała Albina i Reynarda. Toczyli między sobą zacięty pojedynek, w którym stawką było ich życie. Nim zdążyła się opamiętać, z jej piersi wyrwał się okrzyk:

— Przestańcie!

I nagle zatrzymali się, a po chwili stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Ze wschodu powiał wiatr tak silny, że już pierwszy podmuch zwałił ich z nóg, a po chwili rozpętało się prawdziwe piekło. Teraz wszyscy troje wiedzieli już, dlaczego ta okolica jest opustoszałą, pozbawioną życia pustynią. Ale uświadomili sobie to zbyt późno.

Rozszalały wichur wzmagał się coraz bardziej, niosąc ze sobą potężną burzę piaskową, w której nagłe zawirowania powietrza tworzyły wysokie kominy obracające się spiralnym ruchem i zasysające do środka wszystko, co napotkały na swej drodze. Nawałnica zaczęła nieubłaganie spychać Albina, Reynarda i Violette w stronę urwiska, lecz wędrowiec w ostatnim momencie zdołał złapać się powykręcanych gałęzi suchego krzewu. Porwana nagłym podmuchem wiatru Violette przeleciała tuż przed nim, rozpaczliwie wyciągając rękę, której nie zdążył schwycić.

Zobaczył jeszcze tylko, jak straszliwa siła żywiołu ciskają w stronę przepaści, a potem stracił z oczu tę, której nie był już w stanie uratować. Wirujące drobinki piasku niemal całkowicie przesłoniły mu widoczność, czyniąc go ślepy i bezradnym wśród ogłuszającego ryku wichury. Naraz wszystko ucichło równie nagle i niespodziewanie, jak się zaczęło, a na pustkowiu na powrót zaległa cisza. Wędrowiec podniósł się i otrzepując ubranie, z niedowierzaniem rozejrzał się dokoła. Wtedy dotarło do niego, że został sam.

- Violette! - zawołał, lecz odpowiedź przyniosło mu jedynie echo.

Wiedziony niepewnością, powoli ruszył w stronę urwiska, ale gdy stanął nad jego krawędzią, nie miał odwagi, by spojrzeć w dół. Wtem do jego uszu dotarł cichy głos Violette:

- Pomóż nam!

Spuścił wzrok i zobaczył wiszącego nad przepaścią Albina, który zaczepił swój miecz o wystające skały i jedną dłonią trzymał jego rękojeść, a drugą Violette.

- Nie ruszaj się! - krzyknął Reynard. - Wyciągnę was!

Uklęknął i bez chwili wahania schwycił oburącz nagie ostrze miecza, którego sztych utkwiony był głęboko pomiędzy głazami. Wiedział, że nie ma innej możliwości. Krew z jego dłoni zaczęła ściekać stróżkami po metalowej głowni oręża, lecz całe to straszliwe poświęcenie nie zdało się na nic. Choć z wszystkich sił pragnął ich ocalić, nie był w stanie udźwignąć tak wielkiego ciężaru.

- Daj spokój, nie zdołasz uratować jej w ten sposób - rzekł Albin i cicho syknął z bólu, gdyż bełt tkwiący

w jego ciele musiał sprawiać mu teraz niewyobrażalne cierpienie.

Violette dostrzegła krwawą ranę pod białym płaszczem rycerza i natychmiast domyśliła się, kto zadał mu ten zdradziecki cios.

„Był ranny przez cały ten czas i mimo to walczył?!” — dziwiła się.

Zrozumiała, że musiał być niewiarygodnie silny, lecz teraz nie miało to już znaczenia. Wiedziała, że nie mogą uratować się oboje. Jedno z nich musi zginąć.

- Puść mnie! - krzyknęła ze łzami w oczach. — Jeśli to zrobisz, przeżyjesz!

Szarpnęła się, usiłując wyrwać nadgarstek z jego żelaznego uścisku, lecz nie pozwolił jej na to.

- Obiecałem, że będę cię chronił.

Kwiat białej róży niepostrzeżenie wysunął się z włosów Violette i poszybował w ciemną otchłań rozwierającej się pod jej stopami przepaści.

- Proszę, puść mnie!

W akcie ostatecznej desperacji znów spróbowała się uwolnić, a jej szczupła dłoń nieznacznie wysunęła się z ręki rycerza. Albin poczuł, że ostrze miecza zakleszczone pomiędzy skałami drgnęło, i zrozumiał, że nie pozostało mu już wiele czasu. Zdobywając się na ostatni, nadludzki wysiłek, zdołał unieść w górę Violette i przekazać jej rękę zdumionemu Reynardowi.

- Los zdecydował za nas, wędrowcze — wyrzekł ze spokojem. — Powierzam ją tobie.

W tym samym momencie sztych jego miecza odczepił się, a ona zdążyła jeszcze przelotnie spojrzeć na niego, nim runął prosto w przepaść.

- Nie! - rozpaczliwy krzyk Violette rozległ się nad urwiskiem, gdy rycerz bezpowrotnie pograżył się w mrocznych czeluściach otchłani, i niósł się daleko, nieprzerwanie dźwięcząc mu w uszach.

Alsione pod postacią Czarnej Wilczycy biegła przed siebie co tchu, przeczuwając nieuchronnie zbliżającą się tragedię. Wisząca nad przepaścią Violette walczyła o życie, trzymana za rękę przez rannego rycerza, a jej szanse malały z każdą chwilą.

Jeśli ona zginie, nigdy nie odnajdziemy Lapis Exillis"-przebiegło jej przez myśl.

Ta dziewczyna była ich ostatnią nadzieją i Alsione nie mogła pozwolić jej umrzeć. Niestety, nim zdołała wspiąć się na skalny płaskowyż, jedna ze znajdujących się na skraju urwiska postaci odczepiła się od krawędzi i runęła w dół, a druga została wciągnięta przez kogoś z powrotem na górę.

Zdezorientowana Wilczyca błyskawicznie zmieniła kierunek i ruszyła wyschniętym korytem rzeki przepływającej niegdyś u podnóża masywu. Dotarła na miejsce parę chwil po tym, jak ciało Albina bezwładnie uderzyło o kamieniste dno strumienia i leżało teraz nienaturalnie wygięte w łuk z kręgosłupem przetrąconym o wystający głaz. Przybrawszy ludzką postać, Alsione stanęła nad nim i obserwowała, jak jego kończyny drgają w ostatnich przedśmiertnych kurczach, a gasnąca świadomość powoli opuszcza pograżony w agonii umysł. Rycerz spojrział nieprzytomnie na kobietę, lecz nim zdążył ją rozpoznać, jego pogruchotana klatka piersiowa zastygła w bezruchu, a serce przestało bić.

- Umarłeś dla niej - wyrzekła półgłosem, gdy zrozumiała, że rycerz ocalił życie Violette, poświęcając własne.

Wtem nad martwym ciałem zaczął ukazywać się na wpół przejrzysty opar.

„To niemożliwe!” - pomyślała Alsione.

Z niedowierzaniem patrzyła, jak na jej oczach wyłania się z niego demoniczna postać.

„Azuk-Kale był zapieczętowany w ciele tego rycerza?!“- odgadła zdumiona.

Jednak stworzenie było zbyt słabe, by móc przyjąć swą ostateczną formę, a kobieta pojęła, że nie ma czasu do stracenia, i ostrymi jak brzytwa wilczymi zębami dotkliwie rozszarpała sobie lewą rękę. Rana była tak głęboka, że sięgała niemal do kości, a krew natychmiast trysnęła obficie i Alsione zaczęła pośpiesznie kreślić nią znaki wokół Albina. Utworzyła dwa szkarłatne Kręgi Przywołania - wewnętrzny i zewnętrzny, a następnie przyklęknęła przy większym z nich i przykładając do niego dłoń, zawołała:

- Przyzywam cię!

Zużyła prawie całą swoją energię życiową, by wykonać tak potężne Przywołanie, a duża utrata krwi dodatkowo osłabiała jej ciało. W chwilę później okręgi rozbłysły błękitną poświatą, ale Wilczyca już tego nie doczekała i bezwiednie upadła na kamieniste dno suchego potoku, tracąc świadomość.

W kilka dni później szare niebo nad pustkowiem zasnuło się chmurami, a chłodny wiatr zapowiadał nadciągającą ulewę. Violette stała samotnie na skraju przepaści ubrana w dopasowane nogawice, wysokie buty, lnianą koszulę i krótką, rozklinowaną od pasa w dół tunikę bez rękawów, która wdzięcznie podkreślała swym skromnym krojem jej dziewczęce kształty. W rękach trzymała suknię przyniesioną jej niegdyś przez Albina i

spoglądała w bezdenną otchłań, która rozwierając swą paszczę pochłoneła tego, który odważył się ją pokochać. To uczucie na powrót zamieniło potwora w człowieka, lecz było zbyt potężne - niczym żywioł, który burzy porządek świata i niszczy wszystko, co stanie mu na drodze. Także jego samego. Albin zapłacił za nie najwyższą cenę. Poświęcił własne życie, a Violette wiedziała, że nigdy już nie zdoła mu za to podziękować.

- Żegnaj, Albinie - powiedziała cicho, a po jej policzkach spłynęły łzy.

Jednym nieodwracalnym ruchem rzuciła suknię w przepaść i w milczeniu patrzyła, jak jej błękitne falbany toną w głębinach mroku. Nagle uzmysłowiła sobie, że do tej pory mogła jedynie bezsilnie przyglądać się, jak całe jej życie rozsypuje się na kawałki niczym tafla stłuczonego szkła. Teraz podjęła decyzję, która miała zmienić wszystko. Po raz ostatni spojrziała w dół i odeszła, nie oglądając się wstecz. Wiedziała, że nigdy już nie wróci na to pustkowie, gdzie wraz z suknią ślubną i rycerzem w bieli pozostawiła część siebie.

Posłowie

Ostatnia świeca właśnie dogasała, gdy młoda kobieta odłożyła plik zapisanych kartek na niewielki, okrągły stolik. Chaotyczne, pokreślone rękopisy wypełniały niemal cały jego blat, tworząc bezładną mozaikę stronic, pokrytych pośpiesznym i niestaranym pismem osoby, która w twórczym uniesieniu próbowała przelać na papier kłębiące się w jej głowie myśli, obrazy i zdarzenia, a następnie ułożyć je w sensowną, logiczną fabułę. Wbrew pozorom nie jest to wcale łatwe zadanie. Wiszący na przeciwległej ścianie zegar oznajmiał, że minęła już trzecia w nocy, a piętrzące się na stoliku puste filiżanki po herbacie i opróżniony do połowy talerzyk z ciemnym, korzennym ciastem, świadczyły o tym, że pracowała nad tekstem od wielu godzin.

Nie zdawała sobie nawet sprawy, że jest już tak późno. Okryta grubym, wełnianym kocem podciągnęła kolana pod siebie i skuliła się w ogromnym, skórzanym fotelu o głębokim, miękkim siedzisku i wytartej tapicerce. Mimo iż był naprawdę wiekowy, nie zamieniłaby go na żaden inny, gdyż uwielbiała siadywać w nim wieczorami i pisać. Zostawała wtedy sama ze swymi myślami, zatopiona w świecie własnych fantazji i wykreowanych przez siebie postaci, które często zdawały się bardziej realne niż ludzie żyjący wokół niej. Ta iluzja była jej rzeczywistością — odizolowaną, zamkniętą enklawą, z dala od zgiełku dnia codziennego i jego problemów. Tutaj była sobą

i nie musiała udawać nikogo innego. Mogła ściągnąć wszystkie maski i pozbyć się utartych schematów postępowania. Znaleźć się tam, dokąd od zawsze chciała zawędrować. Stać się tym, kim pragnęła być. Odnaleźć w końcu to, czego szukała.

„Prawdziwy” świat, który otaczał ją na co dzień, nie był jej własnym. Obca i bezduszna płatanina ludzkich dążeń, chorobliwych ambicji i zawiedzionych nadziei, nie mogła dać nic prócz pustki.

Powoli przeniosła wzrok na tłącą się ostatkiem sił świecę, która wypełniała powietrze zmysłowym aromatem wanilii, i rozkoszowała się nim przez kilka chwil, przymykając powieki, a kiedy zgasła, ocknęła się z zadumy i rozejrzała po oświetlonym nocną lampką pokoju. Jej salonik był mały, ale przytulny - urządzone gustownie w starym stylu. Wzorzyste tapety o złotawym odcieniu, bogato marszczone story w oknie i zamglone firany, sprawiały wrażenie, jakby wyjęto je wprost z minionej epoki. Na jasnej, drewnianej podłodze zamiast dywanu leżała wyprawiona zwierzęca skóra o miłym w dotyku włosiu, a nieopodal niej stała sofa i dwie puffy. Jedną ze ścian zajmowała uginająca się pod ciężarem książek biblioteczka oraz rzeźbiona komoda pełna pamiątek z podróży i innych sentymentalnych bibelotów, zdradzających romantyczne usposobienie ich właścicielki. Nad nią wisiał oprawiony w pozłacaną ramkę obrazek, który sama wyhaftowała niegdyś na płótnie kolorowymi niciami. Przedstawiał młodą kobietę w zwiewnej sukni, prowadzącą za uzdę białego wierzchowca na tle leśnego zagajnika. Ilekroć na niego spoglądała, przyrzekała sobie w duchu, że kiedyś w końcu nauczy się jeździć konno i wróci do szkicowania.

Tymczasem nadal tkwiła w fotelu, trzymając w drobnych dłoniach kolejną stygnącą filiżankę owocowej herbaty. Na zewnątrz było zimno, mokro i ponuro. Za oknami szalała kolejna jesienna nawałnica, a wiatr wył głucho w ciemnościach nocy, niosąc ze sobą strugi ulewnego deszczu. Kobieta wzdrygnęła się na samą myśl o tej pogodzie. W głębi ducha nie znosiła tego miejsca - chłodu, wilgoci i ciągłych opadów. Marzyła o tym, by znaleźć się gdzieś daleko stąd. Zamieszkać na południu, w ciepłej krainie nad brzegiem morza, wśród sadów cytrusowych, pachnących pól lawendy i poprzecinanych plantacjami winorośli wzgórz. Oczyma wyobraźni widziała mały domek nad zatoką - z białą, drewnianą werandą, na której siadywałyby popołudniami w bujanym fotelu i otulona szalem pisała kolejne powieści, obserwując słońce zachodzące za błękitnym horyzontem. Jej marzenie wydawało się prozaiczne, a mimo to urzekało swą prostotą i pięknem. Nie pragnęła bogactwa, sławy ani luksusu. Chciała jedynie odnaleźć swoje miejsce na ziemi i spędzić w nim resztę życia.

Spojrzała na ukończony właśnie rękopis powieści i spróbowała odgadnąć, co pomyślą o autorce ci, którzy ją przeczytają. Mówi się, że „prawdziwym marzeniem” jest tylko to, które nigdy się nie spełni. Niekiedy snujemy plany tak szalone i nieosiągalne, że brak nam odwagi, by spróbować je zrealizować. Dla niej wydanie tej powieści było jednym z nich i być może jest początkiem drogi, która zaprowadzi ją do małego domku z werandą nad brzegiem morza.

Od Autorki, którą znasz jako Lorraine Dunn